

# **Marek Nowakowski**

## **POWIDOKI 3**

### **WARSZAWIAK**

#### **PILNIE POSZUKIWANY!**

##### **1. SZASZLYKARNIE**

Zanim powstały szaszłykarnie, były budki z piwem. Władza ludowa od początku likwidowała prywatną gastronomię. Małe knajpki, gospody, piwiarnie zamieniały się w sklepy żelazne, spożywcze i inne. Oczywiście były już własnością państwową. Jednak tu i ówdzie pozostawiono swoiste wentyle, żeby czarnoroboczy lud miał gdzie i czym odetchnąć po robocie. Budki z piwem jako półprywatna gastronomia miały długą historię. Były własnością MHD lub Spółdzielczości „Społem” i inwalidzkiej. Oddawano je w dzierżawę tzw. agentom, którzy spełniali rolę pewnego rodzaju szynkarzy. Stała sobie taka nieduża budka, pomalowana przeważnie na zielono, z drzwiami od tyłu, okienkiem z przodu i przybitym do frontowej ściany pulpitem na zewnątrz. W środku urzędował agent i wydawał piwko. Początkowo bywało beczkowe na kufle, z czasem wyłącznie butelkowe. Ludzie wracając z roboty zatrzymywali się przed budką i, oparci łokciami o kontuar, popijali sobie na stojąco. Żadnych sanitariatów nie było, a piwo, jak wiadomo, pędzi, piwosze poszczywali gdzie bądź w pobliżu. Często z tego powodu popadali w konflikty z gliniarnią, która urzędowała na szkodów polowania. Ale mimo tych istotnych braków budki z piwem spełniały dobroczynną rolę. Dawały szansę ugaszenia pragnienia i towarzyskiej wymiany poglądów. Tylko co jakiś czas na

łamacz prasy wszczyniała się kampania pełna gromów i oskarżeń. Rozprawiano o szkodach, które powoduje istnienie budek z piwem. Koronny argument stanowił margines społeczny, który gromadził się przy budkach. Margines jak margines, zjawisko trudno rozpoznawalne. Lud ubierał się dość monotonicznie, po czapkach z samodziału i siermiężnych jesionkach zapanowała powszechna moda kurtek, płaszczy z ortalionu i berecików z antenkami. Trudno więc było odróżnić marginesowca od proletariusza. Ale co jakiś czas odium spadało na budki z piwem. Istniała postępująca tendencja do ich likwidacji w centrum, żeby nie psuły oblicza miasta. Natomiast pozostawały nietknięte na obrzeżach.

Po budkach z piwem nastąpiła faza następna. Niewątpliwie wyższa. Szaszłykamie. Zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu budy, baraczki lub po prostu dachy na polach, które nazywały się szaszłykamie. Szaszłykami albo różno (nie rożen), bo i taka nazwa występowała przemienne. Tu już było piwo z konsumpcją. Podawali przypiekane kiełbasy na patykach, bułki. Z czasem menu się wzbogaciło i serwowano szaszłyki, które składały się z nabitych na patyk kawałków boczku, cebuli i kiełbasy. Ajenci pozostali ci sami i część dochodu odprowadzali do puli centralnej. Ale rozszerzył się znacznie zakres ich kompetencji. Mogli dręczyć klientów lub być dla nich aniołami. Dręczyciele nie dawali samego piwa, jedynie z obowiązującą konsumpcją. Mogli również limitować piwo i do jednej konsumpcji przysługiwała tylko jedna butelka. Następna butelka powodowała konieczność nabycia następnego szaszłyka. Różnie dręczyli. Ponieważ często ajenci rekrutowali się z byłych funkcjonariuszy milicji, strażników więziennych, ormowców, to, pamiętając o swojej służbie, wyżywali się z pewnym sadyzmem na klientach. Można powiedzieć, że z powodu dawnego zajęcia traktowali

ich jako aresztantów, więźniów, słowem podejrzany element, który należy trzymać w karchach. Lud nie miał jednak alternatywy i tłumnie wypełniał szaszłykamie, znosząc pokornie udreki i błagając: „Panie Kierowniku, jeszcze jedno piwko, kiełbasę, już brałem uprzednio!” Rozwijało się budownictwo mieszkalne i partery nowych bloków zostały przeznaczone na lokale użyteczności publicznej. Przyszedł zły czas na budy i baraczki. Miejsce tej prowizorki zajęły sklepy winno-delikatesowe w blokach. Bywało w nich piwo. Ale klienci nie mieli prawa do konsumpcji na miejscu. Jedynie na wynos. Wystawały gromady mężczyzn, przed sklepami winno-delikatesowymi i spożywczymi. Pomału zapomniał człowiek miasta, że kiedyś istniały małe szynki i knajpki, gdzie można było usiąść przy stoliku, zamówić piwo, flaszkę wódki, zakąskę i pogawędzić sobie z kumplami. Czasem tylko któryś z wystających przed sklepem przymykał oczy, potem otwierał i na jego obliczu pojawiał się wyraz błogości, rozmarzenia jak po słodkim śnie. Zapewne roiła mu się w głowie taka mała, cicha knajpka w jego dzielnicy, kamienicy. Rzeczywistość brutalnie i szybko przywoływała go do porządku.

## 2. MILION BAJERÓW

Socjalizm w praktycznym wydaniu już rozsypywał się i gnił na potęgę. Korupcja i prywata wszędzie brały górę. Ale fasada się trzymała i trzeba było znać reguły gry. Frazesów pełna gęba, odpowiednie znajomości i wykonywać właściwe ruchy. Wspomina Andrzej L., obecnie szanowany biznesmen, pełen rozmachu i niesłabnącej inwencji właściciel wytwórni, hurtowni, własnego transportu, kont w bankach, biura z marmurami i złoceniami w nowoczesnym biurówcu. Ale wtedy, za późnego Gierka, był prywatną inicjatywą. Tam, gdzie znalazł luki i państwowa wytwórczość nie dawała sobie ze wszystkim rady, wchodził ze swoją produkcją. Zaspokajał potrzeby popytu. Przerzucał się zależnie od możliwości. Raz robił modne ciżemki dla kobiet. Następnie paski i torebki. Żeby przerzucić się na produkcję metalowych detali, śrubek, zakrętek, muterek, bolców. Czegoś takiego, czego nie miał sektor państwowy, a bardzo potrzebował do jakiejś ważnej, priorytetowej, jak się mówiło, produkcji. Skakał z parafii do parafii Andrzej L. i jeszcze musiał nieźle główkować, żeby przetrzymać naloty rewidentów, kontrolerów i podob- I nych. Milicja z gospodarczego też weszła w jego inte- i resach. Wypróbowaną, niezawodną metodą były ła- I pówki, inaczej mówiąc, prowizje. Niełatwa to sztuka. Trzeba było wiedzieć, ile i komu. Skomplikowana gra, brali bowiem wszyscy, ale nie wszyscy mogli pomóc, zatuszować, popchnąć itd. Trzeba było wiedzieć, kto bierze i pomaga.

— Zabezpieczyć sobie należyty personel ochrony — powiada Andrzej L.

Dawał sobie radę, był doświadczonym prywaciarzem na socjalistycznej niwie. Omijał zdradzieckie rafy i żeglował. Parę razy ostrzegli go znajomi gliniarze 0 zastawionych pułapkach. To znów o nalotach kontrolerów PIH-u uprzedzili zaprzyjaźnieni ludzie z tej instytucji.

Pewna poważna centrala handlu zagranicznego czyniła próby zdobycia ogromnego rynku chińskiego. Inicjatywa miała błogosławieństwo kierownictwa partii 1 rządu.

— Wszedłem w ten interes — powiada Andrzej L.

Miał tam swoje chody i przyjęto go nader życzliwie.

Centrali zależało na reklamie i należytej promocji produktów, które pragnęli sprzedawać Chińczykom. Przygotowywali wielką wystawę w Szanghaju czy Pekinie. Robili rzecz całą w dużym pośpiechu, terminy bardzo napięte. W tej maszynarii nawaliło jedno ogniwo. Państwowy zakład wytwórczy, który miał wyprodukować znaczki reklamowe i emblematy firmowe, nie wywiązał się z terminu. Ociążałość biurokratyczna państwowych przedsiębiorstw w PRL-u była powszechnie znana. Andrzej L. jako prywatny producent, oferował szybkie, terminowe dostarczenie odpowiedniej liczby metalowych znaczków reklamowych, emblematów. Miały one być wysłane do Chin przed wystawą i rozprowadzane po całym imperium Żółtków. Wchodziła w grę niebagatelna liczba miliona znaczków. Wielki interes i Andrzej L. prowizji nie żałował. Rozdzielał szczerze. Dogadał się w lot z dyrektorem ekonomicznym imprezy. Nie byli to pedanci i wcale nie sprawdzali, ile znaczków wykonał

prywatny producent. Natomiast chętnie przyjmowali koperty z szeleszczącymi prezentami i permanentnie odbywały się bankiety w najdroższych lokalach. Wpadka nastąpiła z nagłą. Znalazł się ktoś zazdrosny w centrali czy w komendzie wojewódzkiej MO. Zarzucono prywatnemu producentowi, że dokonał oszustwa i nie wykonał ustalonej w umowie liczby znaczków. Rzecz cała dotyczyła pieniędzy i znalazł się Andrzej L. w opałach. Faktury, kwity, cała papierkowa procedura była w porządku. Jednak uporczywe śledztwo szło w kierunku udowodnienia oskarżonemu, że wcale ustalonej liczby znaczków nie wyprodukował i oszukał skarb państwa.

Siedział w pudle, wielomiesięczne dochodzenie, tomy akt sprawy, cała biblioteka. Biegli, świadkowie. I Cisnęli uporczywie. Wyrażali absolutny brak wiary, że przy swoich ograniczonych mocach produkcyjnych po- I trafił dać sobie radę z tak wielkim zamówieniem. Od- I powiadał, że zatrudnił w całym kraju rzeszę chałupni- j ków do wykonania tego zadania. Sprawdzali wiarygod- I ność jego oświadczenia. Ale przecież sprawdzenie było I niemożliwe. Trwała nieustająca huśtawka. Andrzej L. I był twardy, jego współnicy z centrali handlu zagranicz- I nego także nie puścili pary z ust. Trzymali się konsek- | wentnie z góry ustalonych założeń.

— Iw żaden sposób nie mogli mi udowodnić, że I tych bajerów wyprodukowałem mniej niż milion — mó- I wi Andrzej L. — Rozeszły się one po wielkich Chinach I i szukaj wiatru w polu! Pochłoneła je przeszło miliard- I dowa społeczność Chińczyków — śmieje się serdecznie, i

Tu ukłon w stronę talentów Andrzeja L.

— Gdzie tam... — bąka — byli jeszcze inni, dużo 1 lepsi ode mnie. .  
m&eB^EgS

Śmiech śmiechem. Ale wtedy w śledztwie przesie- I dział prawie półtora roku i cała nadzieja była w ogro- 1 mie Chińskiej Republiki Ludowej, gdzie metalowe emb- J lematy zniknęły jak kropla w morzu.

### 3. SZOPENFELDZIARZE

I Bazary i bazarki mają to do siebie, że czasem dają szan- I sę takim, co nigdy nie mieli szans. Ci dwaj już byli sto- I jakami. Co tu owijać w bawełnę, stoczyli się na samo I dno ludzkiego upadku. Dla ścisłości należy dodać, że I obaj zajmowali się niegdyś kradzieżą sklepową. Szopen- I feld nazywa się taka specjalność. Widywało się ich I w tej przechodniej bramie. Stali przytupując nogami I w zimowe dni, a w ciepłe siadywali na murku. Czekali I na fart. Nie szukali fartu, ale czekali. Czasem nawinał I się im jakiś kumpel, postawił piwo, wino. Tak płynął im dzień za dniem jak woda z popsutego kranu. Kraść to już nie kradli. Trzęsły im się ręce i kac szarpał nerwy. A jak mocniej się napili, zaraz padali.

Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu te bazary i bazarki, gdzie Europa tak pięknie połączyła się z Orientem. Wielu ludzi zabrało się do handlu. Wystawili łóżka, wózki dziecię cc, rozłożyli plandeki i handlowali czym się dało. Siła możliwości i sposobów. Uczciwych i nieuczciwych. Jedni wspinali się wyżej, inni plajtowali.

Dwaj wspomniani już złodziejscy emeryci z bramy swej ulubionej mieli widok na taki dzielnicowy bazarek, który od świtu do zmroku buzował handlowym gwarem. Bazarek przyciągał jak magnes i dwaj weterani opuścili tradycyjny posterunek. Z bliska już spoglądali na mrówczą krzątanicę.

Znajomy kupiec, właściciel budy z damską galanterią, który dźwigał ciężkie paki z dostawczego wozu, popatrzył na tych dwóch nierobów z wyrzutem i krzyknął: „A nie możecie pomóc, stawiam piwo!”

Tak się zaczęło, raz jednemu, a innym razem drugiemu pomogli przy wyładunku lub załadunku. Posprzątała śmieci, pomogli budę otworzyć, zamknąć. Piwo za fatywę, faszka, czasem gotówka do ręki. Roboty dla nich nie brakowało i mogli w niej wybierać. Nauczyli się negocjować i stawiać swoje warunki. Można powiedzieć, że ich zardzewiałe globusy oliwić się zaczęły i nadażać za wielością szans. Pierwszy z nich puknął się w czoło Fredek, przezywany Szlugiem, bo palił jak smok. Kolejnego szluga zapalił i sprawę przedstawił. Rzecz całą miał starannie przemyślaną

Ten drugi, Zechcyk, milczek z natury, głową skwapliwie pokiwał.

— Pasuje! — rzekł. — Startujemy.

Szlug skrzyknął jeszcze swego młodszego brata, też stojaka i niezgułę oraz jego towarzyszkę życia, pracowni- - tą jak muł wsiową kobietę. Założyli spółkę czyszcicieli, j Z kupcami na tym bazarze podpisali prawidłową jj umowę i odtąd do nich należy utrzymywanie czystości i i porządku na placu. Zaopatrzyli się w miotły, szufle, kubły, długi gumowy szlauch podłączyli do pompy i po uprzątnięciu śmieci, wodą zmywają betonową nawierzchnię. Zajmują się również kupieckim parkiem sa-1| mochodowym. Zdobyli elektroluks i wyciągają kurz I i paprochy z wnętrza tych eleganckich fordów, opli I i tak dalej. Stały zarobek zapewniony, dochodzą jesz- I cze ekstrapremie, których im handlowcy bazarowi nie I skąpią. Stanęli na solidnym gruncie, poubierali się też I stosownie. Tureckie skórzane kurtki, czapeczki base- I ballowe i adidas. Podczas roboty trunków unikają, bo I wiadomo, że robota pijaństwa nie lubi. Zechcyk podej- I rzewa Szluga, że ten oszczędności na roczne oprocentowanie do PKO składa. Tak samo myśli Szlug o Zech- cyku.

W każdym razie interes już stał się poważny. W tym roku budę sobie postawili. Działalność, którą prowadzą, wymagała zadaszienia. Sprzęt czyszcicielski w niej trzymają, kuchenka na butlę gazową w kącie stoi, dwie ławy i stół, zbite z surowych, nie heblowanych desek.

— Paniska! — wytykają ich kumple, którzy nie przestali być stojakami.

A oni po robocie, popijając gorącą herbatę z cytryną, patrzą na tłum kłębiący się między straganami i czasem dawne swoje dzieje wspominają.

■ ■-TT\* Za szopenfeldem wtedy chodziliśmy — tak powiedział Szlug.

W tamtych latach największą Kanadą dla szopen- feldziarzy była ulica Piotrkowska w Łodzi. Sklepów było na tej ulicy mnóstwo i oni wybierali takie z towarem konfekcyjnym, czapki, szaliki, rękawiczki, sweterki; raczej mniejszego rozmiaru towar ich interesował. Byli elegancko ubrani i przymierzali samodziiałowe czapki, dobierali szaliki pod kolor do płaszcza, naciągali na dłonie żółte rękawiczki, czyli „renifery”, krzywili się, odkładali i znów przymierzali. Płaszcz nosili długie, rozpięte i co i raz: szast, prast, chowali pod połę parę rękawiczek, szalik, sweterek z mięciutkiej wełny, skarpetki. Obchodzili kilkanaście sklepów i potem biegli do pasera.

— Wychodziło dwadzieścia par rękawiczek — powiedział Szlug. — Tyleż samo szalików, czapek, sweterków, damskie też jumaliśmy.

— Tak było — przytaknął Zechcyk.

— A wieczorem szliśmy do knajpy — ciągnął Szlug. — Gorące dania, gorzała, jakieś wirażki do stołu się zaprosiło, Cyganie nam przygrywali.

I tak popracowawszy w Łodzi, przenosili się do Radomia, Piotrkowa, Katowic.

Nie wiadomo, czy to prawda, czy wymysł ich fantazji. W każdym razie okraszali sobie czarem poezji z dawnych lat pracowite dni. Obaj popatrzeli z melancholią na ludzi oblegających budy i stragany.

— Taki bazarek — powiedział Szlug — to dla wo- rychy Kanada.

#### 4. DAWNI KSIĘGARZE

Magnetyczny czar tej ulicy, kipiąca od książek — staroci i nowości — Świętokrzyska. Księgarnie Gebethnera, Arcta i innych. O tym się czytało. Lektury starych tygodników, wspomnienia pisarzy jak to chodzili do księgarni Mortkowicza czy „Roju” na Kredytową. Czarnoksiężskie wyprawy do antykwariatów, gdzie można było odkryć zaskakujące niespodzianki i właściciel, starzec w grubych binoklach (oczy zmęczone, popsute od tych tysięcy woluminów), naprawdę kochał drukowane słowo i dla młodych adeptów podobnego zauroczenia potrafił być życzliwy, nawet bezinteresowny. Od lektury pozółkłych Wiadomości Literackich, jeszcze starszego Wędrowca czy Biesiady Literackiej nie było już żadnej drogi. Żadnej konfrontacji z realnością. Nie było dawnych księgarni, antykwariatów. Wszystko pochłonęła wojna, a powojenna odbudowa nie dbała o takie drobiazgi, fanaberie. Tylko w niektórych starych kamienicach za plecami monumentalnych budowli (jak choćby na tyłach MDM) pozostały ostatnie prywatne księgarnie. Wegetowały anemicznie, istniały jakby cudem dzięki uporowi i oddaniu właścicieli, którzy pragnęli do końca czynić to, co lubili najbardziej, z zamiłowania i potrzeby serca. Na Pięknej przy Poznańskiej była taka mała kłitka pełna książek od sufitu po podłogę. W jej wnętrzu ogarniał jak narkotyk zapach starych druków.

umarłego czasu i przerzucając wydania klasyków w twardej oprawie, można było wyluskać poezje Lenartowicza lub Ujejskiego w serii Biblioteki Pisarzy Polskich, wydane przez Brockhousa w Lipsku, w 1866 roku na przykład. Albo wynurzała się nagle ze stosu innych księga ozdobiona rycinami, z cyklu o ziemi ojczystej. Mógł być to tom pióra Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego o Ramohorze i Huculszczyźnie.

Właściciel, cierpliwy i wyrozumiały, pozwalał przerzucać, kartkować do woli, sam też często pogrążony w jakiejś lekturze.

Druga księgarnia była „resztówką” Gebethnera i mieściła się na parterze odrapanej kamienicy na końcu ulicy Kawęczyńskiej. Przejeżdżałem mostem na drugą stronę rzeki i już od Cerkwi — w jakże odmiennej atmosferze niż po lewej stronie Wisły, bardziej miejskiej i zarazem wschodniej, „azjatyckiej” — podążałem Targową i Ząbkowską do księgarni położonej na rubieżach Pragi. Była to swoista wyprawa w przeszłość, bo i domy z czerwonej, okopconej cegły pamiętały jeszcze czasy rosyjskiego zaboru, forteczno-garnizonowa zabudowa Monopoli Spirytusowego i pokazujące się tu i ówdzie drewniaki z pelargoniami w oknach. Docierałem wreszcie do sanktuarium starych książek, gdzie ludzi pojawiało się niewiele i właściciel za kontuarem był jak ostatni strażnik dawnych księgozbiorów. Kiedyś, znalazłszy się na rozdrożu między miłością do książek i baśni w nich zaklętych a pragnieniem łapczywego zanurzenia się w życiu, zaniósłem tam na sprzedaż kilka książek. Wśród nich pierwsze wydanie któregoś z dzieł Nietzschego, bodajże Tako rzecze Zaratustra w przekładzie Wacława Bereuta nakładem Jakóba Martkowicza A (zachowałem pisownię oryginału). Trochę było przykro.

## 5. CUDOTWÓRCA

Przed wojną jako siedmioletni chłopak wędrował z ojcem po jarmarkach. Ojciec handlował medalikami, krzyżkami, szkaplerzami, obrazkami świętych, sennikami, lekami na porost włosów, kostne bóle, kobiece wapory, maściami na urodę i innymi przedziwnymi substancjami, przedmiotami. Ojciec posiadał wysoki kunszt w tym fachu i jego tubalny głos wzbijał się ponad wrzawę targowego placu. Bogatym repertuarem zaklęć i powiedzeń potrafił zwrócić na siebie uwagę. Mógł handlować wszystkim, jak powiadał chępliwie.

Nieraz ratował się ucieczką i jak przez mgłę przypomina sobie, że ścigani byli przez chłopów na koniach, uzbrojonych w kłonicę i biczyska. Cudem umknęli pogoni i wtedy ojciec poprzysiągł sobie, że będzie handlował tylko świętościami. Ślubowania dotrzymał i na odpustach, od Częstochowy po najbardziej zapadłe parafie, zasłynął jako sprzedawca samych świętości. Natura ciągnie jednak wilka do lasu i jego stary rok tylko wytrzymał w ucziwości. Wykombinował niezwykle intratny proceder sprzedaży relikwii z prochami i kostkami różnych świętych, popularnych wśród naszego ludu. Biegły w tej dziedzinie, sypał jak z rękawa wzruszającymi szczegółami z życia św. Rocha, Bartłomieja, Damazego czy nawet Szymona Słupnika. Powoływał się na biskupie certyfikaty, potwierdzające autentyczność

sprzedawanych relikwii. Wiedziony wytrawnym instynktem oszusta grasował przeważnie w najbardziej zapadłych parafiach, wioskach zagubionych w lasach, górach i innych trudno dostępnych rejonach kraju. Czarował swą teologiczną wiedzą wikarych i plebanów często u nich gościli, podejmowani jadłem i napitkiem. Podczas okupacji był już pełnoprawnym współnikiem ojca i na dwa głosy zachwalali swój towar. Czasem grał rolę wabia, był pierwszym kupującym, ażeby dać właściwy przykład innym. Wtedy przepowiednie Wernyhory i innych wizjonerów, wydawane w małych broszurach na powielaczu, szły jak woda. Również horoskopy zapowiadające klęskę Niemiec i śmierć Hitlera. Wiązało się z tym znaczne ryzyko; można było wylądować w Oświęcimiu lub zostać rozstrzelanym w ulicznej egzekucji. Towar to jednak był chodliwy i ryzykowali. Jego świętej pamięci ojciec padł ofiarą donosu zawistnych konkurentów z branży i sterany wędrownym życiem nomady organizm obozu koncentracyjnego już nie przetrzymał.

Po okupacji rozpoczął jako sierota działalność samodzielną i to, czego nauczył się od ojca, stanowiło bezcenną skarbnicę mądrości. Jako niestrudzony pielgrzym przemierzał Polskę wzdłuż i wszerz. Bywał na wozie i pod wozem. Zdarzyły mu się dwa pobyty w więziennym odosobnieniu. Z jego zwierzeń wynikało, że szło o sprzedaż cukierków z krochmalu i o zaniedbania w realizacji zamówień na kolorowane portrety z fotografii. O tym drugim zajęciu, zwanym pacyką, mówił z rozrzewnieniem.

— To były czasy! — powtarzał z nostalgią. Wtedy w każdej wiejskiej chałupie wisiał na honorowym miejscu wielki portret w jaskrawych kolorach, przedstawiający ślubną parę lub młodzieńców odbywających służbę wojskową. Dzieła sztuki wykonywane były metodą po zwiększaniu z małej, czarno-białej fotografii. Wraz z powstaniem kolorowej fotografii skończyły się dla niego złote żniwa. Mężczyzną był tuszy okrągłej, baryl- kowatej, o twarzy dobrodusznej, rumianej, i dopiero kiedy występował na jarmarcznej arenie, przeistaczał się raptownie. Jego twarz mienić się zaczynała bogactwem grymasów, głos grzmiał niby spizowy dzwon. Z natury był utracjuszem i po wędrownym sezonie zimową porą odpoczywał w wesołej kompanii, przy trunku, z lekkimi panienkami. Pieniądze kończyły mu się przeważnie w połowie zimy i musiał znów rozglądać się za zarobkiem. Wraz z postępem i olśniewającym rozwojem techniki inne już przedmioty i ozdoby stały się towarem, który sprzedawał na jarmarkach. Na przykład tanie zegarki na buksach z NRD czy czeską biżuterię dla niewiast. Objuczony walizami i tobołami ruszał w drogę. Nadal wspomagał siłę wiary w narodzie i miał sukcesy w sprzedaży zwykłej wody w buteleczkach po salicylu, z kolorową naklejką św. Madonny, jako uzdrawiającej wody z Lourdes. Nie był wcale ateuszem czy bluźniercą, ale takich praktyk wymagały prawa jego wędrownego zawodu.

Żył jak Cygan, w wiecznym ruchu, i ta starsza od niego wdowa po brukarzu, u której przemieszkował na Targówku, była mu więcej matką niż kochanką. Wyrozumiała i przywiązana do tego huncwota. Naprawdę miał dużo uroku i chyba nade wszystko kochał samą sztukę jarmarcznego handlu bez względu na rezultaty. Nieraz wskoczywszy na beczkę czy wóz, pośród ciżby na targu, w rojowisku ludzi i zwierząt, w hałasie smętnego poryku bydła, kwiku świń, beczenia owiec, krzyków pijanych chłopów — potrafił przemówić jak wizjoner, ludzie gromadzili się wokół niego i słuchali z zapartym tchem. Sceną o wielkiej sile ekspresji był jego występ na bazarze Różyckiego w późnych latach pięćdziesiątych.



siątych. Sprzedawał wtedy cudowny wynalazek, niez- I wodny nożyk do cięcia szkła.  
—Po co wam szklarz, moi kochani! — wołał. — I Po co tracić pieniądze. Oto  
uniwersalny przyrząd doI cięcia szkła! Każdego szkła. Szyba, lufcik, witryna. I Wszystko  
bierze. Cud wprost niebywały. Ojczyzna na-I sza wydała wielu wielkich wynalazców. Nasz  
rodakI opatentował już swój aparat w wielu krajach Europy I i Ameryki. A mnie  
uczynił przedstawicielem swoichI praw na kraj. Każdy szklarz musi mieć diament do cię-I  
cia szkła. Wiecie, co to jest diament? Bogactwo. Z diamentów szlifują brylanty. A tu nie  
trzeba żadnych dia-I mentów i innych szlachetnych kamieni... — w tym mo- I mencie  
podniósł rękę, błysnęło metalowe ostrze długoś- I ci żyletki, i chwyciwszy w drugą dłoń  
kawał szyby,I przesuwać zaczął ostrzem po szkło. Rozległ się przeni- I kliwy, przykry  
chrzęst. Chwycił szkło oburącz i przeła-I mał na dwie równe części. Następnie każdą z tych  
częściI przekroił na dwie mniejsze. Demonstrując wpatrywał I się w ludzi, oczy płonęły  
mu świętym blaskiem.

—Widzicie sami ten cud! — powtarzał scenicznym I szeptem. — Widzicie! Szkło  
dzieli się niby opłatek! CzyI ja mam diabła w rękę, czy co?!

Wkrótce do wdowy z Targówka, która statecznie I  
siedziała na niskim taborecie, trzymając na kolanach I  
walizkę pełną czarodziejskich nożyków, ustawiła się I długa kolejka chętnych.

Gdzie wędruje teraz ten niestrudzony handlarz? Za- I pewne już w zaświatach.

## 6. NOWA KALEDONIA

Tak, tak! W PRL-u były miejsca zsyłek. Element aspołeczny, obcy klasowo i ideowo, pasożytniczy, wrogi, usuwany bywał ze stolicy. W trybie administracyjnym, przyspieszonym następowała wyprowadzka z Warszawy. Eksmisja z zajmowanego lokalu i delikwenta wywozili na koszt państwa na Ziemię Odzyskane, przydzielali mu tam mieszkanie, jakieś zatrudnienie. W ten sposób zostawał zesłańcem i na Zachodzie był za pioniera, osadnika. Proceder zasiedlania budził wiele emocji i nam, chłopakom, kojarzył się z Sachalinem, Tasmanią czy Nową Kaledonią na Pacyfiku, gdzie z Europy wysyłano na przymusowe osiedlenie awanturników, oszustów, rabusiów, szulerów, niewypłacalnych dłużników, nierządnicę. Także droga na Sachalin przez niezmierzone tajgi i tundry musiała być bardzo malownicza, efektowna. Ale w naszych zsyłkach niewiele było powieściowego romantyzmu. Nie płynęli przecież morzami w ładowniach statków i nie lądowali na dzikiej, często bezludnej ziemi. U nas odbywało się to w scenerii przypominającej zwykłą przeprowadzkę. Podjeżdżała ciężarówka, delikwent znosił do samochodu swoje graty. Miał ściśle wyznaczony czas na dokonanie tej czynności, przy której asystowali oprócz urzędnika z kwaterunku zazwyczaj dwaj funkcjonariusze MO i wio!

Odjeżdżał w pionierską dal!

Tak właśnie wyekspediowano legendarnego Księcia Nocy, osobistość niezwykle popularną w kręgach półświatka, urzędującego w „Polonii”. Była to scena bardziej efektowna niż inne przesiedlenia, ze względu na inwencję i fantazję, jaką wykazał wspomniany wyżej osobnik. Mieszkał z matką w wielkiej, secesyjnej kamienicy w Alejach Jerozolimskich. Mieszkanie duże, wielopokojowe, zajmowane było przez kilka rodzin, korzystających ze wspólnej kuchni. Takie mieszkania nazywano „kołchozami”.

Podjechała pod bramę ciężarówka i urzędnik z nakazem eksmisji w asyście dwóch milicjantów przystąpił do czynności. Księżę Nocy pozbawiony został swojego metrażu — odebrano mu pokój i matce pozostała tylko służbówka, która jej przysługiwała na mocy kwaterunkowego nakazu. Początkowo jak Rejtan nie chciał się ruszyć ze swego pokoju, ale ponieśli go schodami na dół. Za nim dreptała jego matka, chlipiąc i płacząc. Długo to trwało. Wyrwał się im i wierzgał.

— To moje miasto, ówoki !>— wołał. |g| Żyliśmy tu od pokoleń, jesteście solą Warszawy! Zebrała się spora gromadka gapiów. Przybyło towarzystwo z „Polonii”: handlarze walutą, niebieskie ptaszki, dziewczyny.

Księżę Nocy po wielu bezskutecznych próbach zrezygnował już zupełnie z oporu i w milczeniu pakował do ciężarówki toboły z pościelą, ubrania, dwa krzesła, polowe łóżko, karton z książkami. A na koniec, siedząc już na stosie swoich bagaży, rozpostarł ręce jak ptak i zawołał: „Ja tu wrócę!”

Odjechali.

Rzeczywiście wrócił. Po miesiącu zielonogórskiej zsyłki pojawił się znów w Warszawie, powitany entuzjastycznie przez „polonijne” towarzystwo. Nocował gEj cinnie u dziewczyn, przyjaciół, czasem razem z matką w służbówce, i znów tym charakterystycznym, zdobywczym krokiem przemierzał śródmiejski kwartał. Kiedyś został rozpoznany, zatrzymany i ponownie odesłany na miejsce zsyłki. Tak to trwało. Kursował między Zieloną Górą i Warszawą.

## 7. NOCE STAREGO ŁAMIGNATA

Nie będzie to obrazek o nocnych apaszach, występnych kochankach noża i księżycu. Rzecz dotyczy zajęcia o posmaku filozoficznym. Takiego, które sprzyja medytacji w ciszy i ciemności. Bywali tacy nocni pracownicy. Zazwyczaj spali do południa, później snuli się po mieście, gwarząc i smakując piwko czy wódeczkę, żeby wraz z nastaniem ciemności udać się do swego obowiązku. Jeden z nich, zwany Łamignatem, był cieciami nocnym rozległej budowy w śródmieściu. We wczesnych latach pięćdziesiątych zaczęto tam wznosić jakieś ministerstwo czy inny urząd centralnego szczebla. Teren został ogrodzony parkanem, zalegały na nim stosy cegieł, betonowe bloki, rury i pręty, zwoje kabla w ołowiu, nieruchomości na noc spychacze, buldożery, betoniarki i inne maszyny budowlane. Stróż zajmował budę z nie heblowanych tarcic przy bramie opatrzonej potężną kłódką i tam wysiadywał nocami ze swoim kudłatym, wielorasowym brytanem o staroświeckim imieniu Medor.

Ciec Łamignat, przewany tak z powodu siły w rękach, był człowiekiem już wiekowym. Dłonie miał jak łopaty i mało kto z młodszych mógł go położyć na rękę. Zaciskał paluchy jak stalowe cęgi, wspierał się łokciem o stół i stękając z wysiłku, przygwałdział rękę przeciwnika. Zakładał się nawet o pieniądze i zawsze wygrywał.

Przed wojną najmował się jako ciec w żegludze rzecznej. Pilnował portu wiślanego i jego opowieści z tamtych czasów były bardzo nastrojowe. Lubił ciszę nocy, która sprzyja skupieniu i medytacji. Latem siadywał przed budą, Medor walił się u jego stóp i stary Łamignat w braku człowieka rozmawiał z psem. Wspominał dzieje swego długiego życia, nieboszczkę żonę, syna, który zginął w powstaniu. Najchętniej mówił o rzece Wiśle. W młodości pływał na pogłębiarkach i berlinkach. Pływał do Sandomierza, Płocka, Włocławka, Gdańska. Marzeniem starego był powrót nad rzekę. Pertraktował w sprawie objęcia stanowiska nocnego stróża w Łomiankach. Tam wybierali z dna rzeki piach, stały rozmaite maszyny i potrzebny był człowiek do pilnowania piaskarskiej przystani nocą.

Zwierając się z tego zamiaru, uśmiechał się radośnie i powiadał: „Rzeka to jest to, co mi najbardziej pasuje”. Medor leniwie machał ogonem i stary Łamignat traktował zachowanie psa jako jego pełną aprobatę. „Czy wiecie... — ożywiał się — jak on pływa? Pod prąd i z prądem może kilometrami. Takie buty” — kończył tym powiedzeniem każdą kwestię i ziewał.

Noce na budowie na ogół płynęły spokojnie, nic szczególnego się nie działo i głos syreny pogotowia czy milicyjnego samochodu zawsze ożywiał starego ciecia. Podchodził do parkanu, długo wpatrywał się w światła miasta.

— Napadli kogoś... — zastanawiał się. — Serce komuś odmówiło posłuszeństwa. Czort jeden wie.'

Łamignat przy okazji swego zajęcia prowadził pokątny handelek wódką i papierosami. Dla zaufanych ludzi miał zawsze flaszkę i fajki po niezbyt wygórowanej cenie. Utrzymywał zresztą, że czyni tak kierując się przede wszystkim chęcią wspomagania potrzebujących.

28 Marek Nowakowski

— Chce się takiemu palić. Sam palę i wiem, co to || znaczy. Albo wypił troszkę i jest niedopity. Męczy się I wtedy człowiek jak cholera. — Może to i prawda. Nie-1 raz dawał na kredyt i klienci nie zawsze oddawali mu ■ należności. Nie złościł się zbyt, wykazując wyrozu- 1 mialość dla ułomności ludzkiej natury.

— Pies jest lepszy od człowieka — mówił stanów- JI czo i czochrał Medora po kudłatym grzbiecie. Medor i był mu najbliższą istotą i przeżywał jego szybko postę- 9 pującą starość.

— Chodzi coraz wolniej — martwił się. — Łapy mu t| sztywnieją. Pies żyje o tyle lat mniej od człowieka. Dla-1] czego tak to Pan Bóg urządził? — Stary Łamignat noc I chyba upodobał sobie z przyczyn światopoglądowych; 1 Ludzi prawie wcale nie widać. Tych nielicznych skrywa II ciemność. Oko odpoczywa. Głosów ludzkich nie sły- 9 chać. Ucho odbiera inne dźwięki. Muzykę nocy. Potem I ciemność rzednie, szarzeje i nagle wyskakuje słońce. || Ptaki zaczynają śpiewać. Ciągłe nie widać ludzi. Oni I budzą się później.

Stary Łamignat utrzymywał przyjazne stosunki ;|

z pewną „gruzinką”, wysłużoną weteranką, która mimo I wieku usiłowała jeszcze utrzymać się na posterunku. I

Współczuł jej ciężkiej pracy, szanował ją za upór i nie- I

raz wypijał z nią sekretną ćwiarteczkę, którą nazywał I

po dawnemu czterdziestką. Cały czas wtedy rozglądał I

się niespokojnie, obawiając się wejścia inspektorów. I

„Oni lubieją czasem, psie syny, nocną kontrol robić... I

Złapią na picu i z roboty won!” „Gruzinka” szybko się I upijała i Łamignat wyprowadzał ją z budowy, szepcząc:

„No idź sobie! Idź!” Odwiedzał go również włóczęga, I

szperacz śmietnikowy, brodaty dziad z workiem, w któ- I Jemu pozwalał spać

w szopie, będącej składzikiem podręcznym narzędzi na i budowie. Dziad układał się na deskach i mówił głu-

POWIDOKI 3 29

chym, uroczystym głosem: „Bóg zapłać, dobry człowieku!” Stary Łamignat kiwał głową i stwierdzał: „Jaki to ma głos, jak pop!” Jeszcze chwilę patrzył na dziada, który natychmiast zapadał w chrapliwy sen, i odchodził do stróżówki. Nie wiadomo, czy otrzymał upragnione zajęcie nocnego dozorca na przystani w Łomiankach. Pewnego wieczoru inny stróż zajął jego miejsce w budzie przy bramie, mężczyzna w sile wieku, o wyglądzie zawodowego podoficera. Zapytany o starego Łamigna- ta, wruszył ramionami i odpowiedział: „Nic o takim nie słyszałem”. Od lat wielu na tym terenie stoi kompleks gmachów ministerstwa i tylko siłą pamięci można zobaczyć starego Łamignata z psem przed budką przy bramie. A może to wszystko jest imaginacją?

## 8. POSZUKUJĄC DAWNYCH „DOŁKÓW”, KOMISARIATÓW

Wielu było takich, co zaznało niewygód aresztanckiej twardego łóżka w piwnicznych celach. Leżeli jak śledzie, jeden obok drugiego, licząc godziny z nadzieją na rychłe wyjście. Pobyt często przedłużał się na 24 godziny i więcej, żeby z powodu fatalnego pecha zostać ukoronowa-j nym sankcją prokuratora. Te „dołki”, czyli cele w korni- : sariatach, domagają się uwiecznienia dla potomności.] Należy przywołać i znów wyobrazić sobie okratowanej okienko, wychodzące czasem na ulicę, choć częściej na podwórze, przez które obserwowało się z chciwą zach-tj łannością przesuwające się jak w filmie nogi przechod-i] niów. Damskie i męskie. To napięte wsłuchiwanie się w kroki na korytarzu. Idą po mnie! Puszcza? Nie puszcza? Zgrzyt klucza w drzwiach, pokazuje się burkliwy] profos i wręcza ci pajdę razowego chleba z marmoladą I i kubek zbożowej kawy. Albo krótkim gestem dłoni ka- I że ci wstać i prowadzi na górę do pokoju śledczego. Och, I te dni i noce! Aresztanckie sagi warszawiaków. Ludzie I z różnych powodów przebywali w tych „dołkach”. Sie- I dzieli z niższych i wyższych pobudek. Za gadanie poli- I tyczne, za słuchanie wrażeń rozgłośni radiowych, za I handel zakazaną walutą, za opilstwo i burdy. Ale bez I względu na powody warto przywołać tamte, nie istnieją- I ce już komisariaty.

Był taki osławiony komisariat XI w Alejach Jerozo- I

■ limskich. Druga lub trzecia brama od Poznańskiej I w stronę pl. Zawiszy. W tamtejszym „dołku” osadzano I dziewczyny z „Polonii”, rozrabiaków, pijaków, walucia- I rzy, doliniarzy, paserów, bikiniarzy z pikiety.

Popularnością cieszył się również komisariat na

■ Siennej w jednej z zachowanych kamienic i był w nim I duży ruch. Szczególnie wtedy, kiedy w baraku, gdzie

■ niegdyś mieściła się stołówka budowniczych Pałacu K Kultury i Nauki, powstał nocny lokal, nawiedzany I tłumnie przez bywalców z powodu bardzo przystęp- I nych cen.

Niedaleko komisariatu na Siennej był drugi milicyj- I ny przybytek na Walicowie. Też w starej kamienicy. I Też tam istniał duży przepust. Idąc dalej na Ochotę I przy ulicy Grójeckiej w pobliżu pl. Narutowicza napo- I tykało się komisariat z piwnicznym aresztem, którego okienka wychodziły na ulicę, i można było godzinami kontemplować uliczny ruch, widoczny jedynie do pasa, to znaczy nogi i co najwyżej brzuchy przechodniów. W tym samym budynku był fryzjer; strzygł on i golił dłużej przebywających aresztantów. Należy jeszcze wspomnieć o życiu w tych ciemnych piwnicach. Wieczne opowieści o skokach i wyrokach. O marzeniach, pragnieniach. Śpiewy o utęsknionej wolności.

Poznikały stare komisariaty. Służby milicyjne (teraz policyjne) przeprowadziły się do nowych budynków, takich jak gmach komendy na Wilczej czy siedziba komendy na Ochocie przy ul. Opaczewskiej.

Gdzieś w okolicach Żelaznej w stronę Leszna — teraz al. Solidarności — znajdowała się placówka kompanii konwojowej MO, która zajmowała się przywozem i wywozem więźniów na rozprawy sądowe do Warszawy. Był tam obszerny aresztancki „dołek” i przebywali w nim nie tylko dowieźni więźniowie. Wpychano również tymczasowych aresztantów.

Zniknęło to miejsce. Ze znanych, wysłużonych przybytków pozostał tylko Pałac Mostowskich z bardzo rozbudowanym systemem piwnicznych komnat. Może ktoś z dawnych bywalców dorzuci jakąś informację o innym zapomnianym komisariacie z jego aresztanckimi przy- ległościami?

## 9. PAMIĘĆ DWÓCH MAŁYCH ULICZEK

Po Kiercelaku, Wołówce, Żelaznej Bramie nie pozostało nawet śladu. Tylko mętne wspomnienia. Najstarsi odkopywali jeszcze z pamięci bazar Jonasza na Krochmalnej. Ale gdzie to było, jak wyglądało? Atlantyda! Mało kto wiedział. Zmieniła się topografia, zniknęły dawne ulice, wyrastało nowe budownictwo. I pozostały tylko te dwie małe uliczki, były rezerwatem w peerelowskiej stolicy i jak do Mekki ciągnęli do nich ludzie. Bagno i Prózna. To brzmiało i mocnym echem brzmi do dziś. Małe, wąskie wąwozy pośród starych, pokiereszowanych kamienic. Niektóre z utraconymi balkonami, mury posiekane pociskami, zrujnowane oficyny. Ale wszystkie żyły, kipiały życiem. Od rana do wieczora tętniły ruchem, pracą. W warsztatach, sklepikach nigdy nie brakowało klientów. Była to ostatnia enklawa drobnej wytwórczości, napraw, remontów. Tylko tutaj można było znaleźć uszczelkę do kranu, mutrę, kawałek rury, sedes, zlew. Tu wyrabiali gniazdka elektryczne, kontakty, maszynki. Tu mogłeś zakupić solidną beczkę do kwaszenia kapusty, wyżymaczkę do prania, kubel, czajnik. W ciasnych, zagraconych norach siedzieli fachowcy, którzy mogli wszystko polutować, polatać, zreperować i pod dotykiem ich „złotych” rączek zniszczone urządzenia zaczynały ponownie funkcjonować. Pielgrzymkami ciągnęli warszawiaczy w wąwozy tych

3 — Powidoki 3

małych uliczek, zachowanych cudem wśród ruin. Znały w nich ostoję przedwojenne renomowane firmy ■ elektryków, mechaników, tapicerów, stolarzy. Miałaś I pewność, że trafiłeś do solidnych mistrzów rzemiosłami Przecież tylu przedmiotów brakowało, tyle było po- 1 trzeb, których nie mogła zaspokoić państwowa wytwór- ■ czość PRL-u, po macoszemu traktująca drobiazgi I i przedmioty codziennego użytku. Toteż ci fachowcy! mieli ręce pełne roboty i potrafili sobie dać radę z róż- fl norakimi potrzebami klientów.

— Jeżeli nie znajdziesz tego na Bagnie albo na Próż- i nej, to już nigdzie nie znajdzieszpowiadano w War- a  
sza wie.

34 Marek Nowakowski

W zakętym rewirze dwóch uliczek zachowały się ! ostatki prawdziwego rzemiosła i królowała tam inwen- . cja i pomysłowość niebywała. Jednak władza patrzyła na prywatnych rzemieślników nieprzychylnym okiem j i cisnęła podatkami, domiarami, nagłymi nalotami rewizorów, poszukujących „lewizny”, czyli surowca i części- ci zamiennych, zdobywanych nielegalną drogą z państwowych magazynów. Mimo wieloletniego ucisku mistrzowie rzemiosła trwali niezłomnie. Warszawskiego ducha nieujarzmionych uliczek wzmacniała przytulna obecność starego szynku Klimka, renomowanej knajpy niskiej kategorii, wyrzuconej z resztek ulicy Wielkiej, zamienionej na plac budowy Pałacu Kultury, i przeniesionej na Próżną. Klimek więc dawał pracowitym mieszkańcom dwóch sąsiadujących ze sobą uliczek chwile wytchnienia w typowej atmosferze dawnej gastronomii, gdzie wszyscy się znają, tworzą rodzinną wspólnotę i nawet konfident przestaje być konfidentem. J Nie ma już dawnego Bagna. Powstała nowa Święto- | krzyska i na jej tyłach wybudowano osiedle standardom | wych bloków. Rozebrano stare kamienice na Bagnie, j Umarła uliczka drobnego rzemiosła i handlu. Pozostała j  
jeszcze Próżna w majestacie starych, zniszczonych murów. Ale już nie ta sama, choć trwają niektóre firmy, warsztaty. Nie ma już Klimka, zamienionego w sklep z lampami. Powinna jednak pozostać pamięć o tych dwóch uliczkach, które jak niezdojta twierdza przetrwały tyle lat, opierając się zagładzie.

## 10. SZYDERCY

Stał pośrodku, oni otaczali go kręgiem. Musiał być nieźle po sześćdziesiątce, ale jeszcze krzepki. Zgarbiony, głowa wysunięta do przodu i pochylona — to od wieloletnich spacerów na trzy kroki pod całą, kiedy tak gnasz od ściany do ściany i patrzysz w podłogę, bo niby gdzie masz patrzeć? Koszula z długimi rękawami nie podwiniętymi w ten upalny dzień, spod mankietów widoczne tatuaże, wylażą aż na dłonie te węże, sztylety i dybki, pod szyją też niebiesko od wzorków. Mocno był obrysowany. Podpity, kołysał się jak matros na pokładzie łajby i gestykulował gwałtownie.

— ... Kozaków takich już nie ma, rąbał komis za komisem, współników miał charakternych, kochanicę oddaną, robili gliny na niego obławy i wciąż im się wymykał.

Ciągnęła się ta opowieść rozlewnie, mówił niewyraźnie, szpikując swoją gadkę powiedzonkami rodem z dawnej, złodziejskiej kminy. Stary urka z miasta. Wyskoczył z przeszłości jak muzealny okaz.

A oni, byki młode, łby okrągłe jak piłki futbolowe, wszyscy w kolorowych dresach, adidasach, bransolety! złote na rękach, łańcuchy złote na piersiach, telefony komórkowe w łapach. Otaczali go ciasnym kręgiem i zachęcali do gadania.

— Pamiętam, w pudle to było, Siedlce, na spacerniku cały oddział złodziejski jednego kapusia wziął pod klumy, ani kwiknął, przeszliśmy po nim jak po mokrym asfalcie... A jaki szacunek dla starych kozaków mieliśmy! Stary złodziejacha był jak ojciec dla nas. Pamiętam, to było w Wiśniczu, słuchaliśmy wieczorami Wygibusa. Opowiadał, jak to bywało przed wojną. Jakie skoki oni robili!...

Te młode osiłki w kolorowych dresach słuchali go niby z powagą, potakując i cmokając z przejęcia, ale w oczach mieli kpinę. Zabawiali się kosztem starego, przepitego emeryta.

— Prawidłowa mowa — odezwał się jeden z nich, młodzian o posturze zapaśnika, grały mu bicepsy pod koszulką z napisem University of New York. — Będziemy uczyć się od profesora. — Skłonił się z błazeńskim szacunkiem staremu.

Ten podpity kombatant wielu odsiadek jeszcze nie pojął kpiny i uznanie szyderców sprawiło mu wyraźną przyjemność.

— Trzeba mu dać jakąś fuchę — wtrącił inny z młodych. — Zarobisz przy nas, nie zginiesz. Masz! — Zadyndał kluczykami na wskazującym palcu. — Dostaniesz brykę, pojedziesz z nami. Pokażemy ci co i jak... — Wskazał na szafirowego forda, który stał wśród innych eleganckich aut.

Weteran popatrzył na kluczyki, przeniósł wzrok na samochód.

— Kiedy ja prowadzić nie umiem — wystękał wstydliwie. — Inne były czasy. Okazji nie było. Siedziało się w pudle, wychodziło i tak w kółko.

— Prowadzić bryki nie umiesz? — obłudnie zdziwił się któryś z młodych.

— Nie umie... — powtórzył jeszcze inny. — To on chyba z epoki kamienia łupanego! — Wybuchnęli śmiechem. Naprawdę rozbawił ich ten człowiek z muzeum.



Niby taki jak oni, cwany, tatuowany, siedział w wiehi tiurmach. A zupełnie inny.

Dalej więc sobie żartowali.

— Niedobrze, dziadku — zatroskał się ten w koszulce z angielskim napisem. — Co by ci tu dać?..d A może za ciecia będziesz robił? Domu doglądać; ogródek przekopać. Znasz się na kwiatkach, klombach! i tak dalej?

Stary popatrzył na nich nieufnie. Wyczuł wreszcie,| że pośmiewisko sobie z niego robią.

Zabzykał telefon komórkowy i któryś z młodych] wcisnął odpowiedni guzik podnosząc aparat do ucha. I

— Tak jest! — odparł krótko. — Zaraz będziemy!! Już koniec rozmowy!

Dał znak ręką swoim towarzyszom. Całe to towa-| rzystwo kolorowe, dresowo-adidasowe ruszyło szybko do swoich bryk. Do tych fordów, opiów i innych szy- i kownych aut. Zapalali silniki i odjeżdżali z fasonem. 1 Jeden z nich wetknął staremu w dłoń napoczętą paczkę | marlboro.

— Zajaraj sobie, dziadku! — rzekł na odchodne |

Został na placyku przed oszkloną kawiarnią, sa- I motny weteran. Obracał w palcach podarowaną paczkę I papierosów i coś mamrotał.

Nagłym ruchem rozerwał koszulę na piersiach i od- I słonił wyblakłe tatuaże i blizny po chlastaniu na wysch- I niętym ciele.

— Za nic to dla nich! — zawołał łamiącym się gło- I sem. — Do śmiechu im najwyżej, wilkołakom! Pojeba- I ne wszystko!... gi Zatkanęło go wzburzenie i załkał I przejmującym szlochom człowieka wyrzuconego na II śmietnik. Nikt na niego nie patrzył. Nikt go nie słyszał. 9 Pędzili gdzieś ludzie.

## 11. MEDYTACJE O ŻYCIU

Ryksza była jego pojazdem. Warszawa całym światem. Mieszkał na Próżnej i zaraz był mur. Co to jest życie? Splunąć! Aż strach bierze, że taki twór, jakim jest ludzki organizm, te miliony komórek, te połączenia nerwów, mózg, obieg krwi, cały ten tajemniczy labirynt można zdmuchnąć jak świeczkę. Aronek był jego rówieśnikiem, razem ganiłi po mieście. Ojciec Aronka i jego starzy byli tragarzami pod halą i często popijali razem. Jeszcze przez dziurę w murze przez jakiś czas mogli się widywać. Potem już szlus. Nigdy więcej nie zobaczył Aronka. Brata Staśka kropnęli Niemcy. Był królem szmuglu, chodził przez granicę do Rzeszy. Miał łeb do interesów, dziewczyny kręciły się przy nim jak émy. To zdarzyło się po godzinie policyjnej. Halt, halt. Zaczęli uciekać. Strzał był celny. Po Staśku. Takie jest życie. Tymczasowe i łapczywe. Należy brać, co się da, każda chwila może być ostatnia. Wysiądzie serce, które dotąd biło jak dzwon. Nóż wejdzie za wysoko między żebra. Wacek Ćwiartula tyle przeżył, dwa lata w Gross- -Rosen. Ruskie później wywieźli go na białe niedźwiedzie. Przetrzywał tę golgotę i jechał sobie rowerem, piękny ranek, wybierał się nad Wisłę na ryby. Wędkarz z niego zamiłowany. Ciężarówka wyjechała z za zakrętu prosto na niego. Parę sekund i po nim. Zostało na bruku ciało, łachman nieruchomy. No i wędkę. Tak jakoś

40 Marek Nowakowski

to życie wykombinowane. Niby trzyma się mocno kupy, a tak łatwo może się rozsypać. Szczęście, nieszczęście! Hodujesz swoje szczęście jak kanarka w klatce, chuchasz, dmuchasz. A tu raptem uciekło! Ani się obejrzą^ leś. Na przykład była baba, nie ma baby. Puściła chłopą w trąbę. Pan Henio trzy razy takie doświadczenie miał. Ani szczęścia, ani miłości nie upilnujesz. Wystrzega się człowiek grzechu, bogobojnie się prowadzi, dobry uczynek za dobrym jego drogę zdobi. Czy takiemu nie należy się jakaś ochrona za cnotę? Gdzie tam! Choróbka dopadają, bieda gniecie. Drań, co boskich przykazań nie szanuje, żyje długo i szczęśliwie. Zdrowy jak rydz, silny jak byk, kto nad takim czuwa? Na podwórzu dwóch stało. Drań i dobry, boży człowiek. No i dlaczego ten kawał balkonu, co się oberwał, drania nie kropnął, tylko dobrego człowieka?

Pan Henio wcale nie jest bluźniercą. Chodzi do kościoła, wierzy w Boga. Tylko mu coś w tych rachunkach nie gra. Porządku i sensu nie może złapać. Tyle dzieje się na oślep. Przypadek, loteria. Przypomina sobie pan Henio swojego koleżkę z rykarskiej branży. Dwie swoje baby na śmierć zakatował, chłał do upadłego. Człowiek bez duszy i serca. Brata okradł doszczętnie, dzieciaki na mróz wyganiał. W Wiśle go chcieli utopić i nie dali rady. Wypłynął. Osiemdziesiąt lat dźwiga na karku, zdrowie jak żelazo, chła dalej i żadne wyrzuty sumienia za podłe życie go nie gryzą.

Według pana Henia, odwaga, oddanie, wierność dla sprawy wcale nie popłacają. Najlepsi chłopcy walczyli w powstaniu i wyginęli. A hołoty, marnoty zostało od groma. Hołota nigdy się nie wystawia, za plecami śmiałków woli przeczekać. Po wojnie te resztki najlepszych z komuną walczyły, ginęli po lasach, w piwnicach bezpieki, na Sybirze. Źle widzi pan Henio przyszłość. Materiał ludzki już się wyczerpał. Szlachetny ziemię użyźnia. Robaczywość wszelaka pleni się jak zaraza.

POWIDOKI 3 41

Coś tu nie gra. Trzeba historię uważnie czytać. Pan Henio lubi sobie poczytać. Taki Kaligula, Neron, Iwan Groźny... Na czym stało ich panowanie? Na zbrodni, przemocy. Jak ktoś słabo oblatany w dawniejszych czasach, to wystarczy przypomnieć naszego Papę Stalina. Tyle milionów ludzi wytrzebił! Żaden archanioł na niego miecza nie podniósł i spokojnie na łóżku kite odwalił. Te szkopy tak samo, jeden wielki szlachetny założyli, fabrykę śmierci. Spokojnie z nauką precyzją całą nację żydowską do gazu wysłali i nikt im nie przeszkodził. Aronek mógłby przeżyć. Miał wygląd nie podpadający, blondyn, raczej w typie mazowieckiego kmiotka. Nie chciał matki zostawić, braciszka młodszego. Przewagę mają ludzie bez skrupułów, dranie, takim się wiedzie. Wątpliwości, wyrzuty sumienia, litościwe serce. Taki frajer niczego nie osiągnie. Szkopski naród do największego dobrobytu doszedł, marka najmocniejsza waluta. Gdzie tu sprawiedliwość dziejowa? Polacy rąk krwią nie mają umazanych, ze szkopami bohatersko walczyli. No i co z tego mieli? Po okupacji niemieckiej dostali się pod sowiecką i pół wieku tak wegetowaliśmy. Najgorsi zawsze byli górą, szlachetni pierwsi poszli na odstrzał.

A te wielkie pieniądze, bogacze! W przewadze oszustwem, rabunkiem są zdobywane. Nikt za niegodziwość żadnego rachunku nie wystawia. Ręki karzącej brakuje. Może i jest, ale po omacku razy wymierza i spryciarz łatwo ciosu uniknie. Medytuje pan Henio i żeby w żart j swój ból życia obrócić, powiada: „Zgorzkniałem tak, odkąd nogi już nie dają rady pedałowac. Ostatni warszawski rykarsz był ze mnie i jak pedałami obracałem, nie było czasu na rozmyślanie. Nogi odmówiły, rykszę I do szopy wstawiłem i całe życie jak film się przedstawia. Nieczynny jestem, znaczy w kolejce do ostatecznej odstawki. Myślę, myślę i sensu całości nie widzę. Dlaczego tak to zostało urządzone?”

## 12. ROSJANIE W WARSZAWIE

Chodziliśmy do baraków na Opaczewskiej. Gościnnij podejmowała nas Halina Ryzów. Przesiadali u niej mężczyźni i pili wódkę. W barakach mieszkała Żulia\*, cwaniacy, rzeźmieszki, ludzie bywali i doświadczeni w omijaniu i przekraczaniu prawa. Halina Ryzów była dużą, obfita kobietą o opuchłej twarzy. Przeklinać] umiała jak szewc i choć żyła sama, bez stałego chłopaka dawała sobie radę. Jej mieszkanie otwarte było dzień] i noc, wódkę sprzedawała także na wynos. Awanturni-1 ków wyrzucała bez pardonu, posługując się pięściami i kopniakami. Często używała przekleństw w języku i rosyjskim i to bardzo wymyślnych. Bogaty ów repertuar i odziedziczyła, jak mówiła, po tatusiu. Tatuś był war-1 szawskim Ruskiem, przed naszą niepodległością pełnił i odpowiedzialną funkcję rewirowego policjanta i już i u nas pozostał na stałe. Halina Ryzów kultywowała i pamięć swego brata Saszki, który zginął w 1939 roku na i barykadzie ulicy Opaczewskiej, walcząc z Niemcami. Je-1 go portret w jaskrawych kolorach wisiał nad jej łóżkiem i i rankiem, podnosząc ciężką od przepicia głowę z po-1 duszki, wpatrywała się z zadumą w rumiane, pyzate ob-1 liczę chłopaka z włosami uczesany w przedziałek! pośrodku głowy i mówiła: „Nu wot, krasivy mołodiec!|1 Tatuś i brat spoczywali na prawosławnym cmenta-1 rzu na Woli.

Pod „Polonią” w latach pięćdziesiątych spacerowała

- w celach nie tylko spacerowych urodziwa, rudowłosa
- Nadzia Kłykow. Charakter miała serdeczny, wylewny
- i w „Dziku” pięknie nam śpiewała pieśni carskich i katorżników. Dziadek był wydalony na początku
- XIX wieku z Sankt Petersburga i został przymusowo
- osiedlony w Wołominie czy Tłuszczu. Takim napiętno-
- wanym kryminalistom nie wolno było mieszkać w me- i tropoliach imperium i stąd siedzibą rodziny Kłykow
- zostało podwarszawskie miasteczko. Ojciec Nadzi po-
- szedł na ochotnika do polskiego wojska i walczył z bo- i szewikami. Był człowiekiem solidnym, pracowitym i doszedł do stanowiska majstra w fabryce „Pocisk”. I Losy jego trojga dzieci różnie się potoczyły. Starszy i brat Nadzi zdobył wyższe wykształcenie techniczne i i zamieszkał w Łodzi. Młodsza siostra dorobiła się pra- i cowni krawieckiej. Natomiast Nadzia porzuciła męża, i porucznika LWP, i oddawała się z upodobaniem pro- i fesji damy lekkich obyczajów. Z mężem spędziła kilka lat na poligonie w mazurskich lasach i wspominała tamten czas z niechęcią. Dziewczyny takie jak Nadzia są wędrownymi ptakami. Przeniosła się do Szczecina, znęcona lepszymi możliwościami w portowym mieście, i dalsze jej dzieje są nieznanne.

Jeszcze należy wymienić niezapomnianego Jerzego Norberta Piętrowa, barwną postać warszawskiego półświatka lat pięćdziesiątych. Też wywodził się z Rosjan osiadłych w Warszawie.

— Mój ojciec był biały — informował z naciskiem. Warszawscy biali Rosjanie! Co rusz spotykało się takich. Dziad kościelny, czy jak nazwać wiekowego człeka, który krzątał się po dziedzińcu cerkwi metropolitalnej na Pradze. Był kopalnią wiedzy o kolonii rosyjskiej w międzywojennym dwudziestolecu. Znał osobiście Dymitra Fiłozofowa, wybitnego publicystę, myśliciela,

Marek Nowakowski

który w tamtych latach wydawał gazetę dla warszaw-i skich Rosjan. Dymitr Filozofow był bliskim przyjacielem pisarza Mereżkowskiego, jego żony, poetki Zinaidy Gippius. Znał go i cenił Jerzy Giedroyc, wówczas redaktor Polityki, Buntu Młodych.

Chodząc wąskimi przejściami wśród straganów i bud bazaru Różyckiego nieraz odczytywałem rosyjsko brzmiące nazwiska właścicieli i właścicielek na tabliczkach identyfikacyjnych. To oni, nasi Rosjanie!

Mój szkolny kolega Wołodia też miał podobny rodowód. Jego rodzice, z racji wcześniejszych doświadczeń<sup>1</sup>, bardziej byli zorientowani w perspektywach rysujących się po wyzwoleniu Polski przez Armię Czerwoną i pamiętam rozmowę ojca Wołodii z moim ojcem w stołowym pokoju naszego mieszkania. Ojciec Wołodii powtarzał jak Kasandra: „Niech pan zrozumie, panie kierowniku, oni idą po trupach i robią swoje. Gady!” — to słowo wymawiał, sycząc jak wąż.

Powinien mieć trwale miejsce w annałach Warszawy. Nie został obrazem, który mający w pamięci. Posiada nadal materialny kształt. Solidny, szary, niezbyt ładny budynek z tarasem widokowym na Wisłę. Dolną kondygnację zajmują warsztaty, hangary. Od brzegu pomost, przystań jachtów i motorówek. Dymią niedalekie Siekierki, huczy Trasa Łazienkowska, jednak swojskie zakola Wisły, łachy i zielone brzegi dają wytchnienie. Niektórzy niezmiennie od lat podążają tutaj, oparci o balustradę tarasu patrzą na rzekę.

W sezonie wiosennym rozlega się nieustający stukot młotków, warkot silników, palników. Właściciele łodzi sposobią swoje jednostki do wodowania. Skrobia, malują, uszczelniają, przebudowują. Dla kilku pokoleń wodniaków Jachtklub przy Wale Miedzeszyńskim na Saskiej Kępie posiada charakter drugiego domu i zbiera się tu stałe grono bywalców.

Do niedawna jeszcze pojawiał się starszy pan o łysej, jak wypolerowanej głowie, barczysty, muskularny. Był to jeden z nestorów żeglarstwa, pan Leon Jenz, olimpijczyk z 1936 roku w klasie łodzi jednoosobowych, uczestnik wielu krajowych i międzynarodowych zawodów. W czasie okupacji Jachtklub urządził konspiracyjne regaty na trasie Warszawa-Świder i pan Jenz był zwycięzcą. W ostatnich latach brał jeszcze udział w że-

13. JACHTKLUB

46 Marek Nowakowski

glarskich wyprawach na Karaiby i jego obecność dawała poczucie ciągłości. Dbał o właściwą atmosferę w klubie, jego ocenie podlegały manery i zachowanie gościa. Kiedyś pewien jegomość, rozprężony i zanarchizowany upałem, zdjął nie tylko koszulkę, ale i spodnie, i położył się w niezbyt estetycznych gaciach. Pan Leon Jensch na tym zwrócił mu uwagę, mroząc go pełnym naganą spojrzeniem. Był to prawdziwy żeglarz i dżentelmen. Zmarł kilka lat temu. Jego barczysta, wyniosła sylwetka, ogorzała twarz i pański sposób bycia już na zawsze będą kojarzyć się z przystanią.

Jachtklub Polski, bo taka jest pełna nazwa, nie miał łatwego życia w PRL-u. Trzykrotnie zmieniał swoje siedziby, wyrzucany bezpardonowo przez władze. Pierwsza, przedwojenna przystań znajdowała się blisko mostu Poniatowskiego, ale po wojnie miejsce to przejęła Legia. Wiadomo, klub sportowy LWP. W 1952 roku Jachtklub, jako relikwium przeszłości, został zlikwidowany, zdawało się, że już ostatecznie. Przed wojną honorowym Komandorem był prezydent Mościcki i ten fakt również ciążył jako odium. Jednak w 1956 roku nastąpiło uroczyste wznowienie działalności i klub zdobył ostatecznie stałą siedzibę. Trwa tutaj już 40 lat i kawiarnia w budynku (raz lepsza, to znów gorsza, zależy od agentów, dzierżawców, właścicieli) jest czynna nieprzerwanie i odwiedzają ją mieszkańcy miasta, spragnieni wytchnienia i oderwania się choćby na chwilę od kłopotów codzienności. Popijają kawę, wychodzą na taras i patrzą na zielone brzegi Wisły, łąchy złotego piasku i stada białych ptaków. Patrzą w dal rzeki, obserwują motorówki i żaglówki, oczekują na zmrok i tajemniczą grę reflektorów światła na wodzie.

Tutaj zajeżdżał w pogodne dni zawołany cyklista jak penetrator dalekich przedmieść Warszawy i jej okolic, I Stefan Kisielewski, stawiał rower pod murem i popijając herbatę z cytryną rozprawiał o swoich początkach, jako publicysty, w Polityce Jerzego Giedroycia przed wojną i z upodobaniem zadawał prowokacyjne pytanie piszącemu te słowa: „No, to jak uważasz, jesteś lepszy od Tyrmanda czy nie?”

W końcu lat siedemdziesiątych na tarasie klubu żeglarzy nieraz pojawiał się Adam Pawlikowski, nękany chorobą psychiczną, która przybierała postać złowrogiego osaczenia. Przychodził tutaj z księgami ojców kościoła i szukał oparcia w rzece i mądrości św. Tomasza z Akwinu. Nieraz unosił głowę nad księgi i mówił pełnym udreki głosem: „Wszędzie się czają! Pełzną w krzakach, są na dachu!”

Tutaj także spotykałem Andrzeja Zakrzewskiego, reżysera radiowego i filmowego. Andrzej jest kopalnią wiedzy o Warszawie i nikt tak jak on nie pamięta, gdzie był „Huragan” i jak przebiegała ulica Wielka. On to opowiadał mi o panu Jenszu, który był kolegą jego ojca.

Należy jeszcze nadmienić dyskretnie, że w Jachtklubie nieźle leczyć kaca i taki trudny dzień szczególnie zapadł mi w pamięć. Siedziałem w cieniu wiklin, moczyłem nogi w rzece, wdychałem łączywie wiaterek od wody i powtarzałem: „Zawiej mocniej! No, mocniej!” Przyszła wiosna, nadchodzą słoneczne dni i trzeba wybrać się do Jachtklubu.

#### 14. WARSZAWIAK PILNIE POSZUKIWANY!

Tytuł nie jest zbyt jasny, ponieważ wysiłek poszukiwań nie wydaje się być daremny. Ale w toku wywodu rzecz cała wyłożona zostanie należycie. Miasto miało swój typ mieszkańca. Nie na darmo mówiło się: „To jest warszawiak!” Na pierwszym planie jawili się przez swą rodzajową wyrazistość ci wszyscy cwaniacy, kozacy! chojracy. Ten chód z kołysem w ramionach, niby marynarski, głowa pochylona i wysunięta do przodu. Język soczysty, dosadny, zadziorność w oczach. Ale również ludzie zacni, solidni zawodowo, kolejarze, tramwajarze, furmani, kanalarze, nawet urzędnicy — też mieli swój sznyt, sposób bycia, który odpowiadał temu nadrzędnemu pojęciu warszawiaka. Także ważna w opisie jest twarz dawnego mieszkańca miasta. Błysk inteligencji, przekory, wesołej iskiej w oczach. Była to twarz otwarta, nie skrywała pod sztuczną maską innej, właściwej twarzy; wiele mówiła o przymiotach i wadach. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie chodzi o helleńską, klasyczną urodę. Twarz mogła być szpetna. Lecz miała swój wyraz. Forma była odbiciem substancji duchowej Humor, zachowanie mieszkańców miasta na ulicach\* w tramwajach. Dowcipy, które pozostawały w najcięższych czasach i pozwalały lepiej znosić wszystkie dopusty I losu. Solidarność mieszkańców stolicy w momentach I ostatecznych zagrożeń. Motorniczy gwałtownie hamuje tramwaj, ostrzega: „Łapanka!” Ludzie wyskakują i kryją się w bramach.

Warszawiacy w latach powojennych szybko stawali się mniejszością. Przybywali ludzie z wiosek i miasteczek. Tak też było przed wojną. Warszawiacy powstawali z elementu napływowego, ale czekali na nich już inni, zasiedziali od pokoleń mieszkańcy stolicy, i oni kształtowali styl życia, obyczajowość. Przybysze mieli wzorce. Po wojnie jednak „element napływowy” zaczął dominować. Napływowi częstokroć byli aktywistami rządzącej partii, funkcjonariuszami władzy i pokonywali w przyspieszonym tempie drogę z dołu na wyżyny. Zasadą nadrzędną było posłuszeństwo i dalsza kariera. Natomiast rzesza napływowych robotników, wyrwana z tradycyjnej obyczajowości wiejskiej, pozbawiona wszelkich korzeni, żyła jak ślepe krety wyrzucone ze swoich nor, poruszając się po omacku i bez żadnego drogowskazu. Stracili swoją przeszłość, a obca im była i obojętna tradycja i historia miasta, do którego przybyli. Zaczynali swą drogę od zera. Tabuny przybyszów zaludniły miasto. Wraz z kolejnymi zmianami ekip z przybyłych formowała się nowa warstwa rządząca, od najniższego do najwyższego szczebla. Wydawała ze swego kręgu sekretarzy, dyrektorów, komendantów, profesorów. Mówiło się przeto w naszym mieście, że z kolejnym partyjnym bonzą zjeżdżają jego ludzie ze Śląska, Wrocławia, Rzeszowa, Hrubieszowa i zajmują rozmaite stanowiska w centralnym aparacie. Latami trwały te najazdy. Przybysze zostawali na stałe w stolicy i wykształcił się nowy typ urody, postury jegomościa, który też nazywał się warszawiakiem: przysadzisty, brzuchaty, kaczkowaty, o twarzy bezkształtnej, rozmazanej w rysach. Bo ruchu mało, tryb życia siedzący, narady, konferencje, odprawy, samochód odwoził i przewoził. Sowiecki tryb zajęć, działali i myślenia

wpływał na kod genetyczny nowego warszawiaka. DoJ minować zaczął twórcę mongołowaty; kluchy, golonka schabowe i koniak Ararat. Przebiegła chytryść pod pojęciem zorem dobroduszości w małych, utopionych w tłuszczu czy oczkach. Właściwości duchowe harmonijnie łączyła się z fizycznością. Tempo cwany, pazerny, pozbawiona! poczucia humoru, lekkości i choćby szczypty bezinteresowności, sowności, tak potrzebnej w życiu każdej wspólnoty\* Taki homo novus wychowany w duchu nihilizmu jest wciąż obecny w urzędach, bywa biznesmenem, polityką; sądząc po liczbie odkrywanych afer jego systemem wartości jest brak wszelkich wartości i kiedy mówił (a mówić potrafił godzinami), to wiadomo, że pod jego zapewnieniami, obietnicami kryją się zupełnie inne intencje, bo słowo służy do tego, żeby ukrywać prawdę we zamiary.

Oto typ człowieka panujący w naszym mieście. Przejdźcie się ulicami, popatrzcie uważnie! Natomiast warszawiacy od pokoleń, rdzenni mieszkańcy Miasta, o którym kiedyś mówiło się, że jest niepokonane, są niby Indianie, ostatni Irokezi, wegetujący w ciasnych rezerwach. „Mongol” przytłacza!

PS. Proszę wszystkich Azjatów, Mongołów, Chińczyków, Wietnamczyków, żeby nie brali tego epitetu do siebie. W moim mieście od lat „mongol” był określeniem pejoratywnym i nic to nie ma wspólnego z narodami, mieszkańcami jurty w pięknej Mongolii, potomkami walecznego Dżingis-chana czy prawnukami sławetnych chińskich mandarynów.

#### 15. PAMIĘCI SERDECZNEGO DRUHA

Nie było lepszego kompana od Ziutka Żebrowskiego. Miał wielkie serce do hucznej zabawy. Serce i pomysły. Czas w jego towarzystwie upływał szybko i barwnie; mijał dzień, mijała noc i jeszcze jeden dzień. Oczywiście będzie stwierdzenie, że musiał mieć żelazny organizm. Jednak to duch nade wszystko dawał mu tę niebywałą kondycję. Ziutek posiadał niezłomną sztukę radości życia nawet w najgorszych warunkach. Całym sobą był zaprzeczeniem marksistowskiej reguły, że byt określa świadomość.

Nauki najważniejsze pobierał w latach okupacji, a firma handlowa, w której pracował, była beczką prochu. Konspiratorzy z AK, składzik broni, bibuły i jeszcze nielegalny handel na dużą skalę, skorumpowani Niemcy do usług. Zajęcia pełne ryzyka zwykle wieńczyło się zabawą w doborowej kompanii. Piło się bimblerstwo i francuskie koniaki. Osaczały śmiertelne niebezpieczeństwa i okrutny terror. Jeden z przyjaciół w Oświęcimiu, drugi ginie w ulicznej egzekucji, a jakby na przekór temu okupacyjny Ziutek kipi energią i optymizmem. Wisielczy dowcip nie opuszczał go nawet w chwilach, kiedy życie wisiało na włosku. Lata powojenne przyniosły z sobą kolejną zmoję. Wielu zmęczonych okrutną huśtawką Historii uciekało stąd lub popadało w apatię, skrajny pesymizm. Ziutek osiadł we Wrocławiu-

wiu, zajął się handlem, prywatny sektor jeszcze nie został przeznaczony do likwidacji. Co jakiś czas wpadał do Warszawy, żeby wydać libację w gronie odnalezionych przyjaciół. Z osławionym Księciem Nocy chodził przed wojną do gimnazjum Lelewela. Z ojcem Koguta, mistrza bilardu, prowadził w okupację interesy. „Polo-al nia”, „Paradis”, „Bristol”. Wznosili toasty za lepszą przyszłość i gdy rozglądali się po znajomych wnętrzach i w tych ocalałych restauracji, zdawało się im, że znów są w dawnej Warszawie. Ziutek długo nie wytrzymał we Wrocławiu i z powrotem na stałe powrócił do stolicy. A choć dla indywidualistów było coraz gorzej, nie stracił inwencji i chwycił się różnych zajęć pozwalających; zachować choćby minimum niezależności. Był kierownikiem młyna w okolicach Góry Kalwarii, zaopatrzeniowcem, prowadził bufet w przystani nad Wisłą. Bufet przez niego prowadzony prosperował świetnie, żeglarze i zadowoleni, działacze tak samo; przyjęcia po kursach i konferencjach, będących nagminną plagą PRL-u, wyglądały jak bankiety w najlepszych knajpach. Oczywiście i cie, ze względu na sportowo-rekreacyjny charakter przystani, bufet był bez wyszynku. Ale często w godzinach wieczorowych zamieniał się w przytulny lokalik dla wtajemniczonych. Balowaliśmy w swoim gronie, wódki nie brakowało, a za dnia ani cienia podejrzeń wobec zacnego kierownika bufetu. Nocne bachanalia były naszą słodką tajemnicą! Taki był Ziutek. Nawet na bezrybiu potrafił coś wykombinować. Działając z musu w sektorze państwowym interesował się również szczerymi relikwami inicjatywy prywatnej; okazjonalnie był dostawcą bielskiej wełny dla prywatnych krawców czy skór dla ostatnich garbarzy w Radomiu. Zdobyszy w ten sposób szybką forszę ruszał charakterystycznym, utykającym krokiem do „Dzika”, „Simona”, „9 Starej Baśni” i przy biesiadnych stołach jego niepoko- i nany optymizm i humor udzielały się innym. Słynne było jego nawoływanie do spełnienia toastu, które przypominało wojenny okrzyk Indian, i już z daleka wiedzieliśmy, że to Ziutek właśnie.

W „Stolicy”, nocnym dancinowym lokalu na ostatnim piętrze CDT, stary, przedwojenny kelner, pan K., uśmiechał się promiennie na widok Ziutka. Pamiętał go jeszcze z dawnej „Gastronomii”, Lija. Toteż czasem kredytował swemu ulubieńcowi, nie biorąc żadnego zastawu.

— Jakżebyś mógł od pana! — obruszał się i tylko mitygował Ziutka, który wypiszy więcej wyśpiewywał gromko: „Lance w dłoń i bolszewika goń, goń...” albo „Falanga walczy, Falanga czuwa i nową Polskę wykuwa!...” — Czasy się zmieniły — ostrzegał opiekuńczy pan K. — Pełno ubowców na sali. — Ziutek Żebrowski siedział na wozie i pod wozem. Nieraz bez złamanego szeląga w kieszeni noc spędzał na dworcu i wcale się nie zamartwiał brakiem perspektyw na następny dzień. Odwiedzał kolegów, dawnych współników, którym lepiej się wiodło. Łączyła ich pamięć o przeszłości, wspólne doświadczenia i wspomagali się wzajemnie. Jeszcze pewną szansę stanowiły ostatnie bastiony rzemieślników i kupców.

Ale zatracaly się i traciły trwałość dawne zasady lojalności, uczciwej konkurencji i mało komu można było wierzyć. Niegodziwość dopadała znienacka, kwitło do-nosicielstwo i tym stanem rzeczy smucił się Ziutek najbardziej. Był anachronicznie prostolinijny, życzliwy ludziom i naiwnie szczery. Często płacił za to wysoką cenę.

Po październiku 1956 roku otworzyły się lepsze widoki dla prywatnego handlu, rzemiosła i Ziutek Żebrowski jeden z pierwszych wykorzystał szansę. Były w jego życiu stolarnie, wytwórnie forniru, produk-



| Marek Nowakowski

cja past, farb, lakierów. Czego zresztą nie było! ZiutekJ kuśtyka, wspierając się laską, wsiada do samochodu z inwalidzkim znakiem i pędzi do Kałuszyna, Siedleca Sochaczewa. Jednak nigdy nie został niewolnikiem swoich interesów. Zawsze miał czas na posiedzenia w ostatnich, starych knajpach, gdzie zbierało się „mia- ; sto”. Załoga i goście witali go radośnie. Już przysiadają się do niego, już Ziutek funduje kolejkę.

Dla pełniejszej wierności wizerunku należy powieć dzieć, że jako mąż i ojciec dbał należycie o dom i nie był to ponury, złowieszczy pijak, który uczynił piekło ze swego życia rodzinnego. Jego pogodne usposobienia działało jak balsam nawet na najbardziej zgorzkniałych śledzienników. Mimo postępującego ciężaru lat dorobi<sup>^</sup> się nieźle prosperującej firmy i domu w Łomiankach;" Wolny rynek dodał mu skrzydeł i głowę miał pełną pomysłów. Pamiętam, jak po raz ostatni odwiedziła z nim naszą starą „Polonię”. Siedzieliśmy w restauracji i wspominaliśmy dawne harce w tym historycznym miejscu. Ziutek Żebrowski zmarł po krótkiej i ciężkiej chorobie. Powaliła go już raz przed rokiem, ale wtedy jeszcze nie dała mu rady. Drugim razem zwyciężyła. ||

Żegnaliśmy Go na małym, cichym cmentarzu w Brwinowie. Pomodliliśmy się nad Jego grobem i potem odprawiliśmy stypę w pobliskiej knajpie. Piliśmy za wiekuisty żywot Józefa Żebrowskiego. Powinien w zaświatach znaleźć możliwość wesołych biesiad w zacnym gronie zmarłych wcześniej przyjaciół.

#### 16. MATKA I SYN

Można ich było zobaczyć na murku przy tym domu towarowym na Grochowie. Ona wyglądała jak wiedźma ze złych bajek; szopa rozczochranych, siwych włosów ze żdźbłami słomy, paprochów, twarz napuchła w kolorach czerwieni, fioleto, figura otyła, niekształtna, w jakiejś podartej, burego koloru salopie. Mowę miała zredukowaną i właściwie bełkotała, i były to dźwięki trudne do zrozumienia. Zadowolenie wyrażała piskiem, złość zawodzeniem przypominającym psie wycie. W wieku trudnym do rozpoznania, na pewno pod siedemdziesiątkę. On był znacznie młodszy od niej, ale też doszczętnie zmarnowany, wysoki, chudy i zupełnie łysy; łysina poznaczona bliznami i smugami brudu błyszczała w słońcu, brak owłosienia na głowie rekompensowała broda, która gęsta, poskręcana, koloru srebrzystego, sięgała mu prawie do pasa. Oczy miał maleńkie, czerwone jak królik i tak samo jak kobieta bełkotał. Porozumiewali się między sobą gestami i pomrukami, raz cichymi, to znów głośniejszymi. Mężczyzna nosił spodnie, które sięgały ledwie poniżej kolan i dalej wysuwały się czarne od brudu kalesony z trokami.

Trzymali się razem. W tych stronach na Grochowie wiedziano, że to matka i syn, nieodłączni od lat. Zawsze w godzinach południowych na murku rozkładali swoje torby, worki i tłumoki. To był stały ich popas. Pojadali

Marek Nowakowski

jakieś wędzone ryby, kaszanke, rwali palcami chleb, ale przede wszystkim raczyli się z butelki. Bywała wódkaj ale częściej tanie wino owocowe, a i denaturat nie należał do rzadkości. Biesiada tych dwojga stawała się nie ladą- widowiskiem. Wyszarpowali sobie butelkę, kłócili się zajadle, dochodziło do rękoczynów. Walka szła o trunek. Syn chciał wyłopać do dna. Matka mu nie pozwalała. Raz on był górą, a innym razem ona. Oto butelka? znalazła się w jego rękach, gul, gul, wypija zachłanni^ W ostatniej chwili starucha zdołała odebrać mu flaszkę^ z resztką płynu na dnie. Jej wściekłość, furia wprost, wali go kułakiem w plecy, chwyta za brodę. A on chichocze cieniutko jak dzieciak, który splątał psikusa^ Czasem znów stara, wykorzystując brak czujności syna, pije tak spieszenie, że cieknie jej po brodzie, krztusi się, dławi. Ta zaciekle walka o życiodajny trunek znana była bywalcom tutejszego domu towarowego. Obserwowali widowisko z dyskretnej odległości. Po prostu teatr za darmo. Piwosze robili nawet między sobą zakłady, kto kogo dziś „przekreśli”. Syn starą czy stara syna. Niektórych najbardziej fascynowało picie denaturatu przez tych dwoje. Aż się wzdrygali, targano im trzewia na widok jadownicie niebieskiego płynu w butelce. Widać niezwyčajni.

Po wypitce wyraz błogości, dosytn zakwitał na obliczach matki i syna. Podobne w kolorze, intensywniały w przewodzie fioletu, oczy powlekała mgiełka i zapadali w drzemkę, wspierając się o siebie.

— Udana rodzinka, psiakrew! — powiedział raz jeden taki przymusowy abstynent z esperalem wszytym w tyłek.

Pewna starsza kobieta, przychodząca codziennie na zakupy do domu towarowego, opowiedziała historię matki i syna. Kiedyś ona pracowała w biurze, była wojenną wdową, a on jej ukochanym jedynakiem. Zapo- wiadał się bardzo dobrze, uczył do szkół, akuratny i zdolny. Niestety, zgubiła go skłonność do alkoholu, która z biegiem lat przerodziła się w nawyk. Nieszczęśliwa matka toczyła walkę z nałogiem pożerającym syna. Jego pobyty w szpitalach na odwyku, awantury, wynosił z domu co mu wpadało w ręce i sprzedawał na wódkę.

Według relacji tej starszej kobiety, utykającej mocno na jedną nogę i podpierającej się laską, która przedstawiła się jako wieloletnia sąsiadka z tego samego domu i klatki schodowej, bezradna i zrozpaczona matka popijała początkowo, żeby zmniejszyć dawki trucizny, którą niszczył swój organizm jej jedynak. „Tak się bie- dula wykrzywiła, wymiotowała, wypluwała to świństwo. Przecież nigdy nie była trunkowa... Aż się przyzwyczała i już bez picia ani rusz. Oboje zaczęli ciągnąć...” — taką to opowieść ciągnęła monotonnym głosem ta starsza kobieta, wspierając się na lasce.

— Czasem mimo największych wysiłków i wyrzeczeń matka nie da rady upilnować swego dziecka — powiedziała druga kobieta i westchnęła ciężko.

Może też się boryka z synem nicponiem? Kto to wie?

Teraz już nie widać matki i syna na murku przed domem towarowym. Pewnie czas zdmuchnął tych dwoje w niebyt. Mocno byli sfatygowani.

## 17. OSTOJA

„Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczy! pospolitej”. Napis o takiej treści został wykuty na frontonie gmachu sądów na Lesznie. Czasy przedwojennej prehistoria. Starzy juryści, ci dawni mecenas, sędzio\*; wie, Mohikanie, wszyscy oni z namaszczeniem, nabożną estymą rozprawiają o trudnych procesach, poszlakach i dowodach winy i niewinności, o tych rozprawach toczących się w majestacie prawa, kiedy to na sali sądowej rozgrywały się wspaniałe batalie między prokuratorem a adwokatem, a wysoki sąd słuchał w skupieniu i ważył skrupulatnie na wadze Temidy argumenty dwóch stron procesowych. Przytaczają ci starzy prawnicy łacińskie maksymy, które są fundamentem wymiaru sprawiedliwości. Choćby ta starożytna sentencja rodem z Rzymu konsulów, pretorów i cesarów: *In dubio pro reo!*... Inne jeszcze, równie ważne. *Lex specialis derogat legi generali...* *Lex retro non agit...* Nieskazitelne w treści i formie, tak precyzyjnie i oszczędnie wyważone, każde słowo na wagę złota. Wyliczają pułapki procesowe, uchybienia formalne, powołują się na Kodeks Napoleona.

Wspominają z rozrzewnieniem jak to budowali prawodawstwo Niepodległej po I wojnie światowej, mozoląc się nad gąszczem przepisów i różnic wynikających z odmienności praw obowiązujących w trzech zabiorach. Niezapomniane procesy Ronikera, Gorgono-wej. Twarda reguła dowodów, dowodów i jeszcze raz dowodów. Tyle żmudnego wczytywania się w kodeksy, protokoły, tomy przesłuchań świadków, rewizje lokalne. Jeszcze wątpliwości własnego sumienia, rozterki, bezsenne noce. Żeby prawo było prawem. Żeby werdykty sądu były spójne, bez najmniejszej szczeliny. Nawet w czasach caratu, mówili starsi panowie, terroryści z Narodnej Woli, bojownicy od Sawinkowa, mieli pełną ochronę prawną i wyroki śmierci należały do rzadkości, sąd, mimo nacisków, był niezawisły. Słuchaliśmy tych opowieści z dawnej wokandy jak fascynujących bajek. Wychowywaliśmy się w cieniu zupełnie innej sprawiedliwości i choć kolory na togach pozostały takie same, to często obrona i oskarżenie były do siebie podobne. Sąd zaś jawił się jako złowrogi wilkołak, przed którym się nie obronisz, wlepią ci taką karę, jak zechcą i na nic wszystkie zabiegi, rewizje, odwołania. Nie było żadnej wiary w niezbite dowody. Wiedzieliśmy doskonale, że wszystkie dowody można dowolnie spreparować.

Przede wszystkim procesy polityczne odciskały się niedobrym piętnem na naszym pojmowaniu sprawiedliwości. Był to zgodny chór rozpisany dla pozoru na głosy — wyrok zapadał gdzie indziej. Tak było latami i Temida pracowała z widocznym lekceważeniem dawnych reguł wymiaru sprawiedliwości. Bo czymże była głośna w latach czterdziestych komisja do walki ze spekulacją, która orzekała w skróconym trybie i wlepiła kilkuletnie wyroki bez odwołania. Temida zbierała obfite żniwo, zapelniając więzienia posiadaczami obcej waluty, słuchaczami imperialistycznego radia, nieszczęśnikami, którzy nieopatrznie przy imieninowym stole opowiedzieli o zwycięstwie Piłsudskiego w 1920 roku, lub wieśniakami zwlekającymi z obowiązkową dostawą żywności i zboża. Szlachetne rzymskie maksymy, czcigod-

ne sentencje brzmiały pusto i stawały się jedynie fasadą} za którą działał zupełnie inny sąd.

Po 1956 roku zanikła działalność jurydyczna komisji specjalnej; uznano ją za zbyt jawny gwałt na poczuciu prawa i sprawiedliwości. Lecz cichutko i skromniutko funkcjonowały kolegia karno-administracyjne (powołane w 1951 roku), prowadząc swoistą działalność sądową, i w ich gestii były kary grzywny i aresztu do trzech miesięcy. Były to obywatelskie gremia, złożone przeważnie z aktywistów partyjnych i emerytów, byłych strażników więziennych, milicjantów, ormowców itp.

W czasach fermentu społecznego (na przykład w 1976 roku) potrafiły stać się skutecznym instrumengiem represyjnym, skazując na kary grzywny i aresztu „wichrzycieli” z Radomia i Ursusa. Podobną rolę, działając na jeszcze większych obrotach, spełniały podczas stanu wojennego, kiedy to milicja i ZOMO doprowadzały z aresztów na rozprawy w kolegiach uczestników pochodów i demonstracji „Solidarności”. Ten groteskowy organ wymiaru sprawiedliwości stawał się niekiedy szansą azylu dla włóczęgów, żebraków i bezdomnych rozmaitego autoramentu, którzy przed zbliżającą się zimą chętnie szli do aresztów, żeby w ciepłe i z jaką taką strawą przeżyć zimowy czas. Czekaając na „państwo prawa” należy życzyć kolegiom karno-adnu\* nistracyjnym jak najrychlejszego odejścia w niebyt.

#### 18. KRÓL WĘGLARZY

Nikt tak lekko nie brał na plecy metrowego wora węgla. Ani się ugiął, stęknął. Ruszał pewnym krokiem, jeszcze palił sobie papieroska, mógł być po ćwiartce, flaszcze. Wtedy były kłopoty z opałem i węgiel na zimę liczył się na wagę złota. Nasze miasteczko stało na opalaniu węglem, to nie były jeszcze czasy centralnego ogrzewania.

Węglowy deputat pobieraliśmy ze składu opału przy stacji kolejowej. Zawsze jednak trzeba było dokupić na boku. Zimy wtedy były tęgie i jeżeli nie dogrzałeś należycie mieszkania, to nawalały rury kanalizacyjne i z kranów sterczały sople lodu, a od ścian ciągnęło jak w lodowni, słowem, nie było życia. Węglarze już późną jesienią brali nas w swoje panowanie. Sezon dla nich. Nie tylko przecież wozili i dostarczali do domów, zależało od nich gatunek węgla. Mogły być duże bryły, orzech. A mogli podłożyć kamienie, miał. Na wadze potrafili oszukiwać. Patrzyłeś im na ręce, sprawdzałeś i zapisywałeś liczbę wniesionych koszy. Ale i tak nie można było ich przypilnować. Wykołować mogli każdego. Należało się z nimi układać. Najlepiej jeszcze dokupić u nich na boku. Wtedy nie oszukiwali na wadze i dawali dobry gatunek. Oni zawsze mieli świeżą forszę, wódkę. Wódkę to oni ciągnęli! Nic zresztą dziwnego. Robota brudna, ciężka. Od świtu do zmroku dźwigali kosze, worki. Ile obrotów łopata musieli zrobić, żeby

60 Marek Nowakowski

napelnić swoją platformę węglem z magazynu. Nie każdy mógł zostać węglarzem. Trzeba było mieć krzepęj wytrzymałość nie tylko do roboty, jeszcze do wódki]

U nich panowało prawo doboru naturalnego. Ilu takich na pozór osiłków, zahartowanych i wytrzymałych odpadło z węglarskiego fachu. Zapadali na rozmaite choroby, rozpijali się do szczeru i tracili siły.

Tylko Tygrys, król węglarzy, był nie do zdarcia. Nic go nie brało. W ładowaniu węgla na wóz był najszybszy. Kosze i worki tachał bez szczególnego wysiłku. W krótkich chwilach odpoczynku krzepił się gorzałką. Ciągnął prosto z butelki, ocierał rękawem usta, mógł czymś zakąsić, kawał kielbasy, kaszanki, salceson, ale często pił tylko pod papierosa.

Zabierał się do roboty ze zdwojoną siłą. Pomocnicy odpadali od niego po miesiącu, najwyżej dwóch, nie mogli zdzierzyć tempa. Dlaczego Tygrys? Nie wiadomo. Raczej niedźwiedziowaty, wielki, zgarbiony, bary jak szafa, kołysał się, stawiając szeroko stopy. Stałe ubrany w watowaną fufajkę, flanelową koszulę, rozpiętą na piersiach, i gumki. A kiedy mróz przycisnął silniej, nakładał wołokowe buciory i naciągał głęboko na uszy uszankę, zimową czapę żołnierzy radzieckiej armii.

Nawet ci z branży, węglarze, z podziwem mówili o Tygrysie. Zazdrościli mu niedźwiedziej siły i żelaznej głowy. Ale dopiero pod wieczór, po robocie, Tygrys dawał koncert swych możliwości. Zasiadali w krzakach pod składem opału lub szli do kolejowej knajpy po schodkach. Tygrys ciągnął bez umiaru musztardówkę za musztardówką wypełnione gorzałką czy bimbrem

I pożerał grube płaty pieczonego boczku, schabowe kotlety, trzęsącą się golonkę na grubej kości z kępkami świńskiej szczeci. Jadł, pił i milczał. Milczek był z natury. Potem węglarze rozchodzili się na roztańczonych nogach. Czasem Tygrys padał gdzie bądź. Pod płótem na ulicy, w trzcinach na brzegu glinianki. Zimą i ciepłą porą padał i zasypiał. Czasem ktoś odkrywał go przypadkiem i budził. Czasem przeleżał do świtu pogrążony w twardym, pijackim śnie. Siny na gębie, zarośnięty, z wiecznymi smugami węglowego pyłu wżartego w bruzdy — przecierał oczy, trzęsącymi się paluchami wyłuskiwał z paczki papierosa i ruszał na sztywnych z zimnych nogach do stajni, gdzie czekały na węglarzy ich konie. Podjeżdżał na towarową bocznice i dziarsko brał się do rozładunku węgla z wagonów.

Latami po wyboistych uliczkach naszego miasteczka przetaczała się platforma na gumowych kołach, którą ciągnął gniady perszeron, z boku wozu szedł Tygrys, czarny jak diabeł od tej węglowej roboty, okładał konia baciskiem i kłął okropnie. Zdarzało się, że koła grzęzły w piachu czy błocie, ślizgały się po zlodowaciałym śniegu i koń nie dawał rady. Wtedy Tygrys zapierał się plecami z tyłu wozu i pomagał.

Był to dynamiczny obraz. Przypominał płótna któregoś z naszych mistrzów: Brandta, Chełmońskiego, Kotsisa czy Wierusz-Kowalskiego. Namalowane ciemnymi kolorami sceny przedstawiające rozbrykane konie na jarmarku, kozacki patrol na rozstajnych drogach. Z takim widokiem opuściłem nasze miasteczko.

Przyszła zima 1996 roku. Mogą nastać lute mrozy i przypomniałem sobie życiodajny piec i czerwone od żaru drzwiczki. A na oknach gruby szron układa się w abstrakcyjne desenie i tak biało, biało... Oto słyhać narastający stukot kół, parskanie konia i rozlega się wściekły ryk. To Tygrys jeszcze wiezie węgiel. Ostatni, wieczorny kurs.

## 19. PERKUSJA

Przezywali ją Perkusja. Nie wiadomo, skąd się wzięła. Pewnego dnia pojawiła się w kawiarni i odtąd już przychodziła codziennie. Gdzieś musiała mieszkać. Ubrana była porządnie i dosyć modnie jak na owe czasy. Nosila pantofle na wysokich obcasach od prywatnego kopycia- rza z Chmielnej, niektóre jej kobiece łaszki miały zagraniczne metki, pewnie kupowała na „ciuchach”.); Zamawiała kawę, melbę, czasem stawiała wódkę. Miała forszę, to miała, nikt nie dociekał, skąd ją bierze. Jej przezwisko wzięło się od instrumentu muzycznego. 'M Zakochana była w całej orkiestrze. Trębacz, klarncista, ten od puzonu, akordeonista. Wszyscy oni cieszyli się jednakową jej sympatią, żeby nie powiedzieć, miłością. Po południu zaczynali grać i Perkusja cała zamieniała się w słuch. Co oni tam grali! Popularne kawałki; Na perskim rynku, Poemat Fibicha, Walca Brahmsa. A czasem coś ekstra na zamówienie. Marzenia miłosne Liszta, Serenadę Schuberta czy Paradę karzełków Griega najczęściej zamawiali kawiarniani goście. Muzykanci ubrani byli elegancko, czarne garnitury, muchy pod szyją. Przedwojenny szyk. Skrzypek wyglądał jak Paganini. Szopa nastroszonych czarnych kudłów, kredowa twarz i natchnione oczy. A kiedy ciągnął rzewnie smykem po strunach, to przymykał oczy i grała mu cały twarz, tyle grymasów. Jakby z głębi trzewi, boleśnie, z wielkim wy

siłkiem wydobywał natchnione tony. To nie był wirtuoz, fałszował i często gubił się.

— Te pieprzone gajgi znów mi wlażyły w paradę! — denerwowali się muzycy. Gajgami w ich żargonie nazywano skrzypce. Najbardziej wściekał się pianista.

Paganini pokornie znosił obelgi i subtelna wyrazistość jego twarzy tak kontrastowała z pospolitą urodą kolegów. Prawdziwy artysta. Bolała go brutalna krytyka i chyłkiem wymykał się do szatni. Tam z Grubym Kazikiem, szatniarzem, wypijał po lufie i lżej mu się robiło na duszy.

— Nie przejmuj się — pocieszał go Gruby Kazik Przy mnie nie zginiesz.

Ten szatniarz i wykidajło zarazem był ważną personą dla orkiestry. Załatwiał im chałtury: wesela, chrzci- ny, wyjazdy do badyłarzy pod Grójec czy do tuzów od samodziółów w Łodzi. Perkusja tylko na taki wyjazd czekała. Ona bardzo lubiła wybierać się z orkiestrą w trasę. Brali ją chętnie. Była bardzo użyteczna; prała im koszule, skarpetki, prasowała spodnie, latała do sklepów, przynosiła świeże bułeczki, masło, kiełbasę na śniadanie. Wiedziała, co muszą mieć pod ręką na kacu. Zimne napoje, piwko, aspiryna. Dbała o nich jak najlepsza służąca, gosposia. Wyglądem wstydu im nie przynosiła. Niebrzydka sztuka, z tych przy kości. Jak się ubrała w szykowną, obcisłą sukienkę, to kształty odznaczały się przyjemną dla oka obfitością. Zadarty nosek, wydatne usta, piegami obsypana twarz.

Gruby Kazik, szatniarz, kiedy więcej był napity, obślizgiwał ją pożądliwym okiem knura. Raz pod wieczór postanowił sobie ulżyć. No i wyobraźcie sobie, ona, ta Perkusja, uległa, potulna owieczka, trzasnęła go w pysk i uciekła. Nie chciała z nim. Perkusją ją przezywano dlatego, że była damskim instrumentem gotowym do usług dla całej orkiestry.

powiedział Gruby Kazik

— Walę jak w perkusję i to się przyjęło.

Ci muzycyści to były dla niej bóstwa i nieraz pod koniec grania klarncista, kontrabasista czy jakiś inny; przywoływał ją niedbałym gestem ręki i powiadał krótko: „Mała, wychodzimy razem!” Godziła się na każde go bez wahania i klezmerzy uznali, że tak musi być i tyle.

A przecież oni mieli swoje stałe kochanki i jej to wcale nie przeszkadzało i do żadnego z nich nie miała jakichkolwiek praw. Była to dla orkiestry wygoda, każdy chłop w sile wieku to przecież łajdak i pies na baby. Toteż jak innej nie było pod ręką, brali sobie Perkusję jako ostateczną rezerwę na pociechę.

Dwa razy w tygodniu, w soboty i niedziele, orkiestra przedłużała swą działalność i odbywały się wieczorki taneczne. Wtedy perkusista stawał się także refrenistą i rzewnie ciągnął modne wówczas szlagiery. Największe wzięcie miała Ramona, a z patriotycznych Czerwony Maki. Tylko on jeden, refrenistą, nie korzystał z wdzięków Perkusji. Był to duży przystojniak i modniś. Krucza, lśniąca brylantyną plereza jak hełm przylegała do czaszki, maślane oczy i wydatna szczęka brutalą czyniły go obiektem westchnień wielu kobiet. Był na swój sposób monogamistą i zawsze trzymał się jednej wybranki. Stałości starczało mu mniej więcej na kwartał i przy jego boku pojawiała się następna dama serca. Ona, Perkusja, patrzyła weń jak w tęczę. Wydawać się mogło, iż pragnie z całej mocy przywołać go tym spojrzeniem do siebie.

Miewał przecież puste wieczory, szczególnie wtedy, kiedy jego wybranką była Violetta, jedna z najpiękniejszych dziewczyn w kawiarni i tak samo jak refrenistą gustował w niej Szymon Żółtnik. Violetta raz szła z tym, a raz z tamtym. Opuszczony refrenistą wściekał się bezsilnie i choć pod ręką miał Perkusję, nigdy nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Brał wtedy barmankę o imponującym biuście lub kelnerkę, zwaną Żyletą. Czasem one stawiały wygórowane warunki. Targował się z nimi, parskał jak dziki kot. Perkusja uważnie obserwowала zabiegi podrażnionego w swej ambicji samca. Gruby Kazik coś pokrzykiwał za nimi, uśmiechając się oblesnie. Trzaskały obrotowe drzwi i znikali w ciemności.

Właściwie nic o Perkusji nie wiedzieliśmy. Nikomu się nie zwierzała i nikt nie był ciekawy jej zwierzeń. Wielu z nas nie wiedziało nawet, jakie jest jej prawdziwe imię. Istniała na dalekim planie tego barwnego, hałaśliwego półświatka i tylko jej psie oddanie dla muzyków czasem zastanawiało. Co ona w nich widzi? We wszystkich naraz?

Wpierw zlikwidowali kawiarnię, potem zajęli się rozbiórką kamienicy. Nasza epoka skończyła się bezpowrotnie i rozlecieliśmy się w różne strony. Po wielu latach przypadkowo spotkałem Perkusję. Niezłe się zestarzała. Zachowała figurę, choć może zbyt pełną, ale kształtną. Jej oczy pozostały pogodne i jasne.

Porozmawialiśmy chwilę o dawnych czasach. O tej orkiestrze, której już dawno nie ma. Większość grajków pomarła z chorób, pijaństwa, podeszłego wieku. Po dawnych lokalach ani śladu.

— Ale pozostało tyle wspomnień — uśmiechnęła się marzycielsko Perkusja. — Pamiętasz, jak oni wszyscy kochali się we mnie? Pamiętasz? —\ powtórzyła natarczywie. Pokiwałem spiesznie głową.

## 20. DUCH MIEJSCA

W powidokach przeważnie z niebytu wskrzesza się byt, Już dawno nie ma opisywanych miejsc, domów, ulic; nie mówiąc o ludziach. Budulcem jest czas umarły. Zasady, obyczajowość, reguły gry też się zmieniły. Może nawet zanikły. Niemalęgo trudu wymaga przypomnij nie dawnej atmosfery miasta. Ludzi, ubioru, sposobu mówienia, który od razu pozwalał rozpoznać warszawiaka. Tam gdzie przed laty tyle się działo, pozostał tuf i ówdzie jakiś dom. Burzliwa żywotność tych murów^ historia w nich zakłeta uleciały jak dym z papierosa wraz z ludźmi, którzy ją tworzyli. A miejsca o trwałym przeznaczeniu? Taka ciągłość mimo tylu kataklizmów była zdumiewająca. Teraz zmieniają swoje przeznaczenie jak sezonowe rękawiczki. Swoistą historię zakłeta w murach stanowił bar „Pod Dwójką” na Marszałków? skiej przy placu Unii. Jeszcze w czasach przedwojennych zbierali się tu dziennikarze prasy porannej i wieczornej. Trwał podczas okupacji i w PRL-u; jak za dawnych lat wpadali tu na „szybkiego” dziennikarze z pobliskiego Życia Warszawy. W latach ostatnich bar . zmarł śmiercią nagłą i powstał w tym pomieszczeniu sklep z butami, żeby zamienić się w sklep z zabawkami- j Na ironię losu zakrawa zgon kawiarni Galińskiego. Tak j nazywano od właściciela tę kawiarnię na placu Trzech I Krzyży, która później została „Wilanowską”. Wieczna I niby Matuzalem (według miar czasu w naszym mieście), egzystowała do teraz. Aż naraz została księgarnią i też nazywa się „Wilanowska”. Książka — strawa dla ducha, niby bardzo dobrze, ale coś nie tak. Dlaczego w tej loterii przemian los padł na zakotwiczoną przez kilkadziesiąt lat w tym miejscu kawiarnię, gdzie tyle pokoleń warszawiaków zachodziło na kawę, koniak, randkę czy rozmowę o polityce? Smutny jest widok ginących kamienic po drugiej stronie Wisły. Enklawy zwartej zabudowy na Stalowej, Szwedzkiej, Szerokiej, Brukowej podlegają nieubłaganemu procesowi niszczenia i agonia resztek dawnego Miasta nie spędza snu z powiek burmistrzom gmin, prezydentowi Warszawy. Przedtem barbarzyński walec PRL-u wyburzał ostatnie kamienice, pałace, zmieniał topografię ulic, wystarczy uprzytomnić sobie, jak meandrycznie kapryśny jest bieg pozostałości ulicy Pięknej, stykającej się nieoczekiwanie przez Marszałkowską z Koszykową. Zdechł realny socjalizm i unifikacyjne pragnienie, żeby Warszawa stała się takim samym miastem jak Białystok, Mińsk Białoruski, Berlin Wschodni, Kaługa i Rzeszów, przestało być motorem przemian. Ale wszechwładny, nowo narodzony napęd zysku za wszelką cenę powoduje, że w tych ostatnich ostożach miasta, które przypominały o historii i tradycji, zapanowała niebezpieczna zmienność. Księgarnia „Wilanowska” za rok może przemienić się w pizzerię „Don Vito” (ku czci Ojca Chrzesnego) lub dom maklerski. Pierwsza nocna knajpa w powojennej Warszawie to był „Paradis”, na początku jeszcze prywatny. W lokalu od lat trwa stan remontu i powstać ma tu polsko-amerykański klub biznesu czy czegoś podobnego.

I tak przechadzając się ulicami każdy rdzenny warszawiak (najlepiej jeżeli przybędzie zza Oceanu: taki przechował pamięć Miasta najwyraźniej) porusza się jak



w obcym świecie i nic niczego mu nie przypomujfl A przecież człowiek bardzo pragnie chociaż zatrzymał oko na czymś stałym, solidnym, co przetrwało tyle burz i wraźego naporu. Łącząc ulicami naszego miasta mało gdzie można wejść, żeby znaleźć się w jakimś barze, szynku, który był, jest i będzie. Trochę optymizm® dodaje widok handlowych okolic wokół Hali Mirowskiej. Od początku wieku istniały tu miejsca handlowa Choćby bazar Jonasza na Krochmalnej, o którym tak barwnie pisał Izzak Singer w Miłości i wygnaniu. Jakoby istniał tu genius loci. Może tu i ówdzie przetrwał OD jeszcze i w tym cała nadzieja.

#### 21. OPOWIEŚĆ O NIEPRZEJEDNANYM OJCU

Stary jak mieszkał, tak mieszkał w tym domku na Zaciszu i tak samo jak dawniej miał karego wałacha, wóz i rozwoził węgiel do piecowych mieszkań. Umorusany na czarno od mialu, w cholewianych butach, z batem ozdobionym czerwonymi frędzelkami w dłoni, kaszkiet z lakierowanym daszkiem, wąsiska sumiaste i opadłe jak u marszałka Piłsudskiego.

Staroświecki furman. A jego syn zaczął robić karierę. Zrazu był ormowcem, milicjantem. Bardzo się przykładał i z pepeszą przewieszoną przez pierś mocno się naprzykrzał ludziom. Węszył za takimi, co się ukrywali przed nową władzą. Zawzięty, przyjacielowi nie popuścił. Nafaszerowany propagandą, ludzkiego języka zapomniał i wszędzie szukał dziury w całym. He to aparatury bimbrowniczej napsuł w tych zagajnikach koło Ząbek, Radzymina. Stary za ludźmi się u niego wstawiał, ale on tylko głową kręcił.

— Nie da rady, tato!

Raz za łby się wzięli i po podwórzu tarzali się jak dwa brytany spuszczone z łańcuchów. Potem wysłali go do jakichś specjalnych szkół. Jak się pokazał w domu po rocznej nieobecności, to już był oficerem. Na razie jednogwiazdkowym, ale szybko dorobił się drugiej gwiazdki. Powiadali ludzie na Zaciszu, że został ubowcem. Stary w ogóle nie chciał o tym mówić.

f

f 72 Marek Nowakowski

Tylko jedno powtarzał: „Kurewskie nasienie!” I tak w kółko.

Zupełnie przestało się układać między nimi. Syn podjeżdżał pod dom amerykańskim willysem, eleganc\* ki, w dopasowanym mundurze, lśniły oficerki, spluwa w skórzanej kaburze; prowadził sam albo siedział obok kierowcy.

A stary nie chciał go do domu wpuścić. Drzwi zawarł na cztery spusty i nawet się nie odezwał. Syn walił s pięścią, to kopał w oficerskim bucie w te drzwi. Obcho-; dził domek, zaglądał do okna, coś mówił, krzyczał, i szeptał. Odpowiadała mu głucha cisza. Podpatrywali^ ludzie z sąsiedztwa, ukryci za firankami. Odjeżdżał syn, oficer dwugwiazdkowy, jak niepyszny. Wtedy już był szychą w bezpiece. Podobno zastępcą naczelnika w jakimś powiatowym urzędzie. Bywało i tak, że podchodził pod domek starego z żoną i córeczką. Liczył na to, że wnuczka roztopi serce dziadka. Nic z tego! Wnuczka mogła odwiedzać starego, ale tylko z synową.

Tak to się paskudnie ciągnęło latami. Bo co by nie powiedzieć o tym synu, to jednak był przywiązany do swego starego. Ciągnęło go do drewnianego domku nieprzeparcie.

— Ty głupi, uparty capie! — wołał syn już wtedy w randze kapitana.

Błagał i złorzeczył na przemian. Drzwi nadal pozostawały zamknięte. Nie miał wejścia do tego drewnianego domku.

— Ten stary był zawsze charakterny — powiedział jeden z sąsiadów, popatrując na bezskuteczne podcho- I dy syna do ojca. — Ja tam nie wtrącam się w cudze j sprawy — dodał pośpiesznie. — Ale po mojemu chło- j pak nie poszedł po myśli ojca. — Dopalił sporciaka, I wypływając tytoniowe paprochy, i już nic więcej nie I powiedział.

POWIDOKI 3

73

I tak już pozostało w tej peryferyjnej okolicy małych domków i gołębników, że nikt nie śmiał zapytać ojca

0 syna. Znali się tutaj wszyscy, spotykali przy budce z piwem, wypijali czterdziestkę, patrzyli na stada gołębi kołujące na wysokościach, gadali rozwlekle o błahych

1 niebłahych sprawach.

Stary furmanił do ostatka, choć poruszał się już z trudem, połamany przez reumatyzm i pochylony pod ciężarem lat. Któryś tam z kolei wałach też był w latach i ciągnąc wyładowany węglem wóz często przystawał, ale woźnica, znając prawa wieku, nie poganiał go biczyskiem i czekał cierpliwie, aż odpocznie.

W latach sześćdziesiątych to osiedle małych domków kurczyć się zaczęło, zewsząd napierały nowe, wielopiętrowe bloki i przebąkiwano coraz częściej, że i ta ostatnia ostoja parterowych domków w ogródkach też jest przeznaczona do rozbiórki. Stary furman końca swego świata nie doczekał. Wieczorem jeszcze siedział na ławce w podwórku, palił, ziewał, dźwignął się wreszcie z ławki i jeszcze poszedł do stajni podrzucić paszy swojemu koniowi, i tam z wiązką siana pod pachą padł przy żłobie.

Tylko kary wałach był przy nim w tej ostatniej chwili.

| ■

## 22. SALON KRYWULTA

Kolega wygrzebał w bibliotece stryja rocznik Tygodnika Ilustrowanego z 1905 roku. Gruba księga, oprawiona w twarde okładki ze złożonymi literami na grzbiecie. Czytałem w długiej i nudnej chorobie dzieciństwa. Tygodnie łożka i ciężki tom pod ręką.

Najbardziej pasjonowały relacje z wojny rosyjsko- -japońskiej. Bitwa o Mukden, Port Arthur, rzeka Jalu. Zwłaszcza waleczność żołnierzy, talenty generałów, admirałów. Lecz obok tego głównego nurtu lektur zwróciłem uwagę na sprawozdania z wystaw malarskich Salonu Krywulta, które opatrzone były wyrazistymi, choć czarno-białymi reprodukcjami wystawianych obrazów, grafik. Minęło pół wieku i z moim kolegą, reżyserem Andrzejem Zakrzewskim, szliśmy Krakowi Przedmieściem. Wstąpiliśmy na kawę do „Bristolu” i Andrzej, spoglądając na narożnik Hotelu Europejskiego po przeciwnej stronie ulicy, powiedział: „Wiesz, tam na drugim piętrze nad Salą Pompejańską był Salon Krywulta”.

Aleksander Krywult był jego pradziadkiem ze strony matki. Niebawem zbieg okoliczności. Rozmowa zmieniła się w monolog Andrzeja.

Aleksander Krywult (1845-1903) otworzył || 8 listopada 1880 roku. Przedtem miał salę wystawo\* w Resursie Kupieckiej w pałacu Mniszchów (obecnie\*

ambasada belgijska) na Senatorskiej. Przez pewien czas wystawiał w salach Ratusza na placu Teatralnym. Wreszcie osiadł w Hotelu Europejskim. Prezentował polskie malarstwo Chełmońskiego, Wyczółkowskiego, Fałata, Kotsisa i Aleksandra Gierymskiego. Po 1890 roku lansował nowe prądy w sztuce pięknej i utworzył Salon Odrzuconych (przez Towarzystwo Sztuk Pięknych). Wystawiali jako pierwsi Wyspiański, Podkowiński, Boznańska. Później Weiss, Krzyżanowski, Tichy. Aleksander Krywult w 1900 roku przeniósł salon, ze względu na czynsz^ z Hotelu Europejskiego do kamienicy przy Nowym Świecie 63 na rogu Świętokrzyskiej i przystosował całe pierwsze piętro na użytek wystawowy. Salon uzyskał miano Warszawskiego Salonu Niezależnych i posiadał stałe ekspozycje grafiki i rzeźby. Przedstawiali swoje prace rzeźbiarze tej miary, co Laszczka, Biegas, Godebski, Dunikowski.

Po śmierci Aleksandra Krywulta w dniu 13 listopada 1903 roku salon dalej prowadzony był przez jego syna Jana (1873-1926) i dopiero w 1906 roku został sprzedany, a Jan Krywult objął stanowisko dyrektora Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Kamienica na Nowym Świecie przyciągała sztukę w różnej postaci i po salonie malarstwa i rzeźby zdomowały się tam kinoteatr i kabaret „Mirage” z salą widowiskową na 1000 miejsc. Po pożarze w 1920 roku dom szybko odbudowano i znów zapanowała w nim lekka muza. Kabaret „Nietoperz”, Wielka Rewia „Morskie Oko”, prowadzona przez Fryderyka Jarossy'ego. Po wojnie i okupacji, choć cały ciąg kamieniczek przy Nowym Świecie odbudowano w dawnym stylu, narożny dom jednak mniej miał szczęścia i wyrósł w nowym kształcie socrealistycznego, brzydkiego eklektyzmu. Duch lekkiej muzy traktowany był w nim nadal gościnnie i w kawiarni „Nowy Świat” (obecnie Da Piętro) lata całe występował kabaret „Dudek”.

Marek Nowakowski

(Popatrzyliśmy jeszcze chwilę z Andrzejem na drugie piętro Hotelu Europejskiego, gdzie jego pradziad Aleksander Krywult otworzył swój pionierski salon sztuk pięknych.

Zapłaciliśmy za kawę. Cholernie drogi ten „Bristol” po długoletnim remoncie. Horrendalny jak na nasze kieszenie rachunek za kawę.

k

### 23. PECHOWCY

Podróż pociągiem z Warszawy do Krakowa. W bufecie przy kawie rozmowa z dwoma hazardzistami. Starszy był znawcą dawnego miasta. Zbliżał się do siedemdziesiątki i całe życie przemierzał ulice po lewej i prawej stronie Wisły, wysiadywał w knajpach i kawiarniach, poczynając od „Polonii”, „Oazy” i „Kopciuszka” po „Grand Hotel”, „Victorię”, „Marriotta”. Nade wszystko oddawał się namiętności hazardu w każdej postaci. Grał w numerki (numery na banknotach), obstawiał gonitwy na Służewcu i w kasach na Mokotowskiej. Grał w bilard i tysiące nocy spędził w ciemnych od tytoniowego dymu melinach, gdzie szła ostra gra w pokera i ruletę. W tamtych czasach ruletka była zakazana i korzystali z ruletki dziecięcej, takiej niewinnej zabawki dla brzdąców, i można było wygrać i przegrać majątek. Częściej przegrać i stary gracz opowiadał o dramatach przegranych. Jego namiętność do gry nigdy nie wygasła, rozpadły mu się dwa małżeństwa, porzuciła go znużona kochanka. Kilka razy tracił wszystko, był już prawie kloszardem i jak feniks z popiołów dźwigał się znów. Ze szczerym wzruszeniem przedstawiał dawnych wspaniałych graczy, swoich nauczycieli, idolów. Znał mnóstwo ludzi w mieście. Hulaków, aferzystów, farma-  
zonistów, konfidentów, szaleńców. To był jego świat i jako człowiek nocy czuł się w nim jak ryba w wodzie.

Nadal zachował imponującą kondycję fizyczną i jasną, sprawną głowę. Młody gracz wpatrywał się w niego z oddaniem. Uczeń i mistrz. Taką tworzyli parę.

Ale nie diabelska żywotność starego hazardzisty jest przedmiotem moich rozważań. Wspominając dawne miasto i jego ludzi, opowiedział mi o sekretnych bogaczach, gościach, którzy mieli duże, bardzo duże pieniądze. Byli tacy w Warszawie. Choćby ci powojenni hula- i cy wielkiego gestu i niewyczerpanej sakiewki. Oni szmal zdobywali za czasów okupacji na czarnym rynku (złoto, dolary, szlachetne kamienie), ze szmugłu na dużą skalę czy handlu z ludnością żydowską za murem.

— Peklowali blit, kamyki w wekach — powiedział Gracz (tak nazwijmy tego starszego, nobliwego z wyglądu pana). — Wiesz pan, co to są weki, słoiki na przetwory z warzyw, konfitury. Tych weków oni mieli!

Znał takich. Grali w pokera i rzucali do puli brylanty. Miał taki facet zamszowy woreczek, wysypywał brylanty jak ziarenka zboża i tym płacił. Na wyścigach! też czasem pojawiali się ci krezusi. Często nie znali się w ogóle na koniach, ale grubo grali. Bo co mieli robić z tą swoją forszą? Władza ludowa weszła za wszelkim bogactwem. Nie można było tym jawnie obracać. Co oni mogli? Najwyżej zbudować jedną willę, drugą, trzecią. Pozapisywać dzieciakom, pociotkom, szwagrowi... 1 Nic więcej. Wszystko było zakazane. Nocami wydobywali ze schowków swoje skarby, obracali w palcach złote krążki rubli, dolarów, Krugerów, przesypywali w dłoniach szlachetne kamienie, sycili oczy blaskiem brylantów, szafirów, rubinów, szmaragdów. Tylko tyle zostało im radości. Malutko. Kisiło się ich bogactwo jak kapusta w beczce.

— Byłem u takiego jednego kiedyś... — mówi Gracz. — Domek na Zaciszu. Drewniak bez kanaliza-

78 Marek Nowakowski

cji. Wychodek na podwórzu. Starszy człowiek, biednie ubrany, taki tam furman, murarz z wyglądu. Popiliśmy i on się rozkleił. Pokazał co ma. Miał tego towaru. Pliki zielonych spięte gumką. Płócienny woreczek z kaszą, kasza ze złotem, pół na pół. Zegarki w schowku pod podłogą, złote longiny, tiszoty...

To była prawda tamtego czasu. Wielu bogaczy żyło byle jak, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i tylko w samotności mogli napawać się swoją fortuną. Skrycie, tylko w ciemności. Nigdy jawnie.

Owszem, w PRL-u trafiali się tacy, co robili interesy, obracali pieniędzmi, pomnażali. Ale to wymagało specjalnej szkoły jazdy. Trzeba było mieć podkupioną milicję, swoich urzędników, wykorzystywać szczeliny w gospodarce państwowej, głupotę przepisów i godzić się wewnątrz ze spędzeniem iluś tam lat w kryminale. Nie wszyscy mieli głowę i nerwy do takiego niespokojnego trybu życia. Wielu siedziało na forsie jak kwoki na jajach i nic, ani pisnęli.

— Upada wreszcie socjalistyczny bardak — Gracz uśmiechnął się figlarnie. — Ogłaszają demokrację, wolny rynek. Otwierają kasyna. Pierwsze legalne kasyna od kilkudziesięciu lat.

Nie uwierzy pan, z jaką forszą przychodzili ludzie do gry! Wyjmowali z teczek dziesiątki tysięcy dolarów. Kieszenie też powypychane zielonymi. Wyładowani sałatą! Widziałem znajome twarze. Tych starych cwaniaków, handlarzy, szmuglerów, paserów, wiekowych dziadków. Oni po raz pierwszy wynieśli swój szmal na światło dzienne i grali, grali! Cieszyli się jak dzieci, że mogą pokazać to, co mają, i robić z tym, co im się żywnie podoba. Wielu zostało golasami. Stracili całość. Ruletka wyczyściła ich do spodu. Płacz i zgrzytanie zębów w rodzinie. Jeden nawet wyrzucony został z domu, śpi po dworcach, śmietniki sprawdza.

Stary Gracz był w doskonałym humorze. Młody również. Wygrali trochę (tak wjyznali skromnie) w kasynie Pałacu Kultury (tam gdzie dawniej knajpa „Kon, gresowa”) i jechali do Krakowa. Oczywiście do kasyna. Oczy starego i młodego jednakowo pełne niewyczerpalnego wigoru. Ani śladu zmęczenia po nieprzespanej nocy. Na pożegnanie symbolicznie zagraliśmy w „numerki”. Przegrałem.

#### 24. ROMANTYCZNA NOC

To była tradycja. Hulacy, birbanci lubili wyskoczyć sobie gdzieś dalej. Nie zawsze odpowiadały im knajpy w mieście. Taki odruch: siedzisz w „Kameralnej” czy w „Dziku” i nagle masz chęć na desant. Znaleźć się za miastem w przyjemnym lokaliku. Czasem powód romansowy. Lepiej przecież z damą w ustronnym, nastrojowym miejscu. Przed wojną popularne były rajdy do słynnej restauracji Wierzbickiego w Radomiu. Znana była ta restauracja ze świetnych zakąsek, potraw, oryginalnych nalewek. Sam mistrz Wierzbicki był nietuzinkową postacią; wygląd szlagona, nienaganne maniery i dowcip. Było, minęło jak tyle innych przyjemnych miejsc. Władza robotniczo-chłopska znacznie ograniczyła wolność wyboru. Nie znosiła przecież takiego bur-żujskiego rozpasania, typowego dla trybu życia wyzyskiwaczy, krwiopicców. Ale mimo ustrojowych przemian, zawsze trochę swobody, nieujarzmionego żywiołu, wymykało się spod kontroli.

Gastronomię upaństwowili doszczętnie, jednak psim swędem poza miastem uchowało się kilka prywatnych lokali, po staremu oferujących bogaty wybór zakąsek i prowadzonych przez wytrawnych, doświadczonych karczmarzy o przedwojennych manierach. Więc jak tylko był szmal w kieszeni, ciągnęli tam ludzie z wielką

ochotę. Pielgrzymowali wprost, żeby zażyć dawnej, knajpianej atmosfery.

W podwarszawskich Błotach była taka mała knajpa, ale ona długo się nie utrzymała i padła. Także „Baszta”, restauracja w Pyrach przy drodze do Piaseczna egzystowała przez cały okres PRL-u i była często nawiedza-j na. Ta „Baszta” była przede wszystkim osobliwością! architektoniczną, wieżyczki, krużganki, piętka, galeryjki. Idealne miejsce dla dyskretnych libacji. Bywali tu zarówno prywaciarze, jak i dygnitarze. Po 1956 roku powstał „Złoty Lin”, restauracja w drodze do Serocka/ i i tam smakosze potraw z ryb (szczególnie karaś w śmietanie) spożywali te swoje ulubione rybki, podlewając je obficie gorzalką. Należy jeszcze wspomnieć o „Wicku” w Sochaczewie. Jego specjalnością były pieczone kurczaki z nadzieniem i mówiło się po prostu: „Jedziemy do Wicka!”

Największym powodzeniem cieszyła się restauracja pana Berentowicza w Konstancinie. Stary, przedwojen^ ny właściciel przetrwał wszystkie pogromy i jako ostatni Mohikanin w PRL-u dalej posiadał prywatny interes. Krążyły po mieście opowieści, że chroni go sam Cyrankiewicz, który jako sybaryta, miłośnik dobrych kolacyjek z damami, lubił tam zajeżdzać i biesiadować w bezpiecznym oddaleniu od Biura Politycznego, Gomulki itd.

Budyneczek niski, parterowy, ganek z kolumnkami, przypominał polski dworek. Otoczony świerkami, dawał szansę dobrej popijawy, można powiedzieć, na łonie przyrody. Tak przynajmniej uważali warszawiaczy, dla których jedyną przyrodą były Młociny i Łazienki. Dużo hucznych popijaw odbywało się u pana Berentowicza i stary restaurator tak serdecznie, troskliwie dbał o gości, kelnerki uwijały się jak frygi, potra-

wy były bardzo smaczne, wódeczka należycie zamrożona. Toteż często siedząc sobie w „Dziku”, „Jeleniu”, „Wygodnej” czy „Klubowej” zastygaliśmy przez chwilę w stuporze i pewne rozmarzenie występowało na nasze oblicza. To przypominał się nam pan Berentowicz i rodziła się chęć wyprawy do Konstancina. Taką oto nieprzepartą potrzebę poczuł mój znajomy, który zaprosił nową damę swego serca na obiad w Bristolu i wiele już nie myśląc przywołał taksówkę i pojechali. Dziewczyna zachwycona jego kawaleryjską fantazją; u Berentowicza jeszcze nigdy nie była. Pan Berentowicz powitał gości po staropolsku, kłaniając im się nisko, i usadowił ich w zacisznym kąciku w sam raz dla potęgowania romansowego nastroju. Pograżyli się w rozkoszach stołu. Czas płynął z czarodziejską szybkością. Czułe słówka, spojrzenia w głąb trzewi, pieszczoty. Obiecywał sobie mój przyjaciel finał w mieszkaniu tej damy na Mokotowie. I tak w euforii uwodziciela przebalował całą forszę, pozostawiwszy jedynie dokładnie wyliczoną kwotę na ostatni autobus jadący z Chyliń do Warszawy. Niestety, spóźnili się, autobus odjechał, i czarną, jesienną nocą znalazł się ze swoją lubą na szosie z Konstancina do Jeziorny. Początkowo maszerowało im się wesoło. Alkohol podtrzymywał ducha. Ale w miarę marszu euforia wygasła, nogi bolały coraz bardziej i droga stała się dla nich koszmarem. Pusto. Nie przejeżdżał żaden samochód czy choćby konny wóz. Po dwóch godzinach dotarli dopiero do Klarysewa i tyle jeszcze kilometrów przed nimi.

— Gehenna! — powtarzała słabnącym głosem kobieta i już nie mogło być mowy o jakimkolwiek uczuciu. Szarym świtem dotarli do Wilanowa i tam już pojawiły się pierwsze autobusy komunikacji miejskiej. Rozstali się w posępnym milczeniu. Szare, wymięte twa-

rze, uginające się z bólu nogi, odparzone stopy. Patrzyli na siebie czerwonymi z niewyspania, załzawionymi oczyma. Już nie spotkali się więcej i mój znajomy wspominając tamtą noc, przeżywa ją znów z silną ekspresją.

i

## 25. KAPRYS RUDEGO

Pewien duży kozak, działając w zorganizowanej grupie, zaczął sprowadzać kradzione samochody z Niemiec i tutaj opylał je z dużym zyskiem. Można nazwać go prekursorem obecnie powszechnej działalności wyspecjalizowanych grup przestępczych. To były jeszcze czasy dwóch obozów: Wschód i Zachód, żadnego Interpolu u nas i kooperacji policji stąd i stamtąd. Dobry, choć ryzykowny interes. Ale jak to w życiu bywa, znalazł się kapuś i sypnął. Dowodów niewiele, ale kozak był już nieraz karany i wsadzili go do piwnic Pałacu Mostowskich. Wielomiesięczne śledztwo. Wyczerpujące przesłuchania, szantaż, obietnice wolności w zamian za ujawnienie współników. Konfrontacje, wystraszony kapuś, ludzka szmata, plecie jak najęty. Napluć mu tylko w parszywą gębę. Milczał. Po prostu głąz. Nic nie wie. Nic takiego nie robił. Kropka. Taką przyjął taktykę. Trzymał się jej od początku do końca. Śledzie wściekali się, bo mało co wiedzieli, mało co konkretnego mieli w łapie i ani rusz nie mogli dalej pociągnąć tej wątlej niteczki ze splątanego kłębka. Ksywę miał Rudy, jego włosy rzeczywiście jak ogień. Psy robiły sobie z niego żarty, wołając: „Rudy do budy!” Tak zazwyczaj kończyli przesłuchanie.

— Rudy z budy! — tak wołali, kiedy otwierali drzwi piwnicznej celi i wołali go na górę.



Żadnych widzeń, paczek, ścisła izolacja. Jednak mimo tego szczelnego odosobnienia dowiedział się wreszcie, co dzieje się w jego sprawie. Trochę nurtowało go pytanie, czy któryś z pozostałych współników nie załamał się w krzyżowym ogniu pytań. Czy dalej twardo trzymają się tego, co uzgodnili wcześniej. Czekał z niecierpliwością na jakiś cynk. Trzeba wyjaśnić, że miał swojego blatnego gliniarza. Tak, gliniarza. W takim procederze na większą skalę gliniarz bardzo potrzebny. Dzięki różnym zabiegom udało mu się wynaleźć oficera w swojej dzielnicowej komendzie. Osobnika bardzo łasego na forszę. Długo nad nim pracował, ale już od roku przed wpadką miał go na stałej pensji. Gliniarz nie zawiódł. Jak co tydzień prowadzili go do łaźni i dostał gryps. Przeszedł obok niego jak cywil energicznym krokiem (w pałacu wielu psów chodziło po cywilnemu) i poczuł, jak mu coś wsuwa do kieszeni. Był to gryps z bardzo ważnymi informacjami. Jeszcze raz otrzymał taką bibułkę zapisaną maczkiem drobniotkiego pisma. Było rzeczą oczywistą, że gliniarz tak ryzykując, czynił to również we własnym interesie. Też się bał przy pałki. A Rudy dzięki temu wiedział, czego się trzymać, i trzymał się tego konsekwentnie do końca.

Po ośmiomiesięcznym pobycie w piwnicy wypuścili go z Pałacu Mostowskich. Oślepiło go światło dnia. Stał i wdychał powietrze wolności.

Pierwszą osobą, którą zobaczył, był jego gliniarz. Kręcił się nerwowo w pobliżu. Ubrany po cywilnemu, dla niepoznaki nacisnął głęboko na głowę kapelusz. Rudy ruszył wolnym krokiem przed siebie. Na wysokości kina „Muranów” gliniarz nie wytrzymał i podszedł do niego.

— No i co? — zaszeptał,

— W porządku — odparł Rudy.

Gliniarz rozpromienił się: tęcza pokazała mu się w oczach.

— Zapraszam na kielicha — powiedział serdecznie. — Tylko sam wiesz... Gdzieś na boczku... — Wtedy Rudemu zaświtał wariacki kaprys. Postanowił przyjąć zaproszenie i napić się w tej milicyjnej knajpie, zwanej potocznie „Pod pałami”. Była obok kina. Lokal tylko dla glin i ich gości. Tamten zbladł.

— Coś ty! — tylko zdołał wykrztusić.

— Nie bój się — powiedział Rudy. — Twój koleś pomyślał, że nadal pracujesz nade mną. Prowadzisz mnie na wolności. Przecież dzielnicowo tobie podlegam.

Weszli do tej milicyjnej knajpy. Wódka tutaj po cenie monopolowej. Zasiedli, zamówili dwa schabowe, flaszkę. Gliniarz siedział jak przed egzekucją, sztywny i napięty.

— Rany boskie — pojękiwał. — Czuję się jak na minie.

— A ja czułem się jak kat! — śmieje się Rudy. — On był moją ofiarą. Za te wszystkie dni, tygodnie, miesiące, co te hinty pastwiły się nade mną i wołały:

„Rudy do budy!”

Na koniec wygłosił sentencję, że teraz każdego glinę można kupić. Od najniższego do najwyższego. Tylko wszystko zależy od ceny. Czy mu wierzyć?

## 26. MESA

To jedna z ostatnich knajp, gdzie przyjść można na męską wódkę pod rybkę w różnych postaciach. „Mesa” w pewien sposób zastąpiła „Rybkę” na Puławskiej. Tylko nie ma już dawnego uroku, wytrawnych kelnerów, słowem, atmosfery tak charakterystycznej dla dawnych restauracji w przedwojennych kamienicach, „Mesa” zajmuje piętro w narożnym bloku z epoki Bieruta na placu Zbawiciela. Ale ryby są niezłe i wódka w miarę chłodna. Zachodzą tu faceci w różnym wieku, po trzech, czterech, często prosto z roboty, zajmują ustronne miejsca i gawędzą przy flaszcze. W razie obecności tęgich ochlapusów liczba flaszek może się zwiększać i wtedy rozmowa nabiera tempa i soczystości, zawsze się znajdzie dominujący gaduła. Co prawda, ludzie teraz załatani, gonią za groszem i piją mniej. Rozmowy straciły charakter lekkiej narracji, koncentrują się na interesach, oblewa się początek lub koniec jakiegoś zyskownego przedsięwzięcia.

Tym bardziej zwrócili moją uwagę dwaj goście, którzy zajmowali stolik w najciemniejszym kącie pierwszej salki i kelnerka przynosiła im już drugą flaszkę. Nie dochodziły stamtąd podniesione głosy, żaden pijacki bełkot, prowadzili cichą, ale wartką rozmowę i stukali się szkłem według tradycyjnego zwyczaju. Czasem obaj zanosili się śmiechem. Dobrze im się gadało. Jeden z nieb wydał mi się znajomy. Dosyć tęgi, grubokościsty, powyżej pięćdziesiątki, o szerokiej, także grubokościstej twarzy i rzadkich siwoblond włosach, oczy skrzyły mu się intensywną niebieskością. Rozpoznałem go. Był to niegdyś wysoki dygnitarz partyjny, za Gierka pełnił funkcję zastępcy kierownika wydziału kultury KC partii, może nawet był krótko kierownikiem tego wydziału. Miałem z nim do czynienia. Bywał na zebraniach literatów, gościł w Twórczości Jarosława Iwaszkiewicza na świątecznych śledzikach i jajkach. Jako najwyższa instancja odwoławcza decydował w sprawach druku wstrzymywanych przez cenzurę tekstów w czasopiśmie i książek w wydawnictwach. Mógł powiedzieć: „tak” — lub — „nie”, to zamykało sprawę. W zachowaniu był skromny i sprawiał wrażenie brata łąty, kumpla pisarzy, poetów, dziennikarzy. Ale literaturą interesował się ponad zawodową potrzebę i kilka razy zadziwił mnie niezłym gustem. Jednak w sprawach zasadniczych potrafił być twardy, nieskłonny do ustępstw. Traktował ideologię jako ostateczny probierz w dziedzinie sztuki, czyli nadbudowy, jak się mówiło w partyjnym języku. Dał temu wyraz wypowiadając się negatywnie o moim opowiadaniu, które miało być drukowane w Twórczości i następnie opublikowane w wydaniu książkowym. Twórczość posiadała znacznie większy margines swobody niż inne czasopisma ze względu na szanowaną przez władzę osobę Jarosława Iwaszkiewicza. Jednak on, jako najwyższy strażnik literatury w PRL-u, opatrzył to opowiadanie etykietą utworu antysocjalistycznego i takie dictum było werdyktem ostatecznym. Druk utknął na etapie szczotek. Umowy na wydanie książkowe już nie podpisałem. Niewątpliwie, wtedy był to dla mnie cios. W kilka dni potem zaczęli mnie na ulicy i jakby z zażenowaniem powiedział, że nie mógł postąpić inaczej.

— Nawet bardzo to mnie wciągnęło w czytaniu?; I poruszyło. Ale wymowa absolutnie szkodliwa^.; Tak komplementował mnie dwuznacznie.

— Ale takie jest życie — odpowiedziałem mniej więcej w tym sensie. — Materia życia była moim tworzywem. Nic fikcji, przyziemny realizm.

— Tym bardziej o tym pisać nie można — mówił. — To czysty defetyzm. Taki utwór, w dodatku dobry w formie, jeszcze bardziej szkodzi, szerzy zupełną niewiarę.

Mówił z zaangażowaniem, przejęty wyborem między sztuką i ideologią. Przyznawał, że istnieje także prawda życia, ale jeżeli przeczyła ona ideologii, należało ją zanegować. W trakcie rozmowy moja wrogość wobec niego stopniała, odeszła niezauważalnie i już tylko zastanawiałem się nad zagadką jego postawy. Wierzy? Czy tylko czuwa jako sumienny nadzorca, wyznaczony do tej roli?

— O co właściwie wam chodzi? — zapytałem go nagle. — Czy tylko o nagą władzę? Przecież te wasze rzekome wartości, ideały, to zwykły blef! Nie sprawdzają się wcale. Stały się kłamliwą fasadą. A za tą fasadą pełno gnoju, kłamstwa, poddaństwa...

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Masz bardzo czarne widzenie rzeczywistości. Cholernie jednostronne. Jak socrealiści! — zażartował.

Chyba naprawdę wierzył, że walczy w imię słusznej sprawy. Tępy, zakuty łeb. Ale uczciwy. Dla niego, chłopaka z czworaków, fernalskiej biedy, PRL i partia to była pełnia nobilitacji społecznej. Otworzyły przed nim perspektywę i swojej drogi trzymał się z chłopskim uporem. Paradoksalnie powstała między nami pewna więź i później, spotykając się przypadkiem, witaliśmy się jak znajomi. Sumiennie czytał literackie nowości i dzielił się swoimi wrażeniami. Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy to według partyjnych ocen zostałem całkowitym dysydem i wydawałem książki w Paryżu u Giedroycia, nie stracił ochoty do rozmów ze mną, nawet czytywał te moje „podziemne książki”. Starał się ich nie oceniać i tylko uśmiechając się po swojemu, z pokrętną dobroduszością mówił: „Idziesz w swoich przekonaniach na cały regulator, ho, ho!” Sam wyższej kariery partyjnej nie zrobił, podobno miał pewne wątpliwości i na przykład całkowite poddaństwo wobec Sowietów nie bardzo mu się podobało. Dawał temu wyraz w prywatnych rozmowach. Trochę sympatyzował z Moczarem i nacjonalistycznym nurtem w partii. W latach osiemdziesiątych poszedł w półodstawkę i został wysłany na drugiego sekretarza do ambasady w Bułgarii. I oto teraz spotkaliśmy się w „Mesie”. Powodowany impulsem tylu wspomnień, podszedłem do niego.

— Cześć!

Spojrzał i na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

— Poznałeś mnie. Witasz się — zaczął urywanymi zdaniem. — Nie masz żalu. A ja myślałem, że już nigdy nie będziesz chciał mnie znać.

Jego kompan był bardziej pijany i oczy miał mętne, szkliste.

— Towarzysz Jakiś Tam... — niewyraźnie wymówił jego nazwisko, dokonując prezentacji.

Też musiał być dawnym aparaczykiem.

— Dlaczego miałbym wymazać ciebie z pamięci?

— zapytałem.

— Byliśmy przecież po dwóch stronach barykady

— odparł. — Władza trochę ci dokuczała. Zapraszał do stołu. Wymówiłem się brakiem czasu. Zapytałem go, co porabia teraz.

Odpowiedział mi, że już jest rencistą i w nic się nie wdaje.

To „niewdawanie się” zaakcentował z wyraźnym naciskiem.

— Ani w politykę ■ dodał — ani w biznes. Chociaż młodszy towarzysze czynili mi różne atrakcyjne propozycje... No i co? — zapytał. -- Lepiej jest czy gorzej?

— Normalniej! — odpowiedziałem podniesionym głosem. — Rozumiesz, normalniej!

Popatrzył na mnie z zastanowieniem i powtórzył:

—Normalniej... Co to znaczy?

— Coś przecież pękło. Nie widzisz tego? Twarda skorupa, pod którą wegetowaliśmy, została rozwalona i wdarł się pęd świeżego powietrza w cały ten zaduch. Nie czujesz tego? Chodzi w końcu o to, żeby nareszcie świnia była świnia, głupiec głupcem, zło złem, a dobro dobrem. I tak dalej. Żeby naszym życiem nie rządziły jakieś wymyślane z sufitu brednie i zdrowy rozsądek nie był gwałcony codziennie w żywe oczy. Czy tak nie było? Ale teraz już tak nie jest!... — Mówiłem zbyt podniesionym głosem i wywołałem pewne zainteresowanie osób postronnych. Gapili się ciekawie w naszą stronę. Urwałem zawstydzony. Nie pasują takie tyrady do knajpy. Odszedłem bez pożegnania. Jeszcze doszedł mnie charkotliwy śmiech towarzysza Jakiegoś Tam, który chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu atak kaszlu nałogowego palacza. Jest normalniej. Czy to zrozumiał?

## 27. STARE I NOWE

Na pewno był nestorem wśród nauczycieli z W. i jeszcze tylko kolega Leopold R. został z tamtego rocznika kursów nauczycielskich na ulicy Wielkiej. Kolega Leopold R. odwiedzał nasz dom w dzień imienin ojca i ochoczo wygrywał na pianinie patriotyczne melodie, stare szlagiery. Kiedy zaczynał „Pasła Kasia v/ołki na bukowinie...”, ojciec wtórował mu uroczystym głosem. Dobrze znał słowa, ale strasznie fałszował.

— No, jeszcze coś, kolego! — prosił rozochocony. Wszyscy w gronie starych pedagogów mówili do siebie per kolego. Posługiwali się tylko takim zwrotem. Ojciec razem z kolegą Leopoldem byli ochotnikami w wojnie 1920 roku i dzień „Cudu nad Wisłą” stał się bardzo uroczystym świętem szkoły w Radzyminie, której kierownikiem był Leopold R.

Ojciec był nauczycielem z powołania i musiał przebyć długą drogę ze wsi pod Sochaczewem. Czasem opowiadał o swoich wyprawach do Warszawy z wiejskiej szkółki nad Wisłą, w której rozpoczął nauczanie dzieci. W stolicy uczęszczał na Wolną Wszechnicę i słuchał tam wykładów sławnych profesorów: Ludwika Krzywickiego, Heleny Redlińskiej, Wacława Nałkowskiego. Najchętniej mówił o młodym matematyku Sachsie, który, jego zdaniem, był geniuszem.

Marek Nowakowski

A jeżeli chodzi o jego udział w wojnie 1920 roku, to z wielką ekspresją wspominał musztrę kompanii ochot- J ników. Między nimi znajdował się językoznawca, profesor Klemensiewicz, którego groźny sierżant-zupak beształ ordynarnie za brak umiejętności w obchodzeniu się z bronią. Ojciec i inni ochotnicy z cenzusem zwrócili \ uwagę sierżantowi, że to przecież profesor.

— A gównu mnie to obchodzi! — wrzasnął sierżant. — Dla mnie to jest fajtłapa i nic więcej!

Ojciec opowiadając, chichotał cieniutko. Brak szacunku dla pozycji profesora był dla niego największą herezją. Posiadał bowiem bardzo silne poczucie autorytetów i hierarchii, zarówno w małym szkolnym życiu, jak w większym, państwowym wymiarze. Wierzył niezachwianie w trwałość pewnych zasad, które były fun- I damentami tej hierarchii. Kościół, państwowość, oddanie się sprawie publicznej.

Jak wielu ludzi z tamtego pokolenia przeżył silnie I odzyskanie niepodległości i marszałek Piłsudski był dla I niego symbolem Polski. Szkoła, której został kierowni- I kiem, została nazwana imieniem Marszałka i Ojciec był I sprawcą jej budowy.

— Tylko szkoła i szkoła — narzekała matka. I — A co dla domu zostaje?

Ojciec zbywał milczeniem jej małostkowe zarzuty I i trwał przy swoim. W czasie okupacji, kiedy w szkole I kwaterowały wojska niemieckie, ojciec próbował rato- I wać ciągłość i lekcje odbywały się w prywatnych miesz- I kaniach. Klęskę Niemców powitał z nadzieją. Przede I wszystkim budynek szkolny spełniał swoje przeznacze- I nie i po dawnemu woźny zaznaczał dzwonkiem przer\* I wy. Głęboka, choć naiwna wiara w trwałość dziedzic\* fl twa z przeszłości spowodowała, że znów popiersie« ■ szalka znalazło się na postumencie w szkolnym koryt\* n

—  
rzu. Jednak nastąpiły inne czasy i kłopoty ojca z władzą stanowią osobną i długą historię.

Ojciec z natury nie był bojowy i przywykł do wykonywania poleceń zwierzchników. Miał w pamięci czas zaboru rosyjskiego i odziedziczył po swoich przodkach chłopską uległość. Jednakże posunięcia nowej władzy coraz częściej kolidować zaczęły z dobrem szkoły i młodzieży. W tym przedmiocie ojciec był nieprzejednany i nie nazywając rzeczy po imieniu, jakby sekretnie nawet dla samego siebie stawiał opór. Rozpoczął się tragikomiczny ciąg jego potyczek z kuratorami, inspektorami, wizytatorami i innymi ważnymi włodarzami. W tym czasie pojawił się w W. energiczny, niespełna trzydziestoletni mężczyzna; został dyrektorem gimnazjum, które niebawem przekształcić się miało w 11 -letnią szkołę TPD. Jako reformator wykazał się skuteczną sprawnością i szkoła stała się jedną z pierwszych, wzorcowych 11-latek. Miał żelazną rękę, bardziej wojskową niż pedagogiczną, i cieszył się względami wysokich czynników politycznych. Awansował na stanowisko kuratora okręgu szkolnego do Warszawy. Był człowiekiem przyszłości. Jego znajomość z ojcem zaczęła się od spotkań na konferencjach szkoleniowych. Tak samo jak ojciec był matematykiem. Powrócił z Zachodu. Walczył w kampanii wrześniowej, później we Francji i jednostka, w której służył, przeszła granicę Szwajcarii i została tam internowana. W Szwajcarii spędził całą okupację. Studiował na uniwersytecie w Lozannie i jego wykształcenie imponowało ojcu. Władał biegle kilkoma językami i po francusku mówił jak Francuz. Mimo różnicy wieku obaj z ojcem przypadli sobie do gustu. Jerzy M. pojawił się na imieninach ojca i odtąd bywał w naszym domu częstym gościem. Namawiał ojca do aktywnego udziału w nowym życiu. To, co się dzieje, jest nieuchronnym procesem dziejowym, a udział w nim moż

n

na nazwać uświadomioną koniecznością. Bardzo dogłębnie zapoznał się z marksizmem i z jego skarbnicy czerpał argumenty.

— Ciesz się, Antek — mówił brutalnie — że nie zostaliśmy następną republiką radziecką. — Ojciec dziękował zakłopotany.

Jerzy M. nieustannie ranił go boleśnie i wyglądało na to, że pragnie nauczyć ojca sztuki postępowania/ w nowych warunkach. „A co byś zrobił, jakby ruski język wprowadzili do szkoły jako wykładowy? No powiedz, co? Chociaż mamy niby Sejm, rząd, prezydenta\* ;; Wojacy noszą rogatywki. Że orzeł bez korony? Mogli czerwoną gwiazdę nam zafundować. Ze Sybir, bezpieka, kazamaty?! Nie ma dymu bez ognia. Musimy z tym się pogodzić”.

Ale chyba sam niezupełnie z tym się pogodził. Czasem po pijanemu w przewrotny sposób pochwalał ojca za jego upór w sprawie orła z koroną, który ciągle wisiał w szkolnej kancelarii, czy Marszałka z brązu, stojącego na honorowym miejscu.

— Jedyne szkole tak ozdobione —v chichotał. — Można pokazywać jako relikw. Czy ty udajesz głupiego, Antek? Piłsudski to dla nich płachta na byka!

Pierwszy ostrzegł ojca, żeby zaprzestał urządzania zabaw wspólnie z księdzem proboszczem. Dochód z tych zabaw dzielony był po połowie na budowę szkoły i kościoła.

— Uważaj! — wtedy mówił poważnie. — Radzę ci zaprzestać tych igraszek. Myślisz, że o tym nie wiemy? Wiemy, wiemy. Przychodzą donosy. Szef bezpieki wściekał się. Z nimi nie ma żartów. Mogą ci się dobrać i do tyłka — wlepił w ojca oczy, które w tym momencie były zupełnie trzeźwe, poważne. — Na razie czuwam I nad tobą. Ty uparty, stary capie! — w jego głosie zabrzmiała szczera sympatia.

Zaczął domagać się gwałtownie wódki. Ojciec wyciągnął z kredensu karafkę orzechówki, przeznaczonej na dolegliwości żołądkowe. Jerzy M. wypił, krzywiąc się i wstrząsając.

— Dziwak z ciebie — powiedział. — Nawet porządnej gorzałki nie masz w domu.

Podczas którejś wizyty, oświadczył: „Nie utrzymasz się długo, nie dasz rady”. Diagnoza była trafna. Ojca usunęli ze stanowiska kierownika szkoły. Jerzy M. nadal odwiedzał go wieczorami. Po naradach w kuratorium, partii, ministerstwie popijał ze swoimi kumplami i po tych biesiadach wstępował jeszcze do ojca. To stało się jego zwyczajem. Pił coraz więcej i kariery nie zrobił. Zaczął spadać po szczeblach szkolnej drabiny. Osiadł na zupełnej mieliźnie jako nauczyciel fizyki i matematyki na wieczorowych kursach maturalnych.

— Nie dałem rady — przyznał się raz ojcu. — Może ty tak mnie rozmiękczyłeś? — uśmiechnął się niewesoło i zażądał wódki. — Tylko nie tej cholерnej orzechówki! — popatrzył na ojca z pijacką intensywnością. — Ale z ciebie zatwardziały kołek, Antku!

## 28. SIŁA CZARNEGO

Ojciec już nie był kierownikiem szkoły. Idąc ulicą Kościuszki, spoglądał w stronę dwupiętrowego budynku z pochylonym dachem, pokrytym czerwoną dachówką, Gospodarskim okiem lustrował swoje dzieło. Interesował się postępami prac przy budowie sali gimnastycznej, której wznoszenie rozpoczął zaraz po wojnie. Trzymał fason.

Oboje z matką starali się o tym nie mówić. Ojciec dawał lekcje matematyki i fizyki w wieczorówce na Pradze i jeszcze miał kilka korepetycji domowych. Matka uczyła w szkole powszechnej na Ochocie. A latem ojciec wyjechał z dziećmi z kilku szkół z dzielnicy jako kierownik kolonii. Pojechałem z nim na przy- czepkę. Zamieszkaliśmy w budynku wiejskiej szkoły, przeznaczonym w czasie wakacji na turnusy kolonijne. Okolica była podgórska, lesista i malownicza. W pobliżu był stary zamek na górze i dwa pałace, zamienione na siedziby PGR-ów. W zamku było więzienie. U stóp góry zamkowej rozsiadło się miasteczko z barokowym kościołem, ratuszem i żydowską świątynią, w której mieścił się magazyn pasz i nawozów. Oba dwory i zamkowe miasteczko stały się celem naszej wyprawy turystycznej.

Wychowawczynią młodszej grupy dzieci była panna Irena, hoża dziewczyna o włosach koloru złota, które

w słońcu pobłyskiwały jeszcze bardziej złociście. My, starsi chłopcy, bardzo pragnęliśmy zwrócić na siebie uwagę panny Ireny, zasłużyć choćby na jej krótkie spojrzenie, uśmiech. Popisywaliśmy się, jak tylko można było się popisywać. Towarzyszył wycieczce rosły brunet, o kruczonych, aż granatowych włosach, ognistych oczach i śniadej cerze. Był oficerem powiatowego urzędu bezpieczeństwa, życzliwie zainteresował się naszą kolonią i podjął się roli przewodnika. Omawiał z ojcem program wyprawy i dzięki jego wpływom zostaliśmy zawiezieni pod sam zamek wojskową ciężarówką.

Czarny, bo tak od razu został nazwany, zaśpiewał czystym dźwięcznym barytonem — „Rozkwitały jabłonie i grusze”, następnie pieśń frontowych szoferów, zachęcając nas do chóralnego wtórowania. Był wesołym kompanem i opowiadając zabawne anegdotki i kawały, wpatrywał się w wychowawczynię młodszej grupy, pannę Irenę. Od niej najbardziej oczekiwał aplauzu i tak bardzo tego pragnął, że nawet zaproponował jej naukę strzelania z broni krótkiej. Było to podczas postoju, na łączce nad rzeczką, gdzie rozpiąwszy marynarkę, odsłonił nagan u pasa w skórzanej kaburze.

Ale panna Irena nie chciała strzelać. Natomiast my, starsi chłopcy, prosiliśmy żarliwie Czarnego, żeby pozwolił nam wystrzelić choć raz. Interweniował mój ojciec i chrząkając (co było oznaką jego zakłopotania) coś poszeptał na stronie z Czarnym. Opuściliśmy łączkę nad rzeczką i pojechaliśmy dalej. Jednak Czarny nie zaprzestał prób olśnienia panny Ireny. Posunął się nawet do oświadczenia, że może wprowadzić całą grupę na dziedziniec zamku, który był więzieniem. Wskazał potężną bramę, obitą blachą, z otworem judasza pośrodku, przesłoniętym klapką. Podniósł rękę wyżej. Widzieliśmy rzędy wąskich, okratowanych okienek w murze. Czarny mówił z uniesieniem o wilgotnych,

Marek Nowakowski

Bponurych celach, w których pozostały jeszcze żelazne haki, obręcze, łańcuchy, średniowieczne narzędzia tortur. Już chciał zakołać do więziennej furty, ale mój ojciec odwołał go od tego zamiaru. Zamiast więzienia^ zwiedziliśmy kościół.

Wieczorem, kiedy wróciliśmy z wycieczki, zobaczyłem, jak Czarny skłonił się szarmancko pannie Irenie i coś perorował z ożywieniem. Ona pokręciła przeczącą głową i zaraz odeszła. Panna Irena była od początku obiektem mojej adoracji i kilka razy spacerowaliśmy\* ścieżką w stronę młyna wodnego nad porywistą rzeką spływającą po kamieniach z gór. Pewnego wieczoru^ kiedy szliśmy brzegiem rzeczki, wsłuchując się w szum wody, wydawało mi się, że słyszę szmery za nami. Obejrzałem się i jakiś cień mignął pośród krzaków. Od razu pomyślałem, że to Czarny. Powiedziałeś o tym pannie Irenie. „A niech się czai!” —i odparła lekceważąco.

W przeddzień zakończenia dwutygodniowego turnusu mieliśmy uroczyste ognisko, opiekaliśmy kielbasę na patykach i śpiewaliśmy harcerskie piosenki, wśród których największym wzięciem cieszyły się „Stokrotka rosła polna” i „Szumią knieje”. My, starsi chłopcy, po kryjomu napiliśmy się wina marki „Tur” i ośmielony zaprosiłem pannę Irenę na spacer. Zgodziła się i poszliśmy do pobliskiego lasu. Dużo jej opowiadałem o swoich ulubionych książkach. Szczególnie efektownie streściłem opowiadanie Edgara Allana Poe pt. Studnia

1 wahadło. Irena żywo reagowała na niesamowite wydarzenia, opisane w noweli. Potem zdecydowałem się na desperacki postępek. Objąłem ją i pocałowałem. Rozzuchwalony jej przyzwoleniem, całowałem coraz bardziej zawzięcie, aż odepchnęła mnie i powiedziała, odychając nierówno: „Dość!” Wracaliśmy ze spaceru

POWIDOKI 3

101

przytuleni do siebie i dopiero na skraju lasu odsunęliśmy się na przyzwoitą odległość.

Następnego dnia pakowaliśmy swoje plecaki i walizki, szykując się do powrotu z kolonii. Wtedy przyszedł Czarny i zaprosił mnie na wódkę. Poszliśmy do drewni. Tam Czarny wyciągnął z kieszeni butelkę i fachowo wybił korek. Oznaczył palcem na szkle miarkę do wypicia i pociągnął tęgi łyk. Tak kolejno. Alkohol szybko zaszumiał mi w głowie. Czarny zapytał o Irenę.

— Byłeś z nią wczoraj, prawda? — powiedział i wpatrzył się we mnie gorejącymi oczyma. Kazał opowiadać, co robiliśmy we dwoje. Rozochocony alkoholem, puściłem wodze fantazji i opowiadałem ze swadą o swojej brutalnej sile zdobywcy i jej uległości. Zachwalałem wdzięki i powaby jej ciała, ognistą namiętność.

Czarny zwiesił głowę i zazgrzytał zębami. Nagle zapytał: „A wiesz ty gnoju, kto ja jestem?”

— Jesteś z bezpieki — odpowiedziałem.

— Ja mógłbym... — wykrztusił Czarny — ja... — powtórzył i już nic więcej nie powiedział, tylko gwałtownymi, szponiastymi ruchami palców wicherzył wspaniałą, czarną czuprynę. Był zupełnie bezsilny. Patrzyłem na niego z pobłażliwą wyższością.



## 29. GDZIEŚ NA ULICY NIE NAZWANEJ

Trakt nie istniejący, tylko w pamięci. Więc idziemy! Z kompanami. Lub samotnie. Naszła nas chandra jesienna, melancholia z wiosną. Jeżeli jesień, to kołnierze do góry i w drogę. Z wiatrem, deszczem. Zapada szarówka. Zapalają się światła latarni i prowadzą nas szlakiem wydeptanym przez pokolenia. Trzymamy się śródmieścia. To najlepszy rewir. Snujemy się Nowogrodzką na tyłach „Polonii”. Zachodzimy do baru „Przystanek”, zajmującego parterową pozostałość po zrujnowanej kamienicy. Jest tuż przy końcowym przystanku EKD. Szynk tłoczny, podły, ale swojski. Wypijamy 50 g pod żółty ser. Rozglądamy się po wrzaskliwej ciżbie. Pasażerowie linii podmiejskich, tacy sami jak my melancholicy, single, gnani nieokreśloną tęsknotą, pragnieniami, grzeją się też po kątach uliczne kobiety „gruzinki”. Wędrujemy na Żurawią do „Canaletta”, po kilku schodkach do góry. Stare, przedwojenne szlagiery gra ślepy harmonista. Przy stolikach siedzą goście, piją, jedzą. Serwują tu znakomite befsztyki z koniny. My przy szynkwasiu na stojąco. Siup! Jedna mała, druga pod jajeczko w majonezie lub tajemniczego „śledzia po japońsku”.

Dalej w drogę. Wychodzimy na Marszałkowską. Jesteśmy przy rogu z Alejami. Wielka, poszczerbiona kamienica ocalała z wojennego zniszczenia. Tu również szynk stary zaprasza nas gościnnie. Duża, oszklona wystawa, wnętrze wabi. Wpadamy na jednego. Trochę śródmiejskiej żulii, ale i kupcy ze sklepików parterowej Marszałkowskiej. Kilku doliniarzy rozprawia złodziejską kminą, pracują w „bombie” (tramwaje), wpadli na krótką rozgrzewkę. Idziemy dalej. Przechodzimy na drugą stronę Alej i stąd już blisko do ulicy Widok. Tu bar „Łowicki” otwiera swe podwoje. Oświetlona kula nad drzwiami.

Ogarnia gorące powietrze, przesycone wonią kapusty, piwa i papierosowego dymu. Tłok, ludzie różnych profesji, poczciwych i niepoczciwych. Stoimy chwilę, wsparci łokciem o ladę. I wracamy na Marszałkowską, kierunek w stronę Świętokrzyskiej. Zaraz bar „Pod setką”. No więc setkę. Duch się podnosi, myśli krążą szybciej i efektowniej. Beztroska górą, znikają wszystkie troski. Krążymy w czarodziejskim rewirze śródmieścia. Wróciliśmy już lekko tanecznym krokiem w Aleje i tam przy ulicy Pankiewicza „Klubowa” — dwie sale z lustrami na ścianach, miękkie wygodne kanapki — gabinetowy styl przedwojenny, zasiadamy i do ćwiarteczki zamawiamy schaboszczaka z kapustą. Oczywiście wątroba i żołądek przy takim trybie rekreacji muszą być pancerne. Wzmacniamy się gwarząc z przygodnymi znajomymi. „Klubową” nazywają bywalcy knajpą Kowalskiego, bo tak przed wojną brzmiało nazwisko właściciela. Jeżeli utrzymamy stan napędu ręcznego jelenia, to możemy jeszcze nieźle pobuszować. Zajdziemy do „Expressu” na Brackiej i popatrzy na nas z drewnianej boazerii srebrzysta ryba z zielonym okiem.

Dojdziemy do placu Trzech Krzyży i w parterowym budyńeczku przy Książęcej strzelimy kielicha z tramwajarzami, którzy tu często zachodzą. Spojrzymy bogobojnie na kościół św. Aleksandra, zanurzymy się w wąwozie Mokotowskiej i odwiedzimy kolejno „Kuja-

|wiaka", „Przechodni" oraz dalsze dwa szynki. Zawiruje nam mocno w głowie i zapagniemy upojnej nocy. W pobliżu mamy „Dziedzilię" na Marszałkowskiej — dancin do północy, i potem „Polonię" z osławionym „Dołkiem". Tylko uwaga! Wszystko zależy od głowy. Słaba głowa nie wytrzyma i wtedy łatwo można wylądować w Izbie Wytrzeźwień na Żelaznej lub w piwnicy XI komisariatu. Ująć na chwilę w cugle rozbrykane pragnienia i zastanowić się nad możliwościami!

### 30. PIELEŃNIARZ MARIAN

Był to drewniany barak na Żelaznej i tam mieściła się Izba. Miała wzięcie dzień i noc. Pracowała kompletami. W Izbie był zatrudniony Marian, gość z naszej dzielnicy, który przedtem chwycił się wielu zajęć: pracował jako konwojent w handlu mięsnym, kopacz rowów, stróż na terenie metrobudowy, wreszcie trafił na swoje miejsce. Nabral pewności siebie i na jego twarzy już na stałe zagościł syty, pobłażliwy uśmiezek, który czynił go jeszcze bardziej odpychającym.

Postury był ogromnej, osiłek z okrągłą, łysawą głową wyrastającą prosto z opadłych, mocarnych ramion. Twarz miał rumianą, bez zarostu i oczy bydlęce, bez cienia sympatii czy życzliwości dla rodzaju ludzkiego. Ludzi dzielił na dwie kategorie: potencjalnych pacjentów i pacjentów. Jedną pleć i drugą.

Kierownictwo Izby nie mogło się nachwalić Mariana. Znaleźli właściwego pielęgniara. Bo na takim był zatrudniony etacie. Pielęgniara właśnie. Chętnie brał nadgodziny, dyżury w zastępstwie zmiennika i nigdy nie był na chorobie. Izba stała się jego domem. W swojej pakamerze miał kozetkę z porwanym pluszowym obiciem, wywleczoną z jakiegoś śmietnika, taboret, maszynkę elektryczną, czajnik, patelnię, radio Pionier i nawet powiesił na ścianie kobitkę w kostiumie bikini z kolorowego tygodnika. Wyposażył sobie mieszkancko

i w wolnych chwilach siadał na kozetce, rozpinął biały fartuch pielęgniarza, popuszczał pasa i wywalał ogromny brzuch z pępkiem jak krater wulkanu, popijał sobie piwko, a może coś mocniejszego. Marian w Izbie po- kątne handlował gorzałą. Skacowani pacjenci budząc się z głębokiego snu bardzo łaknęli i jeżeli wyczuł, że są to ludzie odpowiedzialni, którzy mają szmal i umieją trzymać język zamknięty na kłódkę, dawał im życiodajne pokrzepienie za słoną opłatą. Pięćdziesiąt gram, najwyżej setkę, nigdy więcej.

Zwoziła pijaków milicja z całego miasta i Marian już czekał na pacjentów w drzwiach Izby. Ogromny, stał na szeroko rozstawionych nogach i uśmiechał się serdecznie. Ten uśmiech jak przylepiony trzymał się jego gęby. Nie było dla niego kozaków i nawet najbardziej wierzgających, wściekłych pijaków pętał jak kozłeta. Szybko ich rozbierał, odziewając w długie, szare koszule z czarnymi pieczęciami. Obezwładniał fachowo i przytwierdzał specjalnymi pasami do łóżek.

— No śpij sobie mendo! — powiedział groźnie-do- brotliwym głosem i odchodził. Czasem jeszcze szczypał takiego delikatnie w policzek.

Oczywiście przed tą końcową procedurą układania do snu Marian dokonywał odbioru dokumentów, kosztowności, ostrych narzędzi i wpisywał to wszystko do księgi depozytowej w obecności dyżurnego lekarza.

Ale my doskonale wiedzieliśmy, że Marian jest wielkim specjalistą od oskubywania pijaków. Działał z wyczuciem i wiedział, którego można oczyścić do szczytu, którego tylko trochę, a któremu nie należy zabierać niczego. To był fachowiec. Z sobotniej lub niedzielnej nocy forsy mógł uezierać! Albo w dniu imienin Jana. Nie tylko forsy, jeszcze zegarków kilka sztuk, złotych łańcuszków z krzyżykami, nawet sygnetów. Żadna z ofiar nie mogła się do niego przyczepić. Ładowali

przecież w Izbie po wielu przejściach, bijatykach, przeprawach z gliniarzami. Zbierani z ulic, skwerów, dworców. Przeważnie mieli urwany film i nic nie pamiętali ze swojej odysei. Ale my dobrze wiedzieliśmy, skąd Marian ma zawsze forszę i dlaczego bez trudności mógł sobie pozwolić na kupno harleya z przyczepą, ze skórzanym strojem i skórzaną pilotką do kompletu. Toteż ludzie od nas, starzy i młodzi, ilekroć zdarzyło im się trafić do Izby i zachowali jeszcze choć trochę przytomności umysłu, wpijali z wysiłkiem gasnący wzrok w Mariana i syczeli: „Tylko nie oskub mnie czasem, ty skurwy- żesynu!...”

— Co ty! — oburzał się Marian. — Swojaka! Jakżebym mógł!

Może tak, może nie. Trudno potem było sprawdzić. W porze rannej odbywało się wypuszczanie gości i Marian w obecności lekarza wyrzucał depozyt z płóciennego woreczka, podsuwał pacjentowi księgę z poliniowanymi stronicami, gdzie ten podpisywał przyjęcie swoich rzeczy osobistych, pieniędzy i odchodził żegnany przez pielęgniarza promiennym uśmiechem.

Na swoim posterunku w Izbie Wytrzeźwień na Żelaznej wytrwał Marian do końca. Barak rozebrano, a Izbę przeniesiono na Kolską. Już bez Mariana.

Niektórzy z dawnych bywalców, wspominając stary lokal, od razu mają przed oczyma rumianą, uśmiechniętą twarz olbrzymia, oczekującego ich w szerokim rozkroku przy wejściu do baraku.

### 31. NASZ LEGIONISTA

Przeważnie patrzył na ludzi z góry. Ze względu na jego dwumetrowy wzrost przezywano go Milimetrem. Bardzo wczesnie zaczął przepijać swoje życie i bazar na Pańskiej był jego matecznikiem. Po jego likwidacji przeniósł się na Pragę i tam jego wyniosła sylwetka górowała nad ludźmi w bramach Żąbkowskiej i Targowej, pośród straganów bazaru Różyckiego. Najbardziej nadawał się na cynkarza i ostrzegał grających w trzy karty przed nadchodzącą mentownią. Miał znajomości między paserami i często rozprawdzał trefny towar w Polskę. Jako chłopak lewobrzeżny zarobiony szmal przepijał po drugiej stronie Wisły. Szedł jak taran od knajpy do knajpy, żeby o świcie wylądować na Głównym lub na Zieleniaku i jeszcze było mu mało. W rozmowie chętnie używał francuskich słów i w miarę postępującego opilstwa trudno było go zrozumieć, gdyż wtedy już mieszał po połowie francuski z polskim. Ale i na trzeźwo często powtarzał: ęa va, Mon Dieu, Sac- rebleu, a na widok gitanów radością rozbłyskiwały mu oczy. Palił chciwie te mocne szlugi i mówił, że w Alge- rze dostawali jako przydział karton na tydzień. Cenił bardzo trunk o nazwie calvados.

— Calvaaaa... — mówił przeciągle. Wyrobił sobie autorytet wśród chojraków z miasta. Nie tylko ze względu na wzrost i hojny gest. W bójkach nieźle sobie dawał

radę. Był odważny i łatwo wpadał w złość. Zaczynał wtedy kłać po francusku, potrafił też po arabsku.

Od muzułmanów, jak powiadał, nauczył się fatalizmu i różne niefarty losu znosił ze wschodnią rezygnacją, mówiąc: „Inszallah!” Milimetr pociągał nas swoją odmiennością i jeszcze miał blaszkę z białego, lśniącego metalu z wygrawerowaną na niej grupą swojej krwi.

— To w razie rany postrzałowej, jakiejś choroby tropikalnej — tłumaczył. — Od razu wiadomo jaką krew przetoczyć...

Chętnie przy wódce, którą popijaliśmy w krzakach nad Wisłą, opowiadał nam o Legii Cudzoziemskiej. Był w szkole rybackiej jungów i wypłynęli w szkoleniowy rejs na Morze Północne. Postój mieli w Antwerpii i tam z jeszcze jednym kumplem opuścił statek. Obaj zapisali się do Legii Cudzoziemskiej i po półrocznym szkoleniu w okolicach Marsylii znaleźli się we francuskiej Afryce. Wysłano ich na Saharę do odległej oazy, gdzie staczali potyczki z Beduinami.

I wtedy nasza wyobraźnia zaczynała się rozgrzewać. Tyle sobie dopowiadaliśmy! Snuliśmy barwnie rozpasa- ne fabuły przygodowe. Niektórym pomagała lektura popularnej ongiś książki sierżanta Białoskórskiego Dziesięć lat piekła Legii Cudzoziemskiej. Milimetr urastał w naszych oczach do rozmiarów wielkiego awanturnika, rezuna z saharyjskich diun i wtedy przypominała nam się książka pod tytułem Przez ergi i hammady Sahary. Patrząc na łąchy wiślane, pełne białych mew, widzieliśmy żółty piaszczysty bezkres, karawany wielbłądów, zieloną oazę lub fatamorganę oazy i jeźdźców na pięknych rumakach, omotanych w białe burnusy, w czarnych turbanach, którzy wymachując strzelbami i szablami szarżowali na legionistów okopanych w piachu. Zazdrościliśmy Milimetrowi egzotycznych przygód. Na Saharze zginął jego kumpel z Kraju. Zaprzyjaź

nił się wtedy z Francuzem imieniem Pierre. Razem chodzili do burdelów w Casablance, Oranie. Występowała jakaś piękność wschodu, Aisza.

Tak porywająco do zmroku upływał czas na praskim brzegu Wisły, w pobliżu rzeźni, skąd dochodził smętny ryk mordowanego bydła.

Z opowieści Milimetra wynikało, że przed upływem terminu podpisanego kontraktu zdezerterował z Legii i powrócił do Polski. Tu odsiadywał kilkuletnią karę więzienia za ucieczkę, warunkowo zwolniony, rozpoczął życie na wolności.

Niektórzy, przeważnie starsi, powątpiewali w prawdziwość jego burzliwych przeżyć.

— To urodzony farmazonista — twierdzili, ale nigdy w jego obecności. Natomiast my, najmłodszy, wierzyliśmy Milimetrowi co do słowa. Niesamowitego splendoru dodała mu przygoda, która zdarzyła mu się na przystanku autobusowym przy Nowym Świecie. Nagle poczuł na barkach uderzenie z góry, uderzenie tak wielkiej mocy, jakby zwała się na niego ściana domu. I stracił przytomność. Ocknął się w szpitalu.

Z tego domu przy przystanku wyskoczył z okna drugiego piętra siedemnastoletni chłopak, narkoman, ogarnięty pragnieniem odebrania sobie życia. Spadł prosto w ramiona Milimetra, któremu połamał bark i uszkodził organy wewnętrzne, śledzionę, jakieś kiszki. Milimetr przeszedł dwie operacje, ale wyszedł z życiem. Tak samo jak niedoszły samobójca.

Z matką nieszczęsnego narkomana, zamożną panią doktor, Milimetr łatwo doszedł do porozumienia, uznał bowiem, że proponowany przez nią ekwiwalent pieniężny za straty fizyczne i moralne jest wystarczający. Wypadek ten zresztą zaowocował swoistą zażyłością z matką chłopaka. Nieraz Milimetr odczuwając pustkę w kieszeni odwiedzał ją i ona nigdy mu nie odmówiła.

Ostatni raz widziałem Milimetra dziesięć lat temu. Był obdarty, zarośnięty, zataczał się i omiółł mnie pustym wzrokiem bez pamięci. Toczył się Kijowską w stronę dworca.

### 32. KLAN CIURARY

Często źle się u nas mówi o nacji cygańskiej. Ale pan Zdzisław Kępiński stanowczo się z tym poglądem nie zgadza. Żli i dobrzy są tylko ludzie. Obojętne z jakiej strony. To przekonanie wyniósł z lat okupacji. A nasi jacy byli? Takie zadaje retoryczne pytanie. Oprócz bohaterów, wspaniałych facetów, ile swołoczy! Pamięta ponurą sławę, jaką cieszył się u nich w dzielnicy cypel czerniakowski. Tam w letnie ranki przyjeżdżały dziwki z miasta po pracowitej nocy. Odpoczywały na piachu, grzały się w słońcu. Przy nich kręcili się mężczyźni. Jak to chłopcy, do bab jak do miodu. Dzwiki były miłe, stawiały gorzałkę, zakąskę. Wesolo bywało na cypelku. Ale swołocz wszędzie się znajdzie. Było paru takich żu-lików bez honoru i sumienia. Upijali oni ładacznice, brali na przejażdżkę łodzią po Wiśle i tam po doszczętnym obrabowaniu (często jeszcze korzystali z ich spracowanych, kobiecych powabów) dźgali majchrami te nieszczęsnice i topili. Było kilka takich przypadków. Jako odmienny, kontrastowy przykład na ludzką życzliwość, wzajemną serdeczność przywołuje pan Zdzisław Kępiński cygańską rodzinę Ciurary. Podczas okupacji zamieszkali oni w kamienicy na rogu Solca i Wilanowskiej. Była to bardzo liczna familia, rodzice, synowie, córki, wnuczeta. Posiadali paszporty rumuńskie i to był j majstersztyk. Rumunia była wtedy sprzymierzeńcem III Rzeszy i jej obywatele traktowani byli przez Niemców jak sojusznicy. Ale to byli Cyganie, nasi, polscy Romowie. Tylko sobie wiadomymi sposobami zdobyli glejty nietykalności. Bo przecież Cyganie jak Żydzi podlegali rasowej eksterminacji. Głową rodu był starszy, wytworny pan w meloniku, z bambusową laseczką; siwa bródka starannie uformowana w szpic. Wyglądał jak hiszpański grand, a już na pewno jak rumuński arystokrata. Jego specjalnością były dywany; handel, czyszczenie, renowacja. Miał stoisko na placu Napoleona. Prowadził jeszcze inne interesy, handlował złotem, dolarami na czarnym rynku. Miał stosunki z Niemcami i często biesiadował w wytwornych restauracjach, podjeżdżał pod dom dorożką, rzucając dzieciakom drobne monety i cukierki. W jego mieszkaniu na honorowym miejscu wisiał okazały portret Hitlera i starszy pan, kiedy był mocniej napity, rzucał nożem w fihrera. Umiał się posługiwać kosą. Trafiał nieomylnie w oczy, nos, wąsik. Zawsze po takim wyczynie cała rodzina starannie podklejała pokiereszowany portret Hitlera. Pewnego razu tak go zmasakrował, że musieli kupić nową podobiznę. Powodziło im się bardzo dobrze, zakupy robili w sklepach Meinla, dostępnych tylko dla Niemców, i nieraz stary pan zajeżdżał dorożką wyładowaną wiktuałami delikatesowymi, wędlinami, kawą, czekoladą, owocami cytrusowymi i rozdawał te smakowite kąski sąsiadom. Dzięki niemu dzieciaki z kamienicy poznały smak kakao, bananów. Stary Ciurary jak akroba- ta poruszał się po niebezpiecznej krawędzi i łatwo mógł się obsunąć. To był ryzykant i lubił takie życie, zawsze pogodny, pełen humoru. W niejedną niedzielę zabierał dzieciarnię z kamienicy na statek spacerowy „Bajka”, który był zacumowany na Wiśle w pobliżu Zagórnej. To była restauracja i pan Ciurary fundował lody, lemoniadę. Później przywoływał dorożkę i jechali wszyscy na

spacer Księżęcą w górę do placu Trzech Krzyży i w Aleje. Piękne przejażdżki.

Jedna z córek starego Ciurarego, Zośka, była ciężko chora na płuca i ciągle wzywali lekarza. Synowie: Rutko, Łajko, Ropiko i Danek, który świetnie gwizdał i naśladował głosy różnych ptaków. Wnucząt gromadka. Zapamiętał pan Zdzisław imiona wnuczek: Enowka, Dunia, Marikuca. Ładne, egzotycznie brzmiące imiona. Przyjaźnił się z Dankiem i buszowali w wiklinach nad Wisłą.

Przed samym powstaniem familia Ciurary zwinęła żagle, załadowali swój dobytek w wagon pociągu towarowego jadącego do Krakowa i odjechali. Jeszcze przypomina sobie pan Zdzisław Kępiński, że stary Cygan namawiał jego ojca, żeby zabrał się z nimi. Kręcił nosem, mrużył oczy i powtarzał: „Tu będzie za gorąco!”

Więc wyjechali i smutno było bez wesołych chłopaków, ładnych, czarnowłosych dziewczyn. A potem powstanie, cała ta warszawska Golgota. Pamięć o tych dobrych sąsiadach zachował pan Zdzisław Kępiński na całe życie i nie znosi, jak nasi ludzie zadzierają nosa i wywyższają się, spoglądając na Cyganów i inne obce nacje. W czym są lepsi?

### 33. HISTORIA PLACU

Mieliśmy plac i budę. Budę pobudował ojciec już po wojnie z desek rozebranego na fortach wojskowego magazynu. Inicjatywa wyszła od matki, która miała marzenia gospodarsko-hodowlane. Pragnęła na placu założyć ogród warzywny i sad, w budzie zaś hodować kury. Plac był pozostałością prosperity sprzed wojny, kiedy ojciec jako kierownik szkoły i matka jako nauczycielka zdołali ze swoich oszczędności nabyć działkę budowlaną o powierzchni 1400 m<sup>2</sup>. Dalszym celem miał być dom.

Wybuchła wojna i wszystko wzięło w łeb. Tylko wyrosło kilka drzew owocowych, wśród nich wyróżniała się kosztela, owocująca jabłkami pełnymi słodkiego soku, renkloda i gruszka zwana konferencją. Najbardziej okazałe wyglądał orzech, zakupiony wraz z ziemią. Ale plac ciągle według matki był przestrzenią pustą, jałową. A powinien przecież dawać plony. Tym bardziej, że nie można już było zbudować domu. Próbowano sadzić warzywa, fasolę, ogórki, a w najcięższych, okupacyjnych latach kartofle. Jednak na prawdziwą uprawę nigdy czasu jej nie starczało. Jedynie przez rok udało się jej utrzymać w budzie niewielkie stadko kur. Najwyżej dziesięć sztuk. Pamiętam poszukiwania jaj i okrzyki radości towarzyszące ich odkryciom. Kogut był naszym ulubieńcem. Ognipiór. Tak go poetycko nazwaliśmy. Stadko wkrótce zanikło.

Potem jeszcze raz przyszły ciężkie czasy. Ojca zwolniono ze stanowiska kierownika szkoły i rodzice dorabiali daniem korepetycji. Ponadto ojciec uczył w wieczorówce dla dorosłych. Przychodziły im do głowy rozmaite zamiary dotyczące ziemi. Dziwne i nierealne. Brak pieniędzy spowodował konieczność sprzedaży połowy placu, pozostałą zaś część wydzierżawili rodzice panu Gierasimiukowi, strażnikowi więziennemu z Rakowieckiej, przybyłemu tutaj do pracy z więzienia w Siedlcach. Pan Gierasimiuk, chłop z pochodzenia hodował w baraku świnia i uprawiał skrzętnie każdy skrawek ziemi, a zbiorami jabłek, gruszek i włoskich orzechów dzielił się z właścicielami po połowie. W mundurze strażnika prezentował się nader okazale i tak był widywany w EKD, jadąc do pracy i z pracy, która często wypadała mu na noc. We Włochach przebierał się w roboczy drelich, gumiaki i pracowicie krzątał się na placu. Przypominał wtedy zwyczajnego wieśniaka i matka, powodowana atawistycznym odruchem zagrodowej szlachcianki z Podlasia, traktowała go dosyć wyniośle. Pan Gierasimiuk spokojnie godził się na tę nierówność społeczną. W późnych latach pięćdziesiątych klawisz z Mokotowa otrzymał mieszkanie w nowym budownictwie na Grochowie i przestał być naszym dzierżawcą.

Plac przetrwał do emerytury rodziców i oboje tam okopywali i wytyczali zagony warzywne, palikowali pomidory i łatali papą dziury w dachu budy. Tą pracą wypełniali swój wolny czas. Matka czyniła to z prawdziwym zamiłowaniem. Ojciec wykazywał znacznie mniejsze zainteresowanie rolnictwem. Wyrósł jeszcze jeden orzech i jesienią zbiory z tych dwóch drzew, starego i młodego, bywały obfite. Najprzyjemniejsze było wyszukiwanie ostatnich orzechów pośród zeschniętych liści. Kosztela częściowo spróchniała i w głębokiej dziupli

na połowie wysokości pnia kilka razy rodziły się pisklęta modrożółtego gatunku, na które polowały zdziczałe koty, anektując nasz plac jako swój matecznik. Czasem, zmęczony przekopywaniem zagonów pod uprawy i wyrywaniem perzu, kładłem się na trawie pod orzechem; przypominało się dzieciństwo.

Potem umarł ojciec. Matka nadal pracowała na placu. Dzień po dniu do pierwszych przymrozków odbywała długie jazdy autobusem z Ochoty do Włoch i spalona słońcem jak bandoska, w malowniczych, znoszonych łąkach, nieustannie pielęła, sadziła, okopywała, grabiła. Była już bardzo stara i przyszedł taki dzień, kiedy wybrawszy się jak zwykle na plac, nie mogła tam trafić. Błądziła znanymi jej dotąd uliczkami, pomyliły się jej zupełnie kierunki i po długich poszukiwaniach znaleźliśmy ją na odległym krańcu Włoch, po drugiej stronie torów. W ostatnim roku swego życia, siedząc na fotelu i patrząc nieruchomo przed siebie, z rzadka tylko wspominała o placu.

— Trzeba tyczki do pomidorów przygotować — odzywała się nagle. — Muszę jechać i wyprowadzić rządki pod pietruszkę...

Jednak kończyło się na słowach i ponownie zapadała w niemą kontemplację przeciwległej ściany.

Matka umarła w 1990 roku i wraz z jej śmiercią kończy się ostatecznie historia naszego placu. Plac! Nazwa wyłącznie używana przez rodziców na określenie tej parceli przy ul. Stawy w pobliżu glinianek, zamiast: „ogród”, „działka” czy po prostu „ziemia”, niezbycie świadczy o tym, że pierwotnie miał to być plac przeznaczony pod budowę domu. Tak już zostało.



### 34. PANI ZEFIRYNA

Był to największy pokój w kołchozowym mieszkaniu na pierwszym piętrze wielkiej kamienicy w Alejach Jerozo\* limskich. Niegdyś zapewne spełniał rolę salonu; piękna rozeta na suficie, kaflowy, malowany piec z misternie rzeźbionymi, metalowymi okuciami, dębowy parkiet i półkolista nisza z drzwiami na balkon. Od czasu powojennego gnieździło się tutaj kilka rodzin, kuchnia i łazienka były wspólne, a ten największy pokój, nazywany nadal salonem, zajmowała pani Zefiryna, wiekowa, wyschnięta na wiór niewiasta. Panna, wdowa, porzucona przez męża? Nic o niej nie wiedziano. W rzadkich chwilach rozmowności opowiadała jedynie o Kcr- celaku, Wołówce, bazarze Janasza i różnych typach grasujących na tych handlowych placach Warszawy. Charakterem obdarzona była twardym, męskim i inni mieszkańcy wielopokojowego kołchozu traktowali ją z należyтым respektem, starając się nie wchodzić jej w drogę, w złości bowiem puszczała takie wiazanki przekleństw, że nawet pijany węglarz tracił język w gębie. Nie znaczy to jednak, żeby pani Zefiryna była nie-okrzesaną awanturnicą. Przeważnie posepnie milczała, nosiła czarną suknię, szpakowate włosy ciasno zaczesy- wała do tyłu i upinała w węzeł. Wyglądała jak zakonnica; surowa, pomarszczona twarz, wąskie, blade usta i długi, cienki nos. Zakonny wygląd wzmocniała jeszcze

stara Biblia oprawna w skórę, ze złotymi, tłoczonymi literami na grzbiecie, z którą pani Zefiryna nie rozstawiała się prawie nigdy. Sypialnię urządziła sobie w niszy przy balkonie i święta księga znajdowała się zawsze na stoliku przy jej wąskim łóżku, przykrytym szarym kocem. Nisza oddzielona była od salonu wielką, trzy- drzwiową szafą i wąską szczelinę, stanowiącą przejście osłaniała kotara na drucie. Tu najchętniej przebywała pani Zefiryna, czytając Biblię lub wyglądając przez okno na ulicę. W każdą niedzielę wybierała się na mszę południową do kościoła św. Barbary i był to jej jedyny spacer w ciągu tygodnia oprócz kilku niezbędnych wypadów po zakupy. Nie czytała gazet i nie słuchała radia. Na każdą dolegliwość — łamanie kości, przeziębienia, strzykanie w stawach i ból głowy — wypijała pół na pół spirytus z gorącą herbatą i jej zdrowie po tej kuracji wracało do normy. Salon był podstawowym źródłem dochodów pani Zefiryny i jak przypuszczali niektórzy, musiały to być niemałe dochody. Przyjmowała gości na godziny i od południa do późnej nocy, a nawet świtu, panował tutaj znaczny ruch. Z salonu korzystały miłosne pary. Starsi panowie i młode panienki. Hulacy z nocnych knajp w towarzystwie dziewczyn lekkich obyczajów. Stali klienci ze swoimi stałymi partnerkami. Pani Zefiryna wyznaczała czas według zegarka i przekroczenie limitu pociągało dodatkowe koszty. Opłatę pobierała z góry i użytkownicy salonu mieli przygotowany pełny serwis. Wielkie, małżeńskie łoże było już rozścielone, według życzenia mógł być trunek. Jednakże pani Zefiryna surowo przestrzegała kilku zasad. Żadnych nadmiernych hałasów. Także nie wpuszczała pijanych. Rozróżniała pijanych i podpiitych. Podpici mieli wstęp wolny. Czasem z niewiadomych powodów nie wpuszczała w ogóle nikogo. Uchyłała drzwi, nie zsuwając łańcucha i patrzyła wzrokiem bazyliuszka. Raptownie zatraskiwała drzwi.

— Robactwo! Świnie!

Współmieszkańcy wielopokojowego kołchozu znali złe humory pani Zefirynty i przyczyny dopatrywali w jakiejś tragedii osobistej z dalekiej przeszłości. Powracała ona jak echo i wtedy pani Zefirynta najchętniej zagłębiała się w lekturze Biblii. Salon, chociaż stanowił miejsce nieobyczajnych schadzek, też urządzone był z ascetyczną skromnością. Stół, cztery krzesła, szerokie, małżeńskie łóżko zasłane kapą, pod ścianą serwantka z kilkoma figurkami z fajansu i kryształowymi pucharami. A w kącie stał drewniany stojak z asparagusem. Dwa obrazy zdobiły ściany: jeden przedstawiał Jana Chrzciciela; drugi, Marię, córkę Łazarza, która naciera olejkami nogi Chrystusa i wyciera je swymi włosami.

Ponieważ kamienica znajdowała się w centrum miasta, interes pani Zefirynty prosperował bardzo dobrze i ludzie dziwili się, że ona żyje tak oszczędnie i skromnie. Jedynym zbytkiem, na który sobie pozwoliła, był okazały grobowiec z czarnego granitu na bródnowskim cmentarzu. Na tablicy wykute zostały litery imienia i nazwiska pani Zefirynty oraz data jej urodzenia.

Jestem zabezpieczona — mówiła z satysfakcją. Nic właściwie o niej nie było wiadomo. Czy miała kiedyś kogoś bliskiego. Czy ktoś bliski jej pozostał. Była małomówna i tak szczerze zamknięta. Jej interes na godziny zakończył się w późnych latach sześćdziesiątych.

Kamienica została przeznaczona do rozbiórki w związku z poszerzeniem Alej Jerozolimskich. Mieszkańcy kołchozu zostali przeniesieni do nowych bloków na Woli, Ochocie i Bielanych. Nie wiadomo, gdzie los rzucił panią Zefiryntę i czym zajmowała się później.

### 35. PEKIN

Drewniak był piętrowy i bardzo stary, zbudowany na początku wieku. Ściany miał pomalowane na brązowo, ramy okienne łuszczyły się farbą koloru jadowitej zieleni. Nazywany od niepamiętnych czasów Pekinem, składał się właściwie z dwóch domostw połączonych bramą. W podwórzu, gdzie gliniasta ziemia pełna była kałuż i po deszczu zamieniała się w bagnisko, znajdowała się jeszcze parterowa, murowana oficyna i mieszkał w niej szewc z rodziną. Za murańcem rzędem stały komórki na opał, jedna przeznaczona została na stajnię, a w kilku innych chrząkały świniaki. Na dachach dwóch komórek dobudowano gołębniki, tworząc w ten sposób piętrowe kondygnacje. Gołębie umiły życie i można było obserwować ich stadne loty na tle nieba.

W Pekinie gnieździło się wiele rodzin i często w ciasnocie pokoju z kuchnią mieszkali po trzy pokolenia: dziadkowie, synowie, wnuki. Po powstaniu w komórkach zamieszkali wygnańcy z Warszawy. Jednak rozległy strych pod pochyłym dachem większego budynku pozostał nie zamieszkały.

Jedna jego połowa służyła do suszenia bielizny, pościeli i wisały tam często białe płachty prześcieradeł, powłok, które przyjemnie pachniały świeżością. Druga zaś część strychu była składowiskiem niepotrzebnych rupieci: połamanych krzesel, stołów, skrzyń, wszelkiego

rodzaju żelastwa i butwiejących szmat. Dach był w kilku miejscach dziurawy i czasem promienie słońca rozjaśniały smugami ciemne, tajemnicze wnętrze. Wtedy to sterczący wśród gratów zwykły tkacki kołowrotek wyglądał niezwykle i złowroźnie.

Starzy ludzie przebąkali, że tam straszy. Furman Kobiątkiewicz, kiedy był podpity, stawał się gadułą i wskazując dyskretnie okna mieszkania właścicielki domu, pani Lotnej, chętnie opowiadał ponurą historię. Na strychu powiesił się jej mąż. Był to dorodny, wesoły chłop, czarny jak Cygan i skory do zabawy, wypitki.

— Sercowy ból go wziął — mówił furman. — Nie dał sobie z nim rady, psia mać! — pociągał kulfonia- stym nochalem i w jego niebieściutkich, szklanych oczach pokazywały się łzy szczerego smutku. Jako chłopak pracował u pana Lotnego i chwalił go jako chlebobawcę.

W mrokach bardzo odległego czasu kryła się tragedia samobójczej śmierci pana Lotnego i jej przyczyny były niejasne, zatarte. Wiodło mu się przecież bardzo dobrze. Prowadził firmę przewozową po ojcu i koni do zaprzęgu miał cztery pary. Pekin przypadł mu w posagu z żoną. Nie była to murowana kamienica z wygodami, ale i tak z czynszu zbierali niezły grosz. Żonka akurat- na, urodziła się im córeczka jak laleczka. Ale nie było to udane stadło.

— Miał kogoś innego — mówił furman Kobiątkiewicz. — Podobnież cyrkową artystkę. I złapał paskudną chorobę. Naser mater!

Krażyła jeszcze inna wersja, że pan Lotny ożenił się z rozsądku, porzucając dziewczynę, z którą łączyło go gorące uczucie.

Kobiety z Pekinu niechętnie odwiedzały rupieciarnię na strychu. Po zapadnięciu ciemności nawet mężczyźni unikali wypraw na górę.

Strych pozostał domeną ducha pana Lotnego. Panna Julia, fryzjerka o widmowej urodzie topielicy, która mieszkała na piętrze, słyszała nocą jakieś hałasy nad sobą. Kołysała się lampa pod sufitem. Dziwne odgłosy powtarzały się zawsze w sobotę. W sobotę powiesił się pan Lotny. Żona szewca mówiła, że na strychu w starej bali leży zwój zbutwiałego sznura do suszenia bielizny, na którym powiesił się właściciel Pekinu. Wdowa, pani Lotna prowadziła firmę przewozową, która zmalała tylko do jednej platformy z parą koni i głuchego woźnicy. Przede wszystkim myślała o przyszłości córki i umieściła ją w szkole z internatem u zakonnic. Żelazną ręką trzymała mores w Pekinie, nie tolerowała głośnych pijaństw i kawalerowie nie mogli sprowadzać na noc dziewcząt do swoich sublokatorskich pokoików. Pamiętny był widok kobiecych fatalaszków wyrzucanych z okna mieszkania na pierwszym piętrze i zaraz potem szybki stukot damskich butów na wysokim obcasie. To uciekała skąpo przyodziana panienka, sprzedawczyni z wędliniarni Wajgolda.

Pani Lotna wprowadziła obowiązek wspólnej dbałości o czystość podwórza i trzech wychodków. Czasy nastały ciężkie i nie mogła sobie pozwolić jak dawniej na zatrudnianie dozorczy.

W pewien niedzielny poranek przemówiła do mieszkańców Pekinu zgromadzonych na podwórzu, stojąc pod trzepakiem na skrzyneczce po kartoflach, którą wyniósł ze swego sklepiku pan Wąsik.

Pani Lotna głowę całą miała w papilotach i powiedziała tak: „Musimy przetrwać tę zawieruchę, dopóki wszystko się nie unormuje i nie wróci do właściwego porządku”. Ludzie potakiwali i w większości wierzyli, że wszystko musi unormować się po dawnemu. Tylko Franek sublokator z oficyny stał na uboczu i uśmiechał się z wyższością. Do rękawa marynarki przypiął sobie

agrafką biało-czerwoną opaskę z czarnymi literami MO. Był przedstawicielem nowej władzy i czuł się równy pani Lotnej, a nawet wyższy od niej.

Wkrótce tak się unormowało, że Pekin upaństwowili i pani Lotna została administratorką zabranego jej domu. Skończyły się dyżury na podwórzu i nikt już nie dbał o czystość i porządek. Milicjant Franek rychło awansował na sierżanta i szarogęsił się po całym Pekinie, tropiąc handlarzy mięsiwem i bimbrarzy. Pekin zaczął podupadać i stopnie schodów na piętro zapadały się jedne po drugich. Tam zresztą większość mieszkań nie nadawała się już do użytku i zimą gnieździły się w nich watachy włóczęgów i pijaków.

Pan Wąsik nie wytrzymał domiarów i sklepik został zamknięty.

A podczas gwałtownej, jesiennej wichury ta część dachu nad strychem, gdzie straszyla, odsłoniła się od góry. Huragan zerwał dach i pozostały tylko gołe krokwie jak żebra.

Pekin przestał istnieć jeszcze przed kresem PRL-u. Nieliczni, pozostali mieszkańcy zostali przeprowadzeni do osiedla nowych bloków na Ochocie. Teraz w tym miejscu wybudowano piętrową willę z dwiema wieżyczkami, teren został ogrodzony białym murkiem z czerwoną dachówką i kiedy podjeżdża tam auto, brania otwiera się samoczynnie.

Kto jeszcze pamięta o udreńczonym duchu pana Lotnego?

### 36. ZDOBYWCY SERC

Frajer i laluś nie miał szans na poderwanie ładnej dziewczyny. One się ceniły i wymagały najwyższych starań.

Mówiliśmy: „Idę na podryw!” Plereza, uczesanie, czub nad czołem należycie spiętrzony i namaszczonej brylantyną. Samodziałowa marynarka i skoki na słoninie. Ruszaliśmy do akcji. Zaczynała się sztuka podrywania. Wtedy na śródmieściu największym powodzeniem cieszyli się kozacy. Bohaterowie ulicznych bójek, burd w knajpach. Taki Bimber, Globus czy Atom. Oni potrafili poradzić sobie z kilkoma przeciwnikami naraz. Nie tylko zresztą tłukli cywilów. Ilu gliniarzy i tych najgorszych, tajniaków, mieli na rozkładzie! Oni nie potrzebowali się starać! Dziewczyny same oglądały się za nimi. Robiły słodkie miny, przewracały oczyma, wdychały. Kozacy podrywali najlepsze sztuki i żaden nadziany nie wiem jaką forsą jeleń nie wytrzymał z nimi konkurencji, choć kieszenie miewali przeważnie puste. Kozacy to była pierwsza liga zdobywców. Wraz z wybuchem popularności jazzu i nowoczesnych tańców bikiniarze i tancerze zaczęli wyrabiać sobie wysoką lokatę wśród dziewcząt. Czarek, „król” śródmiejskiej pikiety, mistrz tańca na zabawach u Elektryków i w Telekomie, podrywał najlepsze dziewczyny. A żadnej nie miał urody, francowaty konus. Nie ustępowali w konkurencji z nim muzycy, perkusiści, trębacze i tacy, któ

rzy pięknie śpiewali jazzowe kawałki po angielsku. Dziewczyny patrzyły na nich z uwielbieniem. Oni poruszali się leniwie jak syte kocury, przeglądali „damski towar” i brali najlepsze. Bywały również przypadki oryginalne. Zdarzali się zdobywcy nie ulegający panującej modzie. Tadek, który nosił futerał na skrzypce (pusty) i podawał się za skrzypka wirtuoza. Szopa włosów w nieładzie, apaszka pod szyją, chmurne spojrzenie wybrańca bogów. Następca Paganiniego. Zdobywał na ten futerał niezłe dziewczyny. Dobrym był psychologiem, wybierał nieomylnie te wrażliwe na sztukę, czytelniczki biografii wielkich artystów, Van Gogha, Michała Anioła, Jana Krzysztofa Romain Rollanda. Nawet „Dziecinną Bużką”, żaloszny przecież nieudacznik, lżony przez kelnerów i szatniarzy w „Polonii”, grał skutecznie rolę pisarza, nosił stale w raportówce rękopis rozpoczętej powieści i mógł liczyć na wdzięki niejednej, która pragnęła być mużką.

—To literat! — mówiła z podziwem Kamilka, ognista brunetka z „Kopciuszka”, i „Dziecinną Bużką” zwierzał się jej z pisarskich swych zamiarów; pragnął napisać wielką epopeję o naszych, burzliwych czasach.

Powędrowali razem w dal nocnego miasta.

—Poderwał niezłą sztukę — stwierdzili znawcy. — Na mękę twórczą ją wziął.

Takich, którzy udawali nazywaliśmy „bikserami”, a „bikserzy” mieli swój wdzięk.

Wspominając te odległe czasy należy zaznaczyć, że w tych uwodzicielskich manewrach była jakaś bezinteresowność. Bo przecież na giełdzie uwodzenia w najwyższej cenie były przymioty charakteru i talenty. Kozacy to chłopaki z sercem do walki, szaleńczą odwagą. Natomiast „bikserzy” sugerowali, że posiadają wyjątkowe zdolności.

No i byli jeszcze uwodziciele, którzy posiadali tylko urodę. Błysnął jak meteor taki jeden, przezywany Rudolfem Valentino ze względu na podobieństwo i śliski połysk pomady na kruczej czuprynie. Dziewczyny ciągnęły do niego jak ćmy do lampy. Dopiero znacznie później sztuka podrywania uległa płaskiej, trywialnej materializacji. Przestała być sztuką.

Pierwszym symptomem stali się „lambreciści”. Pokazał się w mieście ten włoski skuter i właściciel pojazdu po prostu zatrzymywał się przy chodniku i wskazywał upatrzonej dziewczynie miejsce na siodełku z tyłu.

— Wsiadaj! — przekrzykiwał warkot motoru. — No, na co czekasz?

Potem zaistniały komisje i handlarz walutą „Głowa”, ani uroda, ani przymioty charakteru, tylko ciężka forsa, brał piękną Ełę, smukłą Hanę czy Wiśkę „Za- prawiaczkę” do komisowego sklepu i głosem przypominającym szczekanie psa, pytał: „Co ci pasuje?”

Mogła wybrać modne włoskie szpilki, francuskie perfumy Chanel, wieczorową suknię, wytworną bieliznę. „Głowa” płacił i wymagał. Skończyła się piękna sztuka zdobywania dziewczyn. Smał brał górę i najgorszy pokurcz, byle tylko nadziany, mógł być Don Juanem.

### 37. FERDYNAND BLADICZ

Dzieciństwo zdążył jeszcze spędzić w taborze. Kolorowymi wozami jeździli po kraju. Zatrzymywali się na leśnych polanach, łąkach nadrzecznych. Rozpalali ognisko, coś piekli, warzyli w miedzianym kociołku. Staruchy opowiadały różne dziwne bajdy o strzygach, nietoperzach, które są wampirami w przytającej postaci i za dnia wracają do ludzkiego wyglądu.

— Okopciło mnie dymem, wysmagało wiatrem — mówił pół żartem, pół serio. — Budziły ze snu burze, pioruny i zamiast dachu księżyc i gwiazdy wisiały nad głową.

Śmiał się, ale był dumny, że zaznał smaku dawnej swobody.

Ferdynand od malca grywał na instrumentach. Najpierw były to organki, metalowy grzebień. Później dawali mu dużą harmonię z klawiszami. Ojciec, wujowie, starsi bracia, wszyscy oni grali i byli rodzinną orkiestrą. Jeszcze kochali bardzo konie. Może bardziej niż muzykowanie. Dopiero w późniejszych latach zarabiali na życie graniem po knajpach. A przedtem koń to był dla nich symbol najwyższego znaczenia i bogactwa. Ferdynand Bładicz posiadał niemałą wiedzę o koniach i dotąd potrafi mówić ze znanostwem o zaletach i wadach tych zwierząt. Umie rozpoznać ochwat, rozmaite narowy, ukryte schorzenia. Rozchyli chrapy

końskiego  
pyska, obejrzy zęby. Podniesie nogę, pomaca kopyto, uniesie ogon i już swoje wie! Jako dzieciak podpatrywał starszych ze swego rodu, którzy potrafili przeistoczyć starą szkapę w ognistego rumaka. Cyganie to byli mistrzowie. No i koniokradzi. Chłopi, kiedy tylko spostrzegli Cygana kręcącego się w pobliżu stajni czy na pastwisku, od razu chwyтали za kłonicę. Prawda czy nie, są to sprawy, o których nie należy mówić. Nieraz słyszał Ferdynand Bładicz opowieści o szlachetnych wierzchowcach z pańskich stadnin przeprowadzanych z Lubelszczyzny przez Kurpie do Prus Wschodnich. Taki mieli handlowy szlak i ile niebezpieczeństw czyhało na nich! Szli przeważnie nocami. Dziadek Ferdynanda był prawdziwym patriarchą, w zamczkowym, czarnym kapeluszu, z wielką, szpakowatą brodą; ćmił fajeczkę w srebrnym cybuszku i mało co mówił. Każde jego słowo było na wagę złota i przyjeżdżali do niego Cyganie z dalekich stron po rady.

Czasy się zmieniały i ród Ferdynanda osiadł w podwarszawskim miasteczku po prawej stronie Wisły na smętnej równinie wśród pól i brzozowych zagajników. Zajęli nie swoją siedzibę — opuszczony barakowóz bez kół. Ale i tak w pogodne, letnie noce wychodzili spać pod gwiazdami. Ciepłą porą roku wędrowali od jarmarku do jarmarku i sprzedawali garnki, rondle, patelnie. Częściej jednak sypiali już pod dachem. Barakowóz osadzili na podmurówce, zadaszli eternitem; był to domek. Bardziej już trzymali się miasta. Mężczyźni muzykowali po knajpach, kobiety wróżyły. Koni już nie mieli i Ferdynand Bładicz oglądał się za samochodami, które tak szybko pokonywały odległości. Wujek pierwszy w jego rodzie sprawił sobie samochód. Starą, mocno wyjeżdżoną warszawę. Zabierał czasem z sobą Ferdynanda. Wujek jeździł za interesami w dalekie trasy i nie wiadomo kiedy Ferdynand nauczył się prowadzić auto.

Wkrótce otrzymał prawo jazdy, będąc prymusem na kursie. Nawet dziwili się, że Cyganiak, prawie analfabeta i taki zdolny. A kiedy w jego rodzie zajęli się handlem samochodami, Ferdynand już był doświadczonym kierowcą. Życie wtedy stało się bardziej poluzowane dawali paszporty i można było przekraczać granice. Cyganie są wszędzie. W Niemczech, Belgii, Francji |Hiszpanii. Dużo krewnych, pociotków, ludzi z jednego klanu i nie zginiesz w świecie. Swoi zawsze pomogą.

Ferdynand Bładicz znalazł się w porywającym żywiole, jakby w taborze, tylko zmotoryzowanym. Czasy się zmieniają, tabor się zmienił. Samochody są jak konie. Jedne ociężałe, toporne, inne narowiste, nieprzewidziane. Jeszcze inne jak konie wyścigowe, pozerają wstęgę szosy przed sobą. Czym Ferdynand nie jeździł! Beemką, mercedesem, oplem, cytryną, volkswagenem, fordem, japońskimi. Zna każdą markę i żaden silnik nie ma dla niego tajemnic.

Wozy się sprowadzało i sprzedawało. To dobry interes. Nabywców nie brakuje. Polubił samotną jazdę nocą i wyczekiwał tego momentu, kiedy szarzeń zaczyna i ponad horyzontem niebo różowieje — zaraz wszędzie słońce. Wtedy widział kolorowe wozy, pierzyny, poduchy, swoje siostry, braci na wozie, starców w czarnych kapeluszach, którzy ściągają lejce i strzelają z bata. Słyszał parskanie koni, tętent kopyt, skrzyp kół. Czuł się Ferdynand Bładicz wolny jak ptak i przyciskał gaz do dechy.

### 38. NIEPOKONANE

Borykają się z życiem zarówno kobiety jak i mężczyźni. Kobiety bywają bardziej upośledzone. Chłop bowiem utrudzony przeciwnościami losu popada często w pijaństwo, które nieraz przeradza się w permanentną przywarę i wtedy już nie dba o nic. Matki dzieciom, co by o nich nie powiedzieć, raczej stronią od kieliszka i mają większe poczucie obowiązku. Przypominam kilka kobiet z dawnych czasów. Zły los nie oszczędził im ciężkich prób, jednak z wytrwałością godną podziwu toczyły samotny pojedynek z życiem. Wojenne wdowy, mężowie poginęli w dziejowych zawieruchach, szlag ich trafiał od gorzały albo zostawiali swoje połowice i szczęścia szukali gdzie indziej. Pozostawały z dziećmi i harowały ciężko na ich utrzymanie. Wystarczy wyobrazić sobie dzień praczki, pani Makosiowej. Była drobną, małą kobieciną o szarych włosach, wysuwających się mokrymi kosmykami spod chustki. Prała po domach lub brała pranie do siebie i wtedy w piwnicy ustawiała drewnianą balię, przytwierdzała do niej wyżymaczkę z gumowym wałkiem i żelazną korbą. Rozpalała ogień w kuchni i gotowała bieliznę w wielkim kotle, przegarniając drewnianym kołkiem. Piwniczne pomieszczenie wypełniały kłęby pary, zatykał ostry zapach ługu. Taka maleńka, cherlawa, a jej chude, żylaste ręce godzinami przeciągały przez tarę sztuki prześciera-

deł, powłoczek, wsyp, obrusów. Najbardziej intrygowały jej dłonie. Białe, namiękłe i pofałdowane od wody, całe pokryte porowatymi zmarszczkami. Nieodparcie kojarzyły się z przeraźliwie białymi, aż sinymi dłońmi i stopami topielców, wylawianych w porze letniej z glinianek. Pani Makosiowa już była wdową przed wojną i miała na utrzymaniu dwoje dzieci, córkę i syna. Ile ton bielizny wyprała w naszym miasteczku! Ile nadźwi- gała się kotłów z wodą, setki tysięcy obrotów wyżymaczką. Na swój los praczki-galemicy nigdy się nie skarżyła i tylko lata prania coraz bardziej przyginały ją do ziemi. Reumatyzm powykrzywił jej palce w monstrialne zawijasy i dłonie już odmówiły posłuszeństwa. Ale dzieci zdążyła wychować i wykształcić. Syn został elektrykiem, córka po małej maturze rozpoczęła pracę na poczcie.

Ceśka była roslą, ponętą kobietą i od świtu do zmroku pracowała na badylarskich polach; okopywała grządki, wrywała zielsko, zrywała pomidory, cebulę. Mąż, dróżnik, zginął w wypadku kolejowym na torach i na jej utrzymaniu pozostał syn, Stasiak. Pragnęła żeby został urzędnikiem, technikiem. Stasiak nie chciał się uczyć, pomagał węglarzom, murarzom i dosyć szybko stał się notorycznym pijakiem. Często zataczając się szedł ścieżką wśród pól i rozglądał się pilnie. Szukał matki, żeby wyłudzić od niej trochę pieniędzy na wódkę.

Lata całe w upale i słońcu na polach naszych ogrodników pracowała Ceśka i kiedy kolejka dojeżdżała do Krzyża, rozpoznawaliśmy ją nieomylnie; najczęściej zatrudniała się u pana Pawłowskiego.

Natomiast pani Katarzyna zajmowała się sprzątaniami w zamożniejszych domach. Miała kilka stałych miejsc i nie tylko porządki, ale i przygotowywanie przyjęć należało do jej obowiązków. Miała córkę i nic nie wiadomo było o jej ojcu. Wolny czas spędzała w kościele i uśmiechała się tylko wtedy, kiedy mówiła o zdolnościach i postępach w nauce swojej jedynaczki. Była chuda, wysoka, o bladej twarzy i równie białych, wąskich ustach, zawsze ubrana na czarno. Nam, chłopcom kojarzyła się ze złowróżnym ptaszydłem, które zaraz uniesie się w powietrze i zakracze.

Jeszcze przypomina mi się sprzątaczką z naszej powiatowej bezpieki. Ona była z fortów i sprzątała w bezpiece klatkę schodową, pomieszczenia biurowe i mieszkanie naczelnika. Jej syn, można powiedzieć, wychował się w cieniu powiatowego urzędu bezpieczeństwa. Często czekał na nią pod budynkiem i ona wynosiła mu kielbasę, bułki, różne wiktuały, które przysługiwały jej jako deputat. Chodziła do kościoła i jej chlebobawcy krzywo na to patrzyli. Sprzątała jeszcze w komisariacie milicji.

— Spowiadam się ze wszystkiego — zwierzała się sąsiadkom. — Ksiądz mnie rozgrzesza.

Pocziwa, szczerą kobiecina. Jej męża zastrzelili Niemcy, kiedy ze szmuglem przechodził granicę z Generalnej Guberni do Reichu.

Te kobiety niestrudzenie pracowały i takie życie odbierało im urodę, ciało, słowem całą kobiecość, wysychały i kurczyły się, stawały się żyłaste i przygarbione.

Pani Makosiowa była jak święta w kłębach pary. A pani Katarzyna kojarzyła się z nieubłaganą inkwizycją. Potępiała zaciekle pijanych chłopów, mówiąc z obrzydzeniem: „Knury!”

Jedynie Ceśka z badylarskich pól długo nie traciła swoich powabów i podobała się mężczyznom.



### 39. POEMAT O EKD

Jednak wspomnianie nie jest tylko potrzebą starców.

— Drzewiej to było, ho, ho — powiadali oni, najchętniej zanurzając się w czasie swej młodości.

Pisząc Powidoki nie myślę nigdy o jakiegokolwiek apoteozie przeszłości. Bardziej istotne wydaje się związanie przerwanej nici z historią, o której się nie mówiło i nie pisało, odkładając ją na strych między rupiecie. Ta najbliższa okupacyjna, powojenna została pogrzebana doszczętnie. Młode pokolenie fascynuje się zdobycami cywilizacyjnymi Zachodu, historią dynamicznej Ameryki i zna lepiej dzieje mafii w Chicago czasu prohibicji niż swój rodowód, zaplecze. Jedną z pierwszych prób obejrzenia się za siebie i sięgnięcia po rodzinne pamiątki w lamusie jest udany renesans ballad Grzesiuca w wykonaniu Muńka Staszczyka.

Podobnie przyjemną niespodzianką był list pana Konrada Kraujalisa o EKD. Pan Konrad naszkicował barwną historię podmiejskiej kolejki. Warto ją przedstawić. Potentat i fabrykant Lilpop sprzedał swe posiadłości w okolicach Podkowie Leśnej Towarzystwu Akcyjnemu „Siła i Światło” z udziałem belgijskiego kapitału. Towarzystwo zelektryfikowało je i sprzedało. Powstało „Miasto-Ogród Podkowa Leśna”. Osiedlili się tutaj artyści, pisarze, kupcy i rzemieślnicy z Warszawy, urzędnicy państwowi. Towarzystwo Akcyjne wybudowało Kasyno Myśliwskie w parku z piękną drogą spacerową wzdłuż torów EKD.

W parku był tor saneczkowy, ślizgawka, korty tenisowe. Powstał kościół św. Krzysztofa, patrona automo- bilistów, wzniesiony ze składek właścicieli samochodów.

Oto opis samej kolejki pióra pana Konrada Kraujalisa.

„Wagony to były po prostu niezapomniane cacka. Wystrój drewniany, brązowe, afrykańskie drzewo, okucia i lampy mosiężne. Okna w zimie podwójne, ogrzewanie regulował motorniczy zgodnie z zaleceniami podawanymi na stacjach. Punktualność wzorowa. Każdy motorniczy posiadał zegarek Longines umieszczony w gniazdku wyłożonym filcem na blacie. Tory starannie czyszczono, wrywając trawę, zielsko. W zimie regularnie odśnieżano. Dyrektor EKD, mieszkający w Podkowie, dojeżdżał do swego biura w Warszawie i często osobiście prowadził pociągi. Obsługa specjalnie umundurowana, kontrolerzy wyglądali jak generałowie. Pociągi miały wagony bagażowe, dostarczano w nich świeże mleko do sklepów warszawskiego «Agrilu». Początkowo funkcjonowała jedna linia do Grodziska, gdzie zbudowano wagonownię i warsztaty. Potem powstało odgałęzienie do Włoch i Milanówka. Był jeszcze projekt budowy rozgałęzienia do Nadarzyn z rozjazdem w Komorowie. Krańcowe stacje w Grodzisku, Milanówku i we Włochach schodziły się ze stacjami kolejowymi. W godzinach wieczornych dyżurowali pracownicy, którzy odprowadzali samotne kobiety do domów. Odgałęzienia były jednotorowe i ze względu na bezpieczeństwo pociągi poruszały się za pomocą «Berła», które zawiadowcy w Podkowie Głównej i na Szczęśliwi- cach wręczali motorniczemu. Dla upamiętnienia założenia EKD ufundowana została przez Towarzystwo

Marek Nowakowski

Akcyjne figura Matki Boskiej, która znajduje się do dziś w Podkowie Leśnej Głównej na granicy z Zachód-nią. W czasie okupacji zarządzał kolejką komisarz Niemiec. Należy wspomnieć, że konduktorami w tym czasie bywali aktorzy, intelektualiści, konspiratorzy z AK, którym ta praca dawała glejt bezpieczeństwa. Po wojnie z powodu zniszczenia elektrowni w Pruszkowie wagoniki ciągnęły parowozy PKP, co wyglądało bardzo groteskowo. Dojeżdżało się tylko do Granicy Miasta, czyli do Opaczewskiej, bo dalej trakcja była zniszczona. Ale szybko doprowadzono tory do używalności i znów było pięknie, punktualnie i wesoło. Aż przyszły lata pięćdziesiąte i EKD została upaństwowiona. To była tragedia. Z EKD zrobiono PKP, potem WKD i linia właściwie stała się niczyja. Dewastowano co się dało, budynki stacyjne, trakcję i wagony. A kiedy przyszło opamiętanie, trzeba było wymienić tabor, torowiska, wszystko. Obecny tabor WKD składa się z wagonów zimnych, hałaśliwych i niewygodnych. Przystanki — obskurne, brudne. Linię włochowską dawno już zlikwidowano. Jeden dawny, oryginalny wagonik stał w Muzeum Kolejnictwa przy Towarowej. Był to wagon motorowy, w opłakanym stanie. Poszedł do remontu i żeby jak najprędzej został pokazany zainteresowanym.

Chyba to wszystko w wielkim skrócie. Oj, łaż się w oku kręci!" — tak kończy swoją historię EKD pan Konrad Kraujalis.

#### 40. WIELKA RYBA

Stary wierzy niezachwianie.

— Były i są — powtarza z uporem.

Siedzi w kucki na grząskiej ziemi pośród trzciny. Zarzucił trzy wędziska. Błaszany sadzyk, zanurzony do połowy w wodzie, przywiązany jest drutem do pnia wyschniętej wierzby. Coś pluszcze w sadzyku.

— Żywczyk ■— mówi stary.

Zapatrzył się w czerwony spławik, który drgnął raz, drugi.

Tak potrafi godzinami. Od świtu do południa. Od południa do zmroku. Łowi ryby tylko na tych trzech stawach. Nie rusza się nigdzie stąd. Nawet nie chodzi na drugą stronę torów, a tam są też stawy.

— A po co? — odpowiada pytaniem. — Tu znam całą wodę. Nie ma ona dla mnie tajemnic. Bo woda jak człowiek. Każda inna.

Twarz ma ogorzałą i wygarbowaną od tego wiecznego wysiadywania w słońcu, wietrze, ślocie. Zawsze w gumiakach, jesienią i latem nie rozstaje się z fufajką, którą zakłada lub zdejmuje, i nosi wysłużoną, kolejarską czapkę wciśniętą głęboko na czoło.

Kilka pokoleń miłośników wędkowania u niego odbywało swój termin, podpatrywali, jaką podrzuca przynętę, na co łowi, kartofel, chleb, kluska, robak, i w których oczkach najchętniej zarzuca swoje wędki. Musiał

przecież mieć swoje sekrety, skoro ciągnął takie szczupaki, sandacze, a ile nabrał karasi w tym stawie zwanym Karasiówką. Ten to miał szczęście! Inni sterczeli godzinami i nic. A on z pełną siatką odchodził.

Zaczął przychodzić tu jeszcze przed wojną. Wtedy glinianki stanowiły własność Warszawskiego Towarzystwa Wędkarskiego i czujny stróż ganiał kłusowników i szczuła psem. Potem za okupacji Niemcy rzucali granaty i głuszili ryby. Po nich Ruscy. Aż biało było na stawach od ryb, które pływały do góry brzuchami. Całe ławice. Patrzył i milczał. Wierzył, że wodny świat odradza się uparcie i również po tym barbarzyńskim wytrzebieniu rybostanu nie zaprzestał wędkowania. Ludzie spieszący na pierwszą zmianę do roboty, widzieli pochyloną postać w oczku pośród trzcin. Wracając też go widzieli.

— Jak tam? — zapytywali. — Biorą?

— Tak sobie — odmukiwał, wpatrzony w splawik sterczący na powierzchni.

Był małomówny i nigdy się nie przechwalał. Ale niektórzy pamiętają tego szczupaka, którego wyciągnął. Wielka to była ryba. Szarpał się i tłukł ogonem, mało co nie zerwał żyłki; stary wreszcie podciągnął go na płyciznę i wyciągnął podbierakiem. Widzieli inne ryby. Leszcze, karpie. Sam stary najchętniej mówi o wielkim sumie. Na tym środkowym stawie, zwanym „Oceanem”, od lat on przebywa. Nieraz widział jego ogromny cień na wodzie, pokazywał się od strony grobli i zaraz znikał. Pewnego razu upalnym latem tkwił nieruchomo w przejrzystej wodzie tuż przy trzcinach, tam gdzie zaczyna się piaszczysta płycizna. Stary stał na brzegu o kilka metrów od niego i patrzył. Naraz sum miotnął się i poszedł w głębinę.

— Cwana ryba — powiada stary. — Ile ona przeżyła! Ile razy wywinęła się rybakom. Zna sposoby i nie da się przechytrzyć!

A zapytany, czy dotąd ów sum olbrzym buszuje po „Oceanie”, kiwa głową i mówi: „Czasem go widuję. Mignie to tu, to tam. Jakby mnie zna czy co... Blisko brzegu, w tych miejscach, gdzie wędkę stawiam, lubi się pokazać. Taki z niego przechera” — stary patrzy w ciemnozieloną, prawie czarną wodę, wsłuchuje się w suchy szelest wiatru w trzcinach i mruży wyblakłe, przekrwione oczy. A kiedy tak patrzy na swoje wodne królestwo, to wcale nie widzi stosów rupieci, żelastwa, żużlu, śmieci, które zalegają w wodzie po przeciwległej stronie i pewnie nie czuje w upalne dni przykrego smrodu fekaliów, spływających ze ścieków do stawu. Jest pewien, że źródła tu biją. Mocne źródła. Tak powstały według niego trzy glinianki. Kopali glinę i wozili ją wagonikami do cegielni, kiedy nagle o zmierzchu wybiła woda i wszystko zalała. Było to przed pierwszą wojną i tak będzie trwało.

Wierzy stary w niepokonaną siłę wody i ryb, które nie ulegną zagładzie.

## 41. MILITARYŚCI

W naszym mieście, co jakiś czas pojawiali się osobnicy rąbnięci na tle militarnym.

Ten pierwszy zapamiętany nawet wyzywał los. Lata to były szczególnie złe, wszędzie weszli za wrogiem, szpiegiem i dywersantem, przedwojennych oficerów wsadzali do pudła, a on paradował w bardzo żywej kolorystycznie kombinacji stroju kawaleryjskiego. Była to mieszanina szwoleżera Księstwa Warszawskiego i ułana już międzywojennego. Wysokie czako z amarantowym dekletem, granatowe spodnie z czerwonymi lampasami, żółty kubrak z guzikami srebrnego koloru, ostrogi i podzwaniał szablą u pasa, chyba prawdziwą, oczywiście czako zdobił orzeł z koroną. I tak chodził po ulicach, pobrzękując szablą i ostrogami. I jeszcze śpiewał buńczuczną piosenkę zwycięskich kawalerzystów — „Lance w dłoń!... Bolszewika goń, goń!...”<sup>n</sup> Wieku był średniego, być może wojenny kombatan, żołnierz 1939 roku, powstaniec, andersowiec, kościuszkowiec. Nie wiadomo. Zwykle parady swoje odprawiał na pryn- cypalnych ulicach w czasie największego nasilenia ruchu. Nasi ludowi żołnierze uśmiechali się z sympatią na jego widok, uosabiał przecież efektowną tradycję polskiego oręża. Milicjanci na wszelki wypadek udawali, że go nie dostrzegają. Największą przyjemność miały dzieciaki, biegały za nim zachwycone i powtarzały pojętnie: „Lance w dłoń! Bolszewika goń, goń!...”

Chyba zabierali go co jakiś czas na leczenie w zakładach zamkniętych. Po dłuższych czy krótszych okresach nieobecności pojawiał się znów w swoim stroju z czasu przeprawy przez Berezynę, bitwy pod Lipskiem i walk pod Zamościem czy Komarowem z Budionnym. Oko gorzało mu blaskiem dawnych szarż kawaleryjskich i ożywiało nasze miasto. Pod koniec lat sześćdziesiątych ostatni ułan przestał patrolować ulice.

Wtedy już zastąpił go chuderlawy, malutki osobnik o gładkiej, rumianej twarzy dziecka, przezywany Ołowianym Żołnierzykiem. Był to militarysta raczej kosmopolityczny i wybrał sobie jako rodzaj broni piechotę. Szare owijacze na łydkach, zielona, mundurowa kurtka z wystawą orderów mieszanych, radzieckich i polskich, epolety nosił sztywne, szerokie używane przez oficerów Armii Czerwonej, rangi był co najwyżej „lejtanta”. Na uszy opadała mu zbyt obszerna rogatywka z orłem w koronie, choć przemiennie nakładał też uszankę z czerwoną gwiazdą. Strojem i zachowaniem zdecydowanie reprezentował sojusz naszych bratnich armii, ideowo więc nie budził podejrzeń. Jednak czasem, przechodząc obok Białego Domu (siedziby rządzącej partii) wygrażał i przeklinał. Kiedyś chciał nawet tam wtargnąć i cerberzy wezwali milicję.

Uzbrojenie posiadał drewniane, dosyć udaną atrapę karabinu, bagnet także drewniany. Lubił śpiewać. Repertuar bogaty od Oki po Czerwone Maki. Fałszował cienkim falsetem. Najlepiej wykonywał wojenną pieśń kierowców Czerwonej Armii i dawną Szarą Piechotę. Często ustawiał się jako warta honorowa przed Grobem Nieznanego Żołnierza i mimo kpin gawiedzi, szczególnie dzieci, potrafił wystać godzinę i dłużej. Latami przemierzał miasto od krańca po kraniec. Lubiany. Usposobienia pogodnego, bardzo życzliwy ludziom.

Trzeci był militarystą dyskretnym i nie występował

w jednoznacznie wojskowym stroju. Kompozycja elementów mieszanych: spodnie cywilne, kamasze też, ale mocno podkute, bluza mundurowa wojsk lotniczych, pas główny szeroki, skórzany, głowę okrywał furażerka polową. Do bluzy przyczepiona odznaka komandosów przy pasie nóż-finka w skórzanej pochwie. Karłowaty, ale o barach siłacza. Chód sprężysty, marszowy, przybijał podkutymi butami. Lubił współdziałać z prawdziwym wojskiem, z wszelkiego rodzaju służbami mundurowymi. Milicja szarpała się z pijanym awanturnikiem. Już był przy nich. Sokiści schwytali w pociągu gapowicza. Pomagał przytrzymać wyrwywającego się pasażera na gapę. Kogoś potrafiło auto na jezdni. Zbiegowisko. On wraz z milicją odpycha napierającą gawieź.

W stanie wojennym przyłączał się do patroli milicyjnych lub wojskowych. Marszowym krokiem wraz z nimi przemierzał ulice. Nie wzbudzał podejrzeń: mało to wtedy różnych służb współdziałało z sobą, wojskowi, milicjanci, ubecy, cywile. Lubił wystawać na rogatkach i wraz z wartownikami podnosił szlaban, asystował przy kontroli samochodów. Barczysty, o skupionej, surowej twarzy odpowiedzialnego funkcjonariusza. Sprawiał wrażenie dawnego syna pułku. Takie dzieciaki, sieroty, półsieroty, zagubione w zawierusze wojennej, bywały często przygarniane przez wojsko. Pozostał Synem Pułku na stałe i każdy mundur działał na niego jak magnes. Pokazuje się dotychczas i ząb czasu mało go nadgryzł; nic nie stracił ze swojej dziarskości urodzonego żołnierza.

Tyle wojen, powstań w naszych dziejach. Dzielny wojak mocno się zakorzenił w pamięci pokoleń.

#### 42. ŚWIAT MAURÓW

Przypominał rosyjskiego inteligenta ze sztuk Czechowa. Chudy, zgarbiony, rzadka blond bródka, nosił okulary w cienkiej, drucianej oprawie i kiedy je zdejmował, żeby przetrzeć szkła, odsłaniały się błękitne, jakby zdziwione oczy. Nosił się biednie, lecz schludnie; ciemny, mocno już świecący garnitur z postrzępionymi rękawami, koszula czysta, niedbale zawiązany krawat, buty popękane, bardzo znoszone, o mocno ściętych obcasach, ale zawsze wyglansowane starannie. Pokazywał się w różnych miejscach miasta i często odwiedzał kawiarnie. Szczególnie upodobał sobie „Amatorską” na Nowym Świecie, Galińskiego na pl. Trzech Krzyży i „Świteziankę”. Wypijał łączywie jedną kawę po drugiej i słyszeliśmy jak zamawiał lekko nosowym, piskliwym głosem: „Jeszcze pół czarnej proszę!” Kiedyś, płacąc rachunek, chciał dołożyć napiwek i długo przetrząsał kieszenie, aż kelnerka odeszła zniecierpliwiona. Palił mnóstwo papierosów i dwa palce prawej dłoni miał żółte od nikotyny.

Wtedy wydawał się nam starym człowiekiem, choć najwyżej mógł mieć około czterdziestu lat. Bawiliśmy się z kolegą w „łowy na ciekawych ludzi” i od razu zwróciliśmy na niego uwagę. W kawiarni nie rozstawał się z książką. Czytał i co pewien czas wyciągał ze starej, skórzanej teczki gruby brulion w czarnych okładkach i sporządzał jakieś notatki. Pokasływał i chusteczką

| Marek Nowakowski

wycierał usta. Kojarzyliśmy to z gruźlicą, która wydawała się nam chorobą artystów, myślicieli. Gruźliczy trop jeszcze bardziej nobilitował go w naszych oczach i chodziliśmy za nim uporczywie. Odwiedzał często bibliotekę na Koszykowej. Musiał nie mieć stałych obowiązków, gdyż widywaliśmy go w różnych porach dnia. Kiedyś zobaczyliśmy go na Pocztę Główną. Siedział na ławce i pisał pośpiesznie w grubym brulionie. Do pisania używał kopiowego ołówka. Zaintrygowani, podsuwaliśmy się jak najbliżej. Dzieliła nas od niego śpiąca staruszka i wychylając ponad nią głowy, zerkaliśmy do jego brulionu rozłożonego na kolanach. Przerwał nagle pisanie i spojrzał na nas. Odskokczyliśmy jak kieszonkowcy złapani na gorącym uczynku. Uśmiechnął się lekko i wcale nas nie skarcił.

— Rozumiem, że jest to głód wiedzy, moi chłopcy — powiedział. — Ale i tak nie potrafilibyście nic zrozumieć. Spójrzcie!

Podsunał nam brulion ze stronicami gęsto zapisanymi zielonym, kopiowym ołówkiem. Były one pokryte dziwacznymi zygzakami, hieroglifami, które wyglądały jak ornamenty, graficzne symbole.

— Pismo arabskie — rzekł. — Takiego chyba nie znacie, prawda?

Patrzyliśmy na to osobliwe pismo i na niego ze zdumieniem. Uśmiechał się łagodnie. Przewracał stronicę brulionu. Wszystkie były pokryte tymi obcymi znakami.

Akurat siedząca między nami staruszka zbudziła się i opuściła miejsce na ławce.

Z długiej rozmowy w hali Poczty Głównej na Nowogrodzkiej zapamiętałem koloryt i niezwykłą sugestywność jego opowieści o historii Maurów w Hiszpanii. Tę historię spisywał w brulionie. Przedstawił nam ze swadą dzieje kalifów, emirów w Kordobie, Grenadzie,

krwawe wojny z Hiszpanami, rozwój nauk i sztuk za panowania Maurów, nazwał tamten czas złotym wiekiem. Wymieniał nazwiska uczonych, artystów, myślicieli. Wskazywał piękne meczety, pałace, gdzie szumiały fontanny i przechadzały się zakwefione hurysy. Przyszła kres tej idylli, Hiszpanie pokonali Maurów, wyrzynając bezlitośnie zarówno wojowników, jak bezbronną ludność. Resztkę zmusili do przyjęcia katolickiej wiary. Zapamiętałem, że ci, co porzucili islam i przeszli na chrześcijaństwo, nazywani byli „moryskami”.

Historia Maurów miała być dziełem jego życia i ze skórzanej, podartej teczki wyciągnął jeszcze kilka brulionów, zapisanych zygzakowatymi znaczkami. Zmierzchało już, kiedy opuściliśmy pocztę. Uczony arabista pożegnał się z nami mocnym uściskiem dłoni. Byliśmy wtedy wzruszeni, dostąpiliśmy wyróżnienia i potraktował nas jak prawdziwych partnerów. Tak było tylko raz, bo choć później spotykaliśmy go w mieście, już nas nie poznawał. Patrzył obojętnym wzrokiem i nie odpowiadał na nasze ukłony.

Mignął nam jeszcze kiedyś nocą w ciemnościach dworca. Jadł posiłek w bufecie; nie reagował wcale na wrzaski i szamotaninę pijaków, dworcowych włóczęgów. Nigdy już nie zamieniliśmy z nim nawet słowa.

Ale dzięki niemu z zapalem czytywaliśmy wszystko, co dotyczyło wojennej drogi Almorawitów z Afryki na Półwysep Pirenejski, i wiedzieliśmy już, że nazwa Gibraltar pochodzi od zwycięskiego wodza Giber-Al-Ta-rika, i znacznie głębszego znaczenia nabrały dla nas słowa poety, których uczyliśmy się na pamięć w szkole. „Już w gruzach leżą Maurów posady (...) Broni się jeszcze z wież Alpuhary Almanzor z garstką rycerzy”.

### 43. ROBOCHOP

Inwalidzi mogli łapać niezłe fuchy i widywało się chromych czy bezrękich facetów na wygodnych, intratnych posadach. A to w szatni, portierni jakiejś. W zakładowym bufecie czy w kiosku Ruchu. Oczywiście jest sprawą, że nie wchodził w grę każdy inwalida. Była specjalna kategoria poszkodowanych podczas wojny i należały im się rozmaite przywileje. Inwalidzi pozbawieni takich szans patrzyli na nich krzywo i przezywali ich „utrwalaczami”. Znalazł się człowiek w zawierusze wojennej na wschodzie i ratując się z sowieckich opresji wstępował do tych berlingowców, kościuszkowców i przechodził szlak bojowy od Lenino do Berlina. Gdzieś po drodze mógł porządnie oberwać, stracił rękę, nogę, różne bywały ubytki. Byli jeszcze inni, naprawdę „utrwalacze”, tacy, co to po wojnie ścierali się z reakcyjnym podziemiem w szeregach KBW, MO czy jako funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Też zdarzało im się oberwać porządnie w walce z leśnymi oddziałami rozmaitych „Wirów”, „Młotów”, „Nurtów”, „Bohunów”. Chodzili na sztucznych nogach, mieli sztuczne ręce i dłonie w czarnych, obcisłych rękawiczkach, w klapach dzwoniły im medale. Tamci wojenni i ci powojenni mogli liczyć na pomoc władzy, która o nich nie zapominała.

W pewnej renomowanej knajpie warszawskiej kiero-  
równikiem sali był beznogi mężczyzna w sile wieku, obdarzony, potężnym, mięsistym nochem. Wywodził się z tych poszkodowanych bojowników z szeregów KBW, MO, a może bezpieki. Nigdy o tym dokładnie nie mówił. Tylko jak się napił, wołał gromkim głosem, waląc się kułakiem w pierś: „Ja za władzę naszą robot- niczo- chłopską oddałem nogę!”

W zależności od ilości spożytego trunku mówił coraz bardziej bełkotliwie i ta władza dwuczłonowa zlewała mu się w skrót, który brzmiał mniej więcej tak — „robochopską!” Dlatego przezywano go cichaczem „Robochop”. Beznogi kierownik sali na swym gastronomicznym posterunku wyróżniał się czujnością i wysokim stopniem uświadomienia politycznego. W stanie wojennym podsłuchiwał rozmowę dwóch brodatych młodzieńców i natychmiast wezwał patrol ZOMO. Młodzieńcy mówili o jakichś matrycach, składzie, nakładzie.

— Jak nic wywrotowcy! — poinformował Robochop zomowców.;tt

Nie wypaliła wtedy jego czujność. Byli to zwyczajni linotypiści z państwowej drukarni akcydensowej i rozmawiali o legalnej, terminowej pracy. Zomowcy wylegitymowali ich i zwolnili. Robochop podsłuchiwanie nie zaprzestał i wreszcie trafiła mu się gratka. Miejsce przy barze zajął facet z pękatą torbą. Torba wydawała się podejrzana i Robochop wezwał stróżów porządku. Tym razem strzał był celny i w torbie były broszury, ulotki, emblematy, słowem podziemna robota. Kierownik sali został pochwalony. Może dorzucili mu jakąś premię w kopercie. Tryskął zadowoleniem zmieszany z alkoholem.

On, Robochop, nie mógł przeboleć upadku PRL-u i początki transformacji wytrąciły go z wieloletniej równowagi ducha. Na domiar nieszczęścia ta państwo

wa knajpa na dużym deficycie została zamknięta. Był długi remont i prywatny właściciel otworzył wytworny lokal o francuskiej nazwie. Tu Robochop nie był już potrzebny. Jedni mówią, że zapił się na śmierć. Inni znów, że bude ma na jakimś peryferyjnym bazarku i handluje żarciem dla psów i kotów.

#### 44. SWOBODA OBYCZAJÓW

Zależy jaka. Zbyt daleko posunięta może być niezdrowa. Za bardzo ciasny gorset dusi, męczy. W PRL-u były z tym problemy. Po pierwsze, wymagano, żeby wszyscy byli jednakowi. No, powiedzmy nie wszyscy musieli chodzić w mundurkach ZMP, SP, ORMO czy innych służb i organizacji. Ale nie wolno było się wychylać, wyróżniać. Obcy, odmienny, a więc wróg! To bliskie pojęcia. Huzia na takiego! Snuł się więc szary tłum po ulicach, w pochodach, oklaskiwał występy zespołów ludowych, tańczył na zabawach w parkach wypoczynku i śpiewał pieśni masowe. Czujni, komunistyczni wychowawcy dbali także o obyczajność mieszkańców miast i wsi. Obowiązywała purytańska skromność. Za odstawanie od obowiązujących norm mogli za karę nie przyjąć na studia, wcielić do karnego wojska. Różne mieli sposoby reedukacji. Nie było żartów z surową władzą. Nie na próżno ideałem wychowawczym był Poemat pedagogiczny Makarenki.

Mimo tej koszarowo-obozowej atmosfery zdarzali się odszczepieńcy w sferze obyczajów na większą i mniejszą skalę. Inspiracją dla nich mógł być jakiś bogato ilustrowany tygodnik z Zachodu, film obejrzany ukradkiem w czytelnicy ambasady amerykańskiej, przedwojenny komiks czy coś równie zakazanego. Niewyczerpanym źródłem natchnienia były „ciuchy”, osławio-



ne warszawskie targowisko używanej odzieży z zachodniego świata. Stroje kobiece, kwieciste marynarki i barwne krawaty dla chłopaków. Jakże kontrastowały z burymi łachami, które nosiliśmy. Wyobrażaliśmy sobie niezwykły świat Casablanki, paryskich barów z Łuku Triumfalnego. Otwieraliśmy oczy i przytłaczała nas monotonia i brzydota rzeczywistości. Te jadłodajnie, czyli zakłady zbiorowego żywienia z rzędami stolików przykrytych ceratą i smrodem żarcia z kotłów. Te kawiarnie, wielkie, nieprzytulne, przypominały sale na okolicznościowe akademie i występy zespołów ludowych i wojskowych. W takim otoczeniu snuliśmy się jak postacie we mgle. Ciało osłonięte nędzną przyodziewą, skromny, przaśny wygląd — gwarancja moralności socjalistycznej. Żadnej swobody, wyzwania. Kochać się skrycie i pośpiesznie w ciemności sypialni i potem do roboty! Wyrobić, a nawet przekroczyć normę, zostać przodownikiem pracy, otrzymać w nagrodę komplet dzieł Lenina, Stalina w twardej oprawie, ze złotymi, tłoczonymi literami tytułów. Tak wegetowaliśmy i w niektórych budził się świadomie lub nieświadomie protest. Przecież coś się w głowach roiło, pracowała wyobraźnia. Pojawiali się samotni wojownicy, soliści, którzy nie chcieli istnieć w jednakowym stadzie. Pragnęli po swojemu, wyzywająco, na przekór. Kielkowało w nich zakazane ziarno.

Student architektury, Witek, przystojniak, czytywał angielskie kryminały (uczył się angielskiego!), ubierał się jak dżentelmen z mglistego Albionu. Tweedy, swetry w kratkę, wąskie spodnie, buty na słoninie. Skąd zdobywał te efektowne ciuchy!? W jednostajnym tłumie wyróżniał się odmiennością. Już tym prowokował. Miał kłopoty. Piętnowany przez ZMP. Był twardy, trzymał się uparcie osobnej konwencji. Rysiek, pomysłowy łowca dziewczyn, syn właściciela sklepu elektronicznego na Bagnie. Był playboyem tamtych czasów. Podrywał dziewczyny z 11-letniej szkoły TPD, nazwanej wzniosłym imieniem jakiegoś rewolucjonisty, który miał być drogowskazem. Przychodził pod szkołę i szalały za nim urodzive nastolatki, którym roiło się w pięknych główkach, żeby żyć inaczej, bardziej ciekawie. I skąd on miał raketę tenisową? Tenis to nie była gra dla mas pracujących. Piłka nożna, Wyścig Pokoju, ale tenis! Prywatki u Ryśka to była obraza obyczajów, wprost rewolucja. Dziewczyny bardzo się negliżowały. I jaką muzykę puszczał! Drażniący, zmysłowy jazz amerykański.

Wieści o prywatkach u niego zataczały coraz szersze kręgi. Dopadli go, osaczyli. Nie dostał się na studia i zaliczył kopalniane wojsko.

Pojawiały się też prekursorki. Dziewczyny o silnej potrzebie wyrwania się z marazmu. Dusily się w gorsecie „dójki i traktorzystki”. Chciały inaczej. Jawnie, bez wstydu i strachu. Uciekały z domów (rodzice, często dygnitarze reżimu, oportuniści, włosy stawały im dęba na głowie) i publicznie wyczyniały brewerie, skandale.

Julita, piękna jedynaczka, córka wziętego lekarza. Dom był przedwojenny i silna była tam przeszłość, docierały wieści z wolnego świata — część rodziny w wyniku wojennych perypetii do kraju nie wróciła. Ta smarkula wyzywała los z ostentacją wtedy niezwykłą. Ubierała się tak skąpo, pokazywała strzeliste nogi, nokautowała dekoltem. „Hycle od moralności socjalistycznej” (termin z poematu Adama Ważyka) tracili zupełnie kontenans i budziła się w nich niewymowna słabość do tej wyuzdanej piękności. Szlak uwodzicielskiej emancypantki znaczyły przebite strzałą Kupidyna serca młodych i starych mężczyzn. Obludników zmuszała do szczerości i ośmieszała ich. Dla młodych była pięknnością dnia, obietnicą poranka. W socjalistycznym mieście zakwitła jak róża na pustyni.

Marek Nowakowski

Gwoli prawdy należy powiedzieć, że często te śmiałe, buntownicze dziewczyny zostawały później dziwkami lub zapijały się do zatracenia w nocnych barach. A niektórzy z tych wspaniałych młodzieńców mościli sobie wygodne gniazdka jako utrzymankowie zamożnych wdów lub snuli się po dworcach jako lubieżni erotomani, łowcy łatwego łupu.

Ale należą im się życzliwe, choć utrzymane w powściągliwym tonie słowa uznania za to, że nie chcieli się poddać. Dawali głos, który był dysonansem w przymusowym chórze.

#### 45. RATUSZ

Był masywnej postawy, twarz mięsista i gęsto poznaczona śladami po ospie. Nosił się z elegancją w stylu minionym: czarne palto z aksamitnymi wyłogami na kołnierzu, czarny kapelusz i nieodłączna bambusowa laseczka. Głosem o melodyjnym, basowym brzmieniu potrafił czarować i każda jego opowieść skrzyła się humorem i niewątpliwym cynizmem, bezwstydną nawet amoralnością. Sam siebie nazywał chętnie Ratuszem, uzasadniając nie pozbawionym słuszności argumentem: „Tyle już lat, synku, tyle kataklizmów, ginęły miasta, całe społeczności, zmieniali się władcy. A ja trwam jak stary, średniowieczny Ratusz. Stoję i patrzę...”

Miał jeszcze inne przezwiska. Zwano go „Królem kitu i bajeru”, „Ministrem bez teki”, „Majstrem od farma- zonu”. Był życzliwy ludziom, pogodny. Żadne troski, smutki nie zakłócały jego dobrego samopoczucia. Oganiał się od nich nader skutecznie. Mowa była jego orężem i tej złotoustej właściwości zawdzięczał wysoką pozycję w kręgach bajerantów, niebieskich ptaszków i oszustów różnego autoramentu. Uczyli się od niego sztuki, stoickiej postawy wobec nieoczekiwanych zmian losu i prawdziwej, wolnej od wszelkich niepokojów, beztroski. „Jest tylko teraz — powiadał. — Nie ważne jutro, pamiętaj, synku!”

Jowiszowe jego oblicze emanowało niewzruszonym

spokojem, dzioby po ospie czerwieniały po wódeczce. Machał ręką i odpływał majestatycznie w głąb ludzkiego rojowiska, kawiarni, restauracji, żeby w innym miejscu dawać rady adeptom beztroskiego życia w tym świecie pełnym trosk.

Koleje jego losu były bujne, burzliwe i pod koniec lat trzydziestych zasłynął w rodzimym Białymstoku i jego okolicach jako obiecujący, jarmarczny sprzedawca maści na porost włosów, balsamu na reumatyczne dolegliwości i uniwersalnego eliksiru na każdą chorobę. Pod Sowietami żegnał upadek Polski nieustającymi libacjami w kompanii straceńców i awanturników spod ciemnej gwiazdy. Pewien groźny i nieobliczalny enkawudzista był jego serdecznym druhem. Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ i wywieźli go na Sybir starą naszą drogą. Stamtąd wyszedł z Andersem i bawił żołnierzy II Korpusu konferansjerką na estradzie polowej. Od początku więc jego talent krył się w mowie. Serca do wojaczki nie posiadał i jak tylko nadarzyła się okazja, został uznany za niezdolnego do czynnej służby. Sprawie jednak służył, będąc pielęgniarzem w lazaretach, opiekunem sierot, pisarzem w rozmaitych kancelariach i magazynach na tyłach. Wrócił do kraju w 1945 roku i początkowo osiadł we Wrocławiu, gdzie szybko stał się popularną osobistością. Był pupilkim tamtejszych szabrowników i aferzystów na dużą skalę. Zapracowanym ludziom interesu zabezpieczał, jak powiadał, wytchnienie i życie rozrywkowe. W tej dziedzinie okazał się niezastąpiony i żartobliwie nazywano go wielkim mistrzem kapituły hulaków i nicponiów. Przeniósł się do Warszawy i trwale zakorzenił się w podobnym towarzystwie. Tak samo jak we Wrocławiu zajmował się rozrywką i rekreacją ludzi utalentowanych i pomysłowych, którzy w nie sprzyjającej rzeczywistości nie zrezygnowali z prób zdobywania fortun na własny

rachunek. Ta ryzykowna działalność, ciągle zagrożona przez organa ścigania, tym bardziej wymagała wytchnienia, odpoczynku. Tym zajmował się Ratusz, będąc podkomorzym<sup>1</sup> podczaszym, żeby skorzystać z dawnych zaszczytnych funkcji Polski dworskiej, szlacheckiej. Przygotowywał ucztę, hulanki, wyprawy w góry i nad morze. Dobierał towarzystwo, szczególnie dbając

o obecność dam. Popularne i szeroko komentowane były bankiety w „Polonii”, „Bristolu”, „Paradisie”

1 „Kaskadzie”. Duszą towarzystwa był niezastąpiony Ratusz, okraszający uciechy stołu i łoża facecjami pełnymi dowcipu, fantazji. W odróżnieniu od innych far- mazonistów, czyli twórców żyjących ze słowa mówionego, nie pragnął dla siebie żadnych szczególnych korzyści materialnych. Potrzebował jedynie hotelowego lub sublokatorskiego pokoiku, nieco gotówki na gorzałkę i papierosy.. Właściwie najbardziej potrzebował nieustającego ciągu uczt, przyjęć w knajpach, hotelach, tych butelek z wódką w kubeleczkach z lodem, przykrytych białymi serwetkami, brzęku szkła, toastów, muzyki, całej tej atmosfery hulaszczey nocy.

Był minimalistą i tak egzystował na utrzymaniu swoich „ojczulków”, jak ich ciepło nazywał, często młodszych od niego speców od zdobywania większej gotówki w szczelinach socjalizmu.

Z pewnym protektorem dostał się nawet do więzienia, posadzony o współnictwo w skupie złota i dolarów. Przebywał przeszło rok w więziennej celi i barwnymi opowieściami o beztroskim życiu na wolności podnosił na duchu towarzyszy niedoli.

— To był wypadek przy pracy. Wliczony w koszty — mówił o swoim pobycie w pudle i jego oblicze senatora emanowało niewzruszonym spokojem człowieka przygotowanego na wszystkie przeciwieństwa losu. Wyszedł na wolność i znów dni i noce stały się nie

ustającym pasmem hulanki i uciech. Kolejny „ojczulek” zachwycony. Ratusz także pełen satysfakcji.

Grom spadł z jasnego nieba. W tym powiedzeniu kryje się złowroga prawda. Zachorował i zawieźli go do szpitala. Rozpoznano nieuleczalną chorobę. Już były przerzuty. Ratusz przyjął werdykt ze spokojem. Wieczorem przy jego szpitalnym łóżku zasiedli dwaj „ojczulkowie”. Na jego życzenie przynieśli butelkę wódki i ulubioną zakąskę: anchois z kaparami. Nie chciał żadnych pocieszeń, złudnej nadziei. Wspominał rozmaite zdarzenia ze swego życia, żartował. Właściwie bawił tych dwóch i oni zaśmiewali się do łez. Pożegnali się z nim zachwyceni jego formą. Taki jak zawsze. Fenomen!

Tego samego wieczoru rzucił się z okna na beton szpitalnego dziedzińca. Tak rozstał się z życiem. Pogrzeb był uroczysty. Tylu ludzi z miasta, wieńce, szarfy. Nad grobem klęczała staruszka w czarnej chuście.

— Synku! Synku! — powtarzała, łkając.

Była to jego matka, chłopka z białostockiej wsi. Daleką drogę przebył Witek Ratusz. Był jednym z najślawniejszych farmazonistów miasta. Pozostało puste miejsce. Całe dawne miasto jak wielkie puste miejsce. Same cienie, duchy...

#### 46. WILLA WŁOCHY

Dopiero niedawno dowiedziałem się, że posesje i nieruchomości we Włochach zapisane są w księgach wieczystych pod nazwą Willa Włochy. A zatem miała to być miejscowość willowa. Pierwotny zamysł polegał na podziale rozległych obszarów należących do Koelichenów i innych potentatów na parcele, gdzie miało powstać jednorodzinne budownictwo wśród ogrodów i parków.

Miały to być estetyczne, funkcjonalne domy o architekturze dworskiej, sięgającej tradycją szlacheckiej Polski, lub nowoczesne sześciany willowe z werandami i tarasami. Żywiolowa zabudowa kształtowała się jednak zupełnie inaczej. Wyrastały pospiesznie domki kolejarzy, robotników, poprzetykane okazałymi, jak na miarę tej miejscowości, kamienicami, na przykład dom Drabarka, wzniesiony w 1912 roku (jesienią 1994 rozebrany) czy „Pekin” na Fabrycznej. W latach trzydziestych budowano też czynszówki bardziej okazałe i solidne z myślą o wynajmie mieszkań ludziom zamożnym. Tak prezentowały się dom na ulicy Kościuszki przy torach EKD i kamienica z weneckimi oknami i loggiami, gdzie mieszkał pan Wolski na Nowych Włochach w pobliżu parku. Ale przede wszystkim dominowało budownictwo oszczędne, parterowe i jednopiętrowe, które stawiali sobie kolejarze, tramwajarze, rzemieślnicy i wykwalifikowani robotnicy fabryki świec

„Polo”, fabryki Ortweina i zakładów wytwórczych elektrycznych przyrządów pomiarowych „Era”. Toteż wizja willowych Włoch nie została zrealizowana i tylko gdzieś pośród czynszówek z czerwonej cegły i małych biedadomków cieszyły oko zabudowania w stylu idyllicznym. Choćby ten niezapomniany dworek z kolumienkami, pośród starych świerków na ulicy Parkowej, gdzie mieszkał znakomity tłumacz literatury rosyjskiej, Czesław Jastrzębiec Kozłowski. Wyróżniał się także urodą biały, fantazyjny pałacyk w stylu południowym, siedziba Koelichenów w parku na Nowych Włochach. Było jeszcze kilka dworców schowanych w ustronnych, zadrzewionych uliczkach.

W ostatnich latach Włochy, już jako integralna część Warszawy, powracają do tradycji budownictwa willowego.

W miejsce drewnianej rudery Cedrów wyrosła okazała budowla w stylu szwajcarsko-francuskim. Rzędy jednorodzinnych segmentów na Czereśniowej z czasu późnego PRL-u, pałacyki „self-mademanów” czasu transformacji. W pobliżu badylarskiego gospodarstwa Szellerów też jakaś budowla w duchu nowobogackiego indywidualizmu. Często rzuca się w oczy orientalny, rzecz można, mauretański styl budownictwa, tak modny w ostatnich latach komuny. Była to dosyć osobliwa odtrutka na pułdowatą, szarą zabudowę, dominującą w tamtych latach.

Zaczął się żywiołowy boom. Powstaje budowlane zagłębienie i ceny placów idą w górę. Tam, gdzie kiedyś były pola i łąki przy gliniankach, wyrosło nowe osiedle małych domków.

Czytuję z uwagą kolejne numery czasopisma Willa Włochy, powstałego jesienią 1994 roku. To lokalne pismo pragnie sięgnąć do tradycji dawnych Włoch i łączyć mieszkańców w duchu kontynuacji dobrych początków.

Czasopismo powstało z inicjatywy kilku młodych ludzi, dla których Włochy są małą ojczyzną. To dobry pomysł. Czuwanie nad sensowną teraźniejszością i przyszłością. Chodzi o to, żeby dzika rozbudowa i napływ nowych mieszkańców nie zniszczyły cennej tradycji, czyniąc z Włoch dzielnicę bez korzeni i pamięci swojej odrębności.

Tak trzymać, panowie!

» \* \*

PS. Warto przypomnieć dawnych społeczników włochofskich, którzy przed wojną ze składek mieszkańców budowali szkołę i kościół.

## II

Po wyścigach chodziło się do „Rybnej” na Puławską. Kto dzisiaj pamięta tę restaurację, zwaną też Wzorcową, na Puławskiej w pobliżu Olszewskiej? Dziś tam marmury, szkło, salon, Pizza-Hut. To była dobra knajpa, przestronna, z szybką fachową obsługą (pewnie ostatni kelnerzy, którzy terminowali jeszcze w epoce przed socjalizmem), akwariami i wielością ryb do wyboru. Potrawy smaczne, świeże; maestria w przyrządzaniu. Karaś w śmietanie, karp na niebiesko, lin a la flaczki, szczupak faszerowany, pstrągi z wody i rusztu, śledzie w oleju i śmietanie. Musieli mieć kucharza z prawdziwego zdarzenia. Z toru wyścigowego na Służewcu to było po drodze. Tutaj gracze opijali wygraną. Rozpierało ich szczęście i panoszyli się na wzór nababów. Mieli gest i szła flaszka za flaszka. Jednodniowi milionerzy! Derby, Wielka Warszawska to były duże wybuchy. Za fuksa potrafili zapłacić niezły szmal. Kola Chatizow, jego bracia Leon i Paweł, Tazio Kubiak, fotoreporter, kelner Zegarek z Kameralnej, Czesiek Rekin, pan Ciszewski, król sportowych sprawozdawców. To byli starzy gracze i każdy z nich miał w swojej wieloletniej karierze wyścigowej choć jeden taki dzień (nawet kilka) kiedy był wielkim wygranym. Otaczał go wtedy krąg pochlebców, fundował hojnie i grzał się w blasku swej chwały. Natomiast przegrani składali się z trudem

w kilku na butelkę i wypijali w bramie bądź w krzakach ponurą wódkę. Wystarczyło popatrzeć na podłogę wielkiej hali na Służewcu. Zaścielały ją grubą ściółką bilety przegranych. Czasem wygrani zapraszali niektórych przegranych do „Rybnej” na Puławskiej. Częstym gościem łaskawych fundatorów był Fredek z Łuckiej. Dla niego pole wyścigowe było jedyną miłością. Stosował wszechstronną grę kombinacji, studiował zalety koni, dżokejów. Miał w małym palcu wiedzę o tych wszystkich półkrewkach i koniach pełnej krwi, arabach, angloarabach, klaczach i ogierach. Program gonitw był jego wyłączną lekturą w sezonie. Doprawdy wybitnym był znawcą! Ale graczem niefartownym i nigdy nie zaznał słodkiej rozkoszy wybuchu na polu. Dżokeje i ich nikczemne triki stały się jego obsesją. Było w tym trochę prawdy, ale więcej goryczy przegranego. Lubiany był Fredek i zapraszano go często do „Rybnej”. Goły, bo goły. Ale niech w gorzałce utopi swój smutek. Oni, zwycięzcy chęlni się szczęściem, pomysłowością, obliczali forszę. Fredek milczał posepnie. Ubogi krewny na łasce fundatorów. Pragnął choć jeden jedyny raz doznać ekstazy wielkiego wybuchu. Każdy dzień na polu zaczynał od wielkiej nadziei, kończył sromotną przegraną. Darł na strzępy bilety i patrzył na niedostępne kasy. Aż pewnego razu!... Napoleon przysięga, że to prawda. Należy mu wierzyć. Jeden z ostatnich weteranów zmagania na służewieckim polu. Fredek miał głos wewnętrzny. Naprawdę! Nieodwołalny nakaz z głębin duszy. Ten głos nakazał mu obstawić porządek gonitwy dwiema cyframi numeru tramwaju, którym tego dnia jechał. Mogła być trzynastka, czternastka. I tak zrobił. Wygrał! Wybuch! Fundował z rozrzutnością nieposkromioną w „Rybnej”. Odtąd stawiał tylko na cyfry składające się na numery tramwajów. „Wyłącznie” — twierdzi poleon. „I czasem drobne kwoty wygrywał. Już nigdy

r

jednak tak jak za pierwszym razem. Przeżywalismy go Tramwajarzem! No, ale to prehistoria" — kończy nostalgicznie Napoleon.

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Zajdźmy więc na tradycyjną wódkę pod śledzika do „Rybnej” na Puławską. Napijmy się z dawnymi graczami!

#### 48. POCHWAŁA PRAGI

Skończyła się okupacja i jako chłopak znalazłem się w księżycowym pejzażu gruzów, który kiedyś był Warszawą. Szliśmy z ojcem wąwozem wśród dymiących ruin i nagle rozległ się przeciągły okrzyk „Na Pragę, na Pragę!” Podbiegliśmy do ciężarówki, pełnej ludzi siedzących na prowizorycznych ławkach zbitych z nie heblowanych desek.

—^ Jeszcze dwie damy i odjeżdżamy! — zawołał facet o czerwonej, twarzy i wesołych oczach. Pojechaliśmy pontonowym mostem przez Wisłę. To była pierwsza wyprawa do miasta po drugiej stronie rzeki. Tam były normalne ulice, domy, sklepy, tłum przechodniów wypełniał trotuary Targowej, Stalowej, Żąbkowskiej i bazar Różyckiego kipiał handlowym życiem.

Później, jako namiętny już wędrowiec, zmęczony monumentalną architekturą MDM-u, obcym ogromem pałacu Józefa Stalina czy smutkiem koszarowców Muranowa, poszukując z mozołem śladów dawnego miasta, udawałem się na Pragę. Tylko tam bowiem zachowało się wielkomiejskie życie w jego prawdziwym kształcie i atmosferze. Zachodziłem do małych knajp z ocynkowymi szynkwasami. Do baru „Pod żółciem” czy „Pod wiaduktem”. Noc pełną wrażeń mogłem spędzić w żółtym budyneczku „Oazy”. Postój dorożek cieszył oko na Brzeskiej. Wstępowałem w ciemne, wilgotne

bramy wielkich secesyjnych kamienic o kilku podwórzach, gdzie odkrywałem zasiedziałość, korzenie, tradycję i gdzie często rozlegał się przeciągły głos wędrownego majstra: „Lutuję, reperuję! Ostrzę noże, nożyczki!”

Dzieci bawiące się przy trzepaku otaczały fachowca. Z podwórkowej kapliczki patrzyła na ziemski padół gipsowa Matka Boska. Wszystko, co tak brutalnie i okrutnie zniszczono po lewej stronie rzeki, tutaj zachowało się w dawnym kształcie i kolorycie. Pełne nostalgii ulice: Grodzieńska, Kowieńska, Szeroka, Szwedzka. Stara rzeźnia na Krowiej. Czerwony, ceglasty mur carskich koszar na ulicy 11 Listopada. Biedadomki z rzędami komórek i gołębników na Targówku, Bródnie, Zaciszu. Relikty prywatnego handlu i rzemiosła najdłużej utrzymały się w tych odległych ostępach. A te wyprawy do baraków na Marywilskiej, gdzie mieszkały dynastie kieszonkowców, włamywaczy i w małych ogródkach zwieszały się ciężkie, żółte tarcze słoneczników. Praga z całą szpetotą, występkiem, melinami i podejrzanymi interesami w bramach zachowała jednak w dobrym i złym sensie postać zasiedziałego, niewyczerpanego w żywotności miasta. Może dlatego prawdziwi warszawiacy tak chętnie przenosili się za rzekę. Przecież Antoni Kolczyński, czyli Kolka, słynny bokser, ulubieniec Warszawy, na Pradze spędził ostatnie lata swego życia, krążąc po Targowej i wokół bazaru. Te mury, ludzie —przyciągało to jak magnes. Równocześnie zawiewało tu Wschodem, słyszało się śpiewny akcent przyjezdnych z Białegostoku, Hajnówki czy Łap, jeden z dworców nazywał się Wileński, a pośród zieleni drzew wyrastały kopuły cerkwi, co w zestawieniu ze strzelistym neogotykiem wież św. Floriana było pierwszym widokiem Pragi oglądanej z drugiej strony Wisły, ze staromiejskiej skarpy.

Symboliczną wymowę posiada fakt, że popiersie Ignacego Paderewskiego zostało podczas okupacji nie mieckiej ukryte i uratowane przez dwóch wozaków z Cmentarza Bródnowskiego, ojca i syna Piecyków, jak z felietonów Wiecha.

Warto wybrać się do ogrodu Ujazdowskiego, popatrzeć na mistrza Paderewskiego i przeczytać o tym na marmurowej tablicy. Przeczytać i wyobrazić sobie dramatyczną drogę: nocą wiozą cmentarną furką tę cenną narodową pamiątkę i ukrywają w komyszach praskich zakamarków.

Bo Praga, przez lata całe koszmarów budownictwa PRL-u w postaci wrażeń blokowisk i koszarów, przechowywała w swych poszczerbionych, liszajowatych murach ducha Miasta. Była ostoją tego, co prawie doszczętnie zniszczono po drugiej stronie Wisły. Chwała jej za to!



#### 49. BARONET

Byli to rozhukani, przedwcześnie dojrzały chłopcy, którzy już zaznali niebezpiecznego smaku okupacji, licytowali się w znawstwie broni, tych stenów, wisów, będących własnością starszych braci, konspiratorów z walczącego podziemia. Jednak chrzest bojowy w konspiracji ich ominął; byli zbyt młodzi. Już po wojnie dawali upust swym pragnieniom nie spełnionym, próbowali występować przeciw komunistycznej władzy, bezpieka chwyciła ich w swoje łapy i wtedy byli traktowani jako groźni wrogowie, wiek nie miał znaczenia. Oczywiście nie bardzo chcieli się uczyć. Po wojennych kompletach gimnazjalnych zostali na powrót wdrożeni w szkolne rygory, siedzieli w ławkach, wzywani przez nauczycieli podchodzili z ociąganiem do tablicy i swym zachowaniem podkreślali dorosłą dojrzałość, za przykładem starszych braci ubierali się w strój półwojskowy: bryczesy, oficerki, andersowskie bluzy, chodzili rozkołysanym krokiem przedwojennych oficerów kawalerii i sprawdzali wytrzymałość wychowawców, paląc ostentacyjnie papierosy, szafując przekleństwami. Były z nimi kłopoty. Tych najtrudniejszych rodzice umieszczali w internacie przy gimnazjum ojców marianów na Bielanach. Tam surowi zakonnicy próbowali doprowadzić ich do wiekiem przypisanej normalności. Gimnazjum prowadzone przez zakonników to był relikwiarz przeszłości

ci i czas istnienia tak osobliwej szkoły został już policzony. Znaleźli tu przytulisko młodzieńcy z dawnych warstw wojskowych i urzędniczych, mieszczaństwa, kręgów ziemiańskich. Wywodzili się z odchodzącej bezpowrotnie formacji społecznej i pozwalali sobie na kpiny i szyderstwo ze zwycięzców. Ostentacyjnie nie chcieli wiedzieć, kto to jest Bierut, Gomułka. Zastanawiali się z teatralnym wysiłkiem, co to jest PKWN czy PPR i wyznawali, że skrót te są dla nich nie rozpoznana zagadką. A podczas lekcji przysposobienia wojskowego doprowadzali do furii wykładowcę, porucznika LWP, który zapoznawał się z ich pochodzeniem społecznym. Pewien młodzieniec z książęcej, starożytnej rodziny, której członkowie nosili herbowe monogramy na koszulkach i gaciach, odparł z niewinnym wyrazem twarzy, iż jest pochodzenia chłopskiego. Następnie indagowany o ilość ziemi, którą posiadał ojciec, odparł lapidarnie: „Dwadzieścia tysięcy hektarów.”

Efekt był piorunujący i spowodował poczerwienienie - łość bliską apopleksji na twarzy mundurowego wykładowcy. Wśród tych gagatków wyróżniał się młodzian, zwany przez kolegów Baronetem. Nosił się z wyszukaną, angielską elegancją; po bracie, który zginął w Powstaniu, przejął tweedowe marynarki, gabardynowe bryczesy, oficerskie buty. Twarz miał pociągłą, bladą, i modre oczy. Te oczy gorzały intensywnym, ciemnym ogniem. Szybko zdobył niekwestionowany autorytet wśród uczniowskiego grona i był pomysłodawcą wszelkich drak i nocnych wypraw z internatu.

Baronet wcześniej wprowadzony został przez starszego brata w krąg patriotycznej młodzieży czasu okupacji, poznał tajne lokale schadzek młodych podchorążych, prznosił bibułę i nasłuchiwał się opowieści o udanych i nieudanych akcjach na szpiclów, gestapowców. Starszy brat, zapewne z potrzeby imponowania młod-

szym, wtajemniczał go w rozmaite kręgi życia okupacyjnego miasta. Zabierał go z sobą do spelunek hazardowych gier, gdzie przy stołach zasiadali kondotierzy i aferzyści, rekiny czarnego rynku, ludzie pracujący dla podziemia, szpicle, inne szumowiny. Płynął obficie alkohol i luksusowe kurtyzany jak émy zbiegały się do dużych pieniędzy. W tym nienormalnym życiu od wielkości do małości był tylko jeden krok. Dobro i zło przeplatały się nieustannie. Nic nie było trwałe: ani miłość, ani bogactwo. Ani nawet życie, które mogło zgasnąć tak nagle. Tym huczniejsze były zabawy i tym bardziej namiętna miłość, nienawiść. Wszystko zwielokrotnione, żarłoczne aż do zatracenia.

Baronet pojętym był terminatorem i miłowymi krokami wstępował w dojrzałe życie. Odznaczał się nie tylko wrażliwą chłonnością, ale także olśniewającą urodą. Wysoki, smukły chłopak o kocich ruchach i nonszalanckich, wyszukanych manierach. Miał tyle uroku. To wtedy starszy brat nazwał go Baronetem.

Zaznał schyłku miasta w całej jego ogromnej krasie przed zagładą. Poczul w dłoni chłodny, śliski metal broni i może jej użył w jakiejś nagłej potrzebie. W Powstaniu zdążył jeszcze być łącznikiem oddziału walczącego na Mokotowie. Po klęsce w smutnym pochodzie wyгнаńców ruszył do Pruszkowa, żegnając miasto zamienione w ocean gruzów.

W gimnazjum marianów został umieszczony nie bez trudu przez matkę po krótkich pobytach w dwóch innych szkołach, gdzie z upodobaniem szerzył defetyzm wśród kolegów, szydząc z robotniczo-chłopskiej władzy, dowcipkując niebezpiecznie na temat Armii Wyzwolicielki itp. Szybko wybił się na przywódcę i choć młodszy od kilku kolegów w licealnej klasie, wyróżniał się przedwczesną, wcale nie udawaną dojrzałością. Mimo że nie był herbowy, pochodził z zamożnej rodziny kupieckiej, jego sposób bycia prawdziwego arystokraty

POWIDOKI 3 169

sprawił, że nawet najbardziej błękitnokrwisci koledzy, wywodzący się z rodów zanotowanych w najstarszych almanachach heraldycznych traktowali go jako kogoś ze swojej sfery. Baronet obsesyjnie żył atmosferą umarłego miasta i pod jego wodzą ruszali chłopcy na nocne eskapady wśród ruin tegoż. Opowiadał im o nie istniejących domach, ludziach. Popijali wódkę w jakimś prowizorycznym szynku i oczyma wyobraźni widzieli barwne sceny w okupacyjnej „Adrii”, Cafe Clubie, spacerowali Pasażem Italia, brali udział w akcji likwidowania szpicla — tego znanego skrzyпка, który grywał na ulicach, pędzili z bibułą ze spalonego lokalu, wymykali się z łapanki, wybierali się o świcie na ćwiczenia z bronią do Lasów Kabackich. Baronet wskrzeszał im ten dramatyczny świat i oni byli wiernymi aktorami jego teatru pamięci. Był jak wizjoner i przyszłość malował w najczarniejszych kolorach.

— Tu już nie będzie miasta — mówił. — Nie ma murów. I ludzi też nie ma. Nie łudźcie się. Nic już nie będzie. Ludzie najlepsi wyginęli. Sam kwiat. Została mierzwa, sam chłam. Nic już się nie odrodzi — palił papierosa i finezyjnym ruchem małego palca strząsał wałeczek popiołu z camela. — Jeszcze ci komuniści! Oni na tym gruzowisku zafundują nam ohydny, sowiecki świat. Już to się zaczyna. Czy nie widzicie. Nie ma żadnych szans. Stąpamy po cmentarzu miasta. Tam, pod ziemię, zapadło się wszystko...

Tak oto narodził się desperacki pomysł ucieczki. Siłą sugestywnej wymowy przekonał trzech swoich przyjaciół i rozważali różne warianty. Był to czas letnich wakacji i wybrali się na Wybrzeże. W bezgwiazdną noc próbowali kajakiem popłynąć wodami Bałtyku na Bornholm. W realizacji ucieczki przeszkodził sztorm. Musieli wracać i tylko szczęśliwy przypadek ustrzegł ich przed zatonięciem. Następnie rozważali jazdę pociągiem towarowym przez granicę. Mieli się ukryć w wagonie

w  
w

170 Marek Nowakowski

z węglem za lokomotywą. Jednak ryzyko wpadki było zbyt wielkie. Sprzysiężenie rozpadło się. Dwaj koledzy zrezygnowali i Baronet pozostał sam. Lecz od swego zamiaru nie odstąpił i jego błękitne oczy gorzały ciemnym, upartym ogniem.

Wybrał wariant górski. Postanowił pójść przez Tatry. Wtedy jeszcze tą drogą przemytników i kurierów ludzie opuszczali kraj.

Jeden z jego dawnych przyjaciół dotąd pamięta w najdrobniejszych szczegółach pożegnalny wieczór. Matka Baroneta, nieświadoma jego zamysłu, podjęła ich kolację. Pili wiśniową nalewkę, był tort orzechowy. Baronet plecak już miał spakowany. Był w stroju górskiego turysty: golfowy sweter pod szyję, kraciaste pumpy, wełniane skarpety, buty nabijane gwoździami i na okrasę zielony, tyrolski kapelusz z piórkiem.

Przyjaciele zwrócili mu uwagę na przesadną elegancję tej kreacji. Mogła budzić podejrzenia. Pogranicznicy zobaczą, pomyślą: szpieg, dywersant! Ustrzelą!

Lekceważąco wzruszył ramionami. Zawsze taki trzymał fason. Odprowadzali go na dworzec. Odjeżdżał nocą. Był w doskonałym humorze, śmiał się i żartował. Mówił, że będzie jeździł po świecie i poszukiwał prawdziwego miasta. Może będzie to Paryż, Londyn, Nowy Jork. Pogoda zapowiadała się dobra, miało się pod jesień, wymarzony czas na wyprawę w góry. Odtąd słuch o nim zaginął. Przepadł bez śladu. Zastrzeliła go straż graniczna, czeska lub nasza. Złapany po tamtej stronie przy próbie przejścia do Austrii. Obrabowany i zamordowany. Udało mu się i jest gdzieś w wielkim świecie. Pogrzebał dotychczasowe życie, zaczął nowe. Minęło już tyle, tyle lat i z rzadka któryś z tej dawnej paczki w pierwszej licealnej u ojców marianów na Bielanach, odezwie się raptem: „Pamiętacie Baroneta?...”

## 50. MARYNARZ

Nie będzie to opowieść o legendarnym szynkarzu z Brzeskiej, zwanym Marynarzem. Historia działa się po lewej stronie Wisły. To był nasz Marynarz, z Włoch. Byliśmy ludźmi na wskroś lądowymi, osadzonymi od pokoleń na monotonnej równinie mazowieckiej, gdzie nawet rzeki są mizerne i płytkie, a byłe wodne oczko nazywa się szumnie oceanem. Dlatego ludzie morza byli u nas w cenie. Sam pamiętam, jakim szacunkiem cieszyli się chłopaki od nas, którzy służyli w marwoju. Wpadali czasem na przepustkę w tych swoich szerokich, rozszerzonych dołem spodniach, pasiastych koszulkach i okrągłych, granatowych czapkach ze wstążeczkami. Dwóch czy trzech było takich wybrańców. Oni, ci ludzie morza, symbolizowali sobą odmienność, egzotykę, groźne żywioły, bezmiar wodnej przestrzeni bez granic, słowem, wszystko, czego nam brakowało.

Patrzyliśmy na tatuaże naszego Marynarza i od razu serca były nam gwałtowniej. Bo nie były to wzorki znane nam z doświadczeń poprawczaków, Gęsiówki i innych zakładów zamkniętych, te często powtarzające się motywy: sztylety, węże, kielichy, kalendarze, wschody i zachody słońca widoczne zza krat. Tatuaże Marynarza były zupełnie inne, wykonane fachowo i tak kolorowe, bajecznie kolorowe. Ta sztuka malarska pokrywająca jego tors i barki przedstawiała świat dalekich

mórz, innych ludzi, portów, egzotycznych zwierząt. Tak, zwierząt! Miał na piersiach kolorowego orangutana z Borneo i tygrysa z Bengal. Brzuch ozdabiał mu piracki żaglowiec z groźną załogą gotową do abordażu. Wszystko to nam objaśniał cierpliwie, podając czas i miejsce wykonania tatuażu. Gdzie on nie był? Opłynął Afrykę i zaznał groźnych sztormów tzw. ryczących czterdziestek w pobliżu przylądka Horn, zawijał do portów Angoli, Mozambiku, Kamerunu, Senegalu. Jeszcze była Azja i te gejsze w Jokohamie, palarnie opium w Hongkongu. Stasiak Marynarz po wojnie pływał na drobnicowcach, masowcach i tankowcach w brytyjskiej flocie handlowej. Nie tylko zresztą. Zmieniał armatorów i mustrował również na statki pod banderą Panamy, Liberii.

Był prawdziwym obieżyświatem, choć o swoich przygodach mówił bardzo powściągliwie, skapo, ale za każdym jego słowem kryły się bogate obszary doświadczeń. Nie lada zaszczytem było postawić wódkę Marynarzowi, i węglarze, furmani, bilardowi gracze w Knajpie u Dziadka w kolejce ustawiali się do niego. A on siedział samotnie przy tym małym stoliku w kącie, rosły chłop o nieruchomej, śniadej twarzy z dwiema bliznami, i dużą szramą na prawym policzku. Choćby ta śniados'ć jego twarzy, taka sama zimą i latem, wcale nie brała się z opalenizny słonecznej, była kolorem jego skóry. Dobrze było wypić z nim wódkę, mieliśmy wrażenie, że coś z jego przygód staje się naszym udziałem. Stasiak Marynarz bez szczególnego wysiłku zdobył wysoką pozycję w naszym miasteczku. Jednego miał tylko oponenta. Był nim Felek Piaskarz, który z wodą miał tyle wspólnego, że ciągnął piach z Wisły, i często wątpił w wiarygodność Marynarza.

— Tak nie mogło być — zaczynał. Ale od razu go uciszaliśmy. Nawet milicjanci z komisariatu pierwsi pozdrawiali Staśka Marynarza i sierżant Turczyn zobaczywszy go jak obsikiwał obfita strugą mur komisariatu, udał, że tego nieobyczajnego zachowania nie widzi wcale.

Stasiak Marynarz potrafił pokazać, co potrafi. To on przecież przeważał szalę naszego zwycięstwa z ferajną z Okęcia. Wpadli watahą do parku i buszowali jak u siebie, zaczepiając nasze dziewczyny i bijąc samotnych chłopaków. Chyba nie dalibyśmy im rady, gdyby nie odsiecz Marynarza. Wracał akurat z roboty i bez namysłu przyłączył się do nas. Szybki był jak nie wiem co i znał takie różne chwytty, uniki, ciosy. Pogoniliśmy kota tym z Okęcia.

Po zwycięstwie, dysząc ciężko, zapaliliśmy fajurki i postanowiliśmy pójść na jednego do Dziadka.

Stasiak Marynarz smalił cholewki do jednej z najładniejszych dziewczyn w naszym miasteczku, smukłej jak łania Alki, i nawet jej niedawni adoratorzy nie mieli do niego żalu, że zostali odtrąceni, uznali po prostu jego przewagę. Chodził z kliką do parku, na majowe do kościoła czy na pieśczoły nad gliniankę w gorące, letnie dni. Nikt mu w niczym nie przeszkadzał i choć nie przepadaliśmy za obcymi, Stasiak Marynarz został od razu przyjęty przez naszą małą zamkniętą społeczność. Dodawał nam skrzydeł, był przybyszem z dalekich mórz i kontynentów. Czuliśmy się wyróżnieni, że wybrał nasz świątek parterowych domków w ogródkach, gołębników, czynszowych ruder, glinianek, carskich fortów.

— Pasuje do nas — mówili węglarze z Tygrysem na czele, największym zabijaką w miasteczku. A kiedy nadjechała kolejka i wśród wysiadających na przystanku pokazał się Stasiak Marynarz, ci pod budką z piwem

zapraszali go tak serdecznie i gościnnie na kufelek piwa z pianką.

\_ Moi \_ wabili — Chodź! Po robocie należy się człowiekowi pracy wytchnienie.

#### 51. NASZ MECENAS

Adwokat był i będzie ważną personą dla obywateli mających kolizję z prawem. On to przecież potrafi wyprowadzić z niebezpiecznych odmętów grożących utratą wolności i latami więzienia. Mówi się na niego „papuga” i nie jest to zbyt trafne przezwisko. Przecież jego kunszt nie polega na ptasim powtarzaniu głupot, ale na wynajdywaniu odpowiednich prawniczych kombinacji, żeby wyciągnąć delikwenta z nieszczęścia. Na rozprawie sądowej za pomocą rozmaitych kruczków paragrafowych przeszkadss&umiejętnie prokuratorowi, który czyha jak sęp na oskarżonego i udowodnienie mu winy. Stosunki między adwokatem i klientem są oparte na wynagrodzeniu. Jeżeli nie masz szmalu, możesz wziąć sobie papugę z urzędu. Taki papuga nie będzie się za bardzo przykładał i choć obiecujesz mu złote góry po wyjściu na wolność, wytrawny jurysta nie wierzy w te puste słowa. \*

Ale nasz Mecenas to był zupełnie inny człowiek. Nasz człowiek. Tak można o nim powiedzieć i jest to szczerą prawdą. Od rana już wysiadywał w korytarzu Sądów na Lesznie przy szatni. Oparty o kontuar, gawędził z szatniarzem i czekał. Tu był jego gabinet. Znało go całe miasto i korzystali z jego porad doliniarze, włamywacze, bazarowi handlarze, farmazoniści, paserzy, alimen- ciarze. Nasz Mecenas był okazałym mężczyzną o czer

wonej twarzy i tubalnym, schrypniętym głosem. Nosił czarny, mocno wyświechtany garnitur i starą teczkę, obwiązaną sznurkiem. Często bywał nie ogolony i brudny z powodu trzydniówek.

— Jednak — powiadał — rzecz nie polega na wyglądzie. Trzeba mieć tu! — stukał się palcem w czoło. Rzeczywiście, jako prawnik był znakomitością: kodeksy, przepisy, ustawy miał w małym palcu i można było rozmawiać z nim szczerze, bez wstydu i pruderii. Był jak życzliwy spowiednik i rozmowy przeważnie odbywały się w przyjemnej, kawiarnianej atmosferze. Mecenas za kołnierz nie wylewał i wypiwszy dawkę na rozjaśnienie głowy, powiadał: „Sprawa trudna, pogmatwana, ale już ją wyprowadzę na prostą drogę”. Honoraria pobierał umiarkowane i naprawdę wiele spraw wyprowadzał na prostą. Jeden tylko był szkopuł: Mecenas nie mógł występować przed sądem, przed laty bowiem został skreślony z listy obrońców i odtąd przechadzał się już tylko po korytarzach sądowego gmachu. Tutaj na parapetach i ławkach pisał rewizje, zażalenia, odwołania. Niezwykle w tym biegły! W kwadrans potrafił kropnąć skomplikowane pismo, powołując się na właściwe paragrafy, artykuły, wcale nie sięgając do kodeksów i innych prawniczych ksiąg. Ponadto polecał skutecznych adwokatów do występów na sali sądowej. Dawni jego kolesie, wytrawne wygi, nakładali czarne togi z zielonymi lamówkami i stawali przed wysokim sądem. Natomiast nasz Mecenas często za sam tylko poczęstunek w knajpie podejmował się ratować człowieka w potrzebie i cieszył się jak dziecko, kiedy to mu się udało.

— Temida wyważyła wszystko jak najdokładniej! — obwieszczał zwycięstwo. — Przeważała szala niewinności. — Nasz Mecenas przejmował się kłopotami znajomych jak swoimi własnymi. Chciał jak najlepiej i, wychylając kieliszek za kieliszkiem, szukał właściwego rozwiązania.

Pewnego razu z kłopotem przyszedł do niego paser Repeta i zaprosił Mecenasa do „Dzika” na wystawne śniadanie. Już przy kawie i likierach nasz obrońca oświadczył, że tym razem sprawa jest wyjątkowo trudna i będzie go bronił osobiście. Repeta, nie wyznając się w tym, czy Mecenas naprawdę jest sądowym obrońcą, zgodził się ochoczo i dorożką zajechali pod pałac Temidy. W hallu Mecenas przystanął i rozejrzał się bacznie. Ciżba wielka w tym młynie, pędzili we wszystkie strony zaaferowani ludzie.

Mecenas zatrzymał siwego, eleganckiego pana, z togą przewieszoną przez ramię. Przywitali się serdecznie, ściskając sobie prawice.

— Kopę lat! — powtarzali — kopę lat! Mecenas spojrział na zegarek i wykrzyknął: „Horrendum! Zaraz termin. Jestem pierwszy z wokandy!”

Poszeptał z siwym panem, który po chwili wahania wręczył mu swoją togę. Narzucił ją na siebie i w tej czarnej szacie obszytej pasemkiem zieleni wyglądał bardzo majestatycznie. Pociągnął za sobą pasera Repetę i obaj wkroczyli do sali rozpraw.

Sąd składał się z otyłej kobiety ze złotym łańcuchem na piersi i dwóch ławników w wieku dziadków.

Mecenas natychmiast zaczął swą obrończą mowę. „Ja w imieniu mego klienta niesłusznie posądzonego...” Wielka to była mowa. Grzmiał i gestykułował. Wysoki sąd patrzył na niego ze zdumieniem. Nasz Mecenas bowiem wcale nie mówił o konkretnej sprawie, lecz o prawie w ogóle i swojej roli jako herolda praworządności. Sypał łacińskimi sentencjami, powoływał się na znakomitości ze świata naszej i obcej palestry, cytował ich wypowiedzi.

— Proszę pana! — usiłowała przerwać mu sędzia.

— Ale w jakim charakterze pan tu występuje? — przerzuciła akta rozłożone na stole, pokrytym zieloną materią. |i- Przecież nie ma tutaj żadnego pełnomocnictwa!

— Drobiazg! — machnął niedbale ręką Mecenias.

— Tu idzie o czysty, nieskalany majestat jurysprudencji i wiarę maluczkich w jej niezłomną sprawiedliwość.

A kiedy do sali wkroczyła już mundurowa władza i schwyciła go pod rękę, nadal przemawiał. Ciągnęli go z dużym wysiłkiem, wrywał się i wierzgał nogami.

— Lex! — wołał jeszcze w drzwiach. — Moja jedyna miłości!

Kochał prawo nasz Mecenias i nigdy nie pogodził się z bolesnym faktem pozbawienia go możliwości występowania przed sądem.

Głowę miał coraz słabszą i jego pisma procesowe zaczęły odznaczać się dużą niedbałością, mieszały mu się artykuły i paragrafy, kodeks cywilny z karnym. Zapominał myśli przewodniej i natarczywie żądał wódki na rozjaśnienie ciemności w umyśle. Tracił klientelę. Niektórzy z dawnego sentymentu stawiali mu kielicha i opowiadał im o słynnych procesach, w których występował jako wschodząca gwiazda adwokatury. Słuchano go z przyjemnością, ale wiary za bardzo nie dawano. Najchętniej przesiadywał w starym „Kopciuszku” i kiedy kamienicę, w której parter zajmowała kawiarnia, przeznaczono do rozbiórki, Mecenias został bez swojego ulubionego miejsca.

— Był już w zaniku jak tamte mury — ktoś go wspomina. — Widywałem go jeszcze tu i tam. A potem przestałem widywać.

Tak to rozpływają się dawni ludzie. Ze stanu stałego przechodzą w płynny, następnie parują i ślad po nich nie zostaje.

## 52. PANEGIRYK O PSACH

Nie o tych rasowych, ufryzowanych pudelkach, strzyżonych foksterierach, rodowodowych bokserach, spanielach. O zwykłych kundlach, mieszańcach pokracznych, kombinacjach groteskowych. O tych wszystkich pieskach z podkreconymi ogonami, łaciatych, kosmatych, w których kształtach i urodzie widać nieoczekiwane efekty, jakie daje mezalians arystokratycznej, pańskiej rasy z bardzo niskiego pochodzenia gminem.

O tych Reksiach, Asach, Puskach i Muszkach, które wiernie ze swoimi panami wystają w bramach, asystują cierpliwie przy ulicznym i bazarowym handlu. Towarzyszą ślepcom, żebrakom, zapędzonym pijakom i znoszą z miłością niewyczerpaną ich złe humory, napady złości, okrucieństwa. Będzie to panegiryk o psiej wierności, lojalności i mądrości.

Nieraz przecież widzimy te pary psio-ludzkie pogrążone w silnej symbiozie. Oto stary człapak siny od nadmiaru używanych trunków. Wystaje w cieniu bramy, krzepi się „browarem”. Jego czworonożny towarzysz, wielorasowiec o siwym pysku, przysiadł w pobliżu i mądrym, doświadczonego okiem lustruje stan trzeźwości swego pana. Przyszli kompanioni, złożyli się na flaszkę, idą w zaciszne miejsce. Krzywonogi, niski i długi kundel, przypominający krzyżówkę jamnika z buldogiem, wyprzedza towarzystwo i biegnie, po-

180 Marek Nowakowski

szczekując wesoło. Doskonale wie, gdzie oni podążają. W te krzaki, chaszczę, co zarastają zboczę przy wiadukcie kolejowym. Pies ma tam swoje ulubione miejsce, ułożył się w kotlince wśród wysokiej trawy. Przewiduje rozsądnie, że tutaj będzie dłuższy popas. Zapada w słodką drzemkę, której nie przerywają coraz bardziej bełkotliwe głosy trunkowego grona. Poznał zwyczaj i słabości swego pana i jego przyjaciół. Czyż nie godny jest uwiecznienia ten żółty brytan, który prowadził ślepcę i razem z nim tkwił na żebraczych posterunkach w śródmieściu? Kiedyś w skwarze upalnego południa ślepiec przysnął i sprytny, młodociany złodziejasek już sięgał do jego puszek z datkami od litościwych przechodniów. Pies również spał, ale bardzo czujnie; natychmiast podniósł łeb i zawarczał złowrogo. Wyciągnięta do puszek ręka znieruchomiała i zaraz cofnęła się strachliwie. Uciekał złodziejasek co sił w nogach. A ten podobny do szpica, puchaty kundelek, który towarzyszył całe lato starej handlarce pumeksem i bagnem na mole. Spożywali oni wspólne posiłki. Kobieta dzieliła chleb na pół, także kielbasę czy boczek, i część gorącego jedzenia, zupy, pierożków przekładała z blaszanej bańki do psiej miski. Sprawiedliwie, co do kęsa, dzieliła się ze swoim towarzyszem.

Żeby nie popaść w rzewny sentymentalizm, nie będę już rozpisywał się o malutkiej suczce imieniem Iskierka, która po śmierci swej pani, wdowy po węglarzu Zawisłaku, nie chciała opuścić mogiły na bródnowskim cmentarzu.

Wypada jeszcze wspomnieć o czarnym, wielkim psie beznogiego Przybysza. Przybysz na inwalidzkim wózku stał zawsze w bramie przy rogu Mokotowskiej i placu Trzech Krzyży. Pies przy nim. Tak od lat. Przybysz był wściekłym, brutalnym mężczyzną. Nie lubił ludzi. Ani mężczyzn. Ani kobiet. Tylko z psem rozmawiał czule i tak gładził go po grzbiecie, drapał w uszy. Pies poszczekiwał cienko z zadowolenia. Nie wiadomo, co stało się z czarnym psem po śmierci Przybysza.

Pod domami handlowymi Centrum siedzi często stary człowiek, a obok niego na materacyku spoczywa równie stary pies. Tekturka nad żebraczą puszką opatrzona jest kulfoniastym pismem, informującym, że stary człowiek zbiera datki również na utrzymanie swego starego psa. Pies wygląda na bardzo zadbanego i nie można przejść obok nich obojętnie, nie wrzuciwszy jakiejś monety do puszek. Te symbiozy ludzi i zwierząt zawsze bardziej widoczne były na przedmieściach, w wąskich, cienistych uliczkach, wśród parterowych domów w ogródkach, placyków i glinianek z pochyłymi wierzbnami na brzegach. Ludzie tam byli zasiedzali od pokoleń i życie toczyło się wolniej. Kurczą się stare enklawy, zmienia się oblicze metropolii i nowi ludzie w nowym mieście godnie spacerują ze swoimi rasowymi czworonogami i są zupełnie niepodobni do dawnych psiarzy.

Wystarczy jednak zamknąć oczy, wysilić nieco pamięć, żeby zobaczyć korowody psów różnej maści, wielkości i urody. Towarzyszą wiernie ludziom w ich życiowym znoju. Biegną za furmankami. Ostrzegają śpiących w rowach pijaków przed złodziejami. Bronią bezradne staruszki przed bandziorami, wykazując często przy swej fizycznej znikomości lwie serce do walki i niebywałą odwagę. Z wyrozumiałością znoszą złe humory swych właścicieli, bite i kopane bez powodu, tylko patrzą smutno i skomlą z bólu. Wierność, miłość, oddanie na dobre i złe zaiste imponujące! Kundlom przede wszystkim poświęcamy cały tekst.



### 53. OSTATNIM CZYŚCIBUTOM

Dawno temu pod hotelami pokazywali się posłańcy, starsi przeważnie mężczyźni, w okrągłych czapkach z czerwonym otokiem. Posyłano ich w różnych mniej i więcej dyskretnych misjach. Z kwiatami, romansowym liścikiem i w celach bardziej przyziemnych, choćby z groźnym przypomnieniem o upływającym terminie zwrotu pożyczki.

Na dworcach widywało się krzepkich, pleczystych bagażowych, też w więcej niż średnim wieku, którzy sprawnie dźwigali walizy, nesesery, kufry, i wielość bagażu, jaką chwyтали w dwie ręce, była imponująca.

Najdłużej z ginących zawodów przetrwał czyścibut. Przedstawiciele tej profesji latami utrzymywali swe posterunki pod „Bristolem”, „Polonią” i później przed wejściem do „Grand Hotelu”.

Ekwilibrystą zawodowego wdzięku był maleńki żwawy człowieczek pod „Polonią”. Jak śmigają jego ręce i z jaką szybkością zmieniał szmatki, szczoteczki, irchy, futerka! Z jakim szykiem owijał dokoła dłoni wąski pasek flanelki i przeciągał do lustrzanego połysku czarne golfy z dziurkowanymi wzorami, solidne, wiśniowe półbuty kupców i rzemieślników na wysokim obcasie, lakierki lokalowych elegantów, oficerki konspiratorów i ubowców, czólenka i szpilki dam lekkich i ciężkich obyczajów. Zgięty w kabłąk, czasem w kucki, ki cał niby zając przy butach. Z hotelowej pakamery wysuwał z pomocą portiera drewniany, obity skórą fotel- -tron i na nim siadywali klienci. Pracując, mówił nieustannie. Miał swoich stałych klientów. Na przykład handlarz złotem, zwany Głową, czy iluzjonista Balsamo korzystali z jego usług codziennie. Głowie podawał informacje o aktualnych zagrożeniach w postaci nalotu tajniaków na kawiarnię. Sławnemu iluzjoniście zaś przekazywał, co o nim mówił Nemo, jego konkurent w sztuce iluzji. Wiedział, co komu powiedzieć. Wiedział też, kiedy należy trzymać głowę na kłódkę. Dla zapewnienia sobie życzliwości władzy milicjantom z pobliskiego komisariatu czyścił buty gratisowo. W swojej skrzyneczce na szczotki i pasty trzymał także papierosy amerykańskie na sprzedaż i w razie nagłej potrzeby przechowywał papierowe i złote dolary handlarzom zagrożonym przez nagły nalot tajnych służb. Człek to był bywały, oko miał bystre i wiedział niemało. Toteż zrobiło się naprawdę smutno, kiedy przestał już przychodzić na posterunek pod „Polonię”. Zastąpiły go automatyczne maszyny do czyszczenia butów ustawione na korytarzach w hotelu.

Znacznie dłużej, bo do późnych lat siedemdziesiątych, przetrwał ten drugi czyścibut, równie mały i ruchliwy człowieczek pod „Grand Hotelem”. Nawet Arabowie chętnie korzystali z jego usług. Był taki czas bowiem, kiedy kawiarnia „Grandu” nabrała charakteru orientalnego i wielu arabskich gasterbeiterów z Zachodniej Europy do nas przyjeżdżało na erotyczne łowy. Arabowie lubili połyskliwe garnitury, obwieszali się tanim złotem i dbali o wysoki połysk butów. Czyścibut swoje czynił, ale mało co z nimi rozmawiał. Najchętniej wdawał się w ożywione pogawarki z kilkoma stałymi klientami, trunkowymi bywalcami baru i restauracji. Był to człowiek pożyteczny i życie, które toczyło się

184 Marek Nowakowski

wokół podlegało bacznej jego obserwacji. Wartość tej wiedzy doceniali niektórzy z hotelowych gości. Zanikł raptownie jak tamten pod „Polonią”. Ale artystyczną sztukę polerowania butów uprawiał aż do swego zgonu aktor S., przedwojenny amant sceny, przedwcześnie uzależniony przez demona trunków. Pod koniec swego znojnego, alkoholycznego żywota pijał spirytus salicylowy i stale wizytował aptekę na Marszałkowskiej w pobliżu bocznej uliczki Ks. Ignacego Skorupki. Pani magister miała słabość do niego i nabywał tam po kilka buteleczek medycznego alkoholu. U siebie w mieszkaniu przyjmował chętnie swawolnych gości i kiedy oni pili i baraszkowali z panienkami, aktor S. w przedpokoju czas spędzał pracowicie, czyszcząc swoje i cudze buty. Pracował fachowo, jego pokręcone reumatyzmem palce nabierały niezwykłej elastyczności i najbardziej zniszczone, ubłocone buciory zamieniały się pod jego czułą ręką w lustro.

Dla bezinteresownej przyjemności kontynuował aktor S. zapomniany kunszt czyścibutów i czar tej pasji można docenić dopiero po latach.

#### 54. OKOPY ŚW. TRÓJCY

Tyle było miejsc, w których bywali ludzie miasta. Dla porządku należy zacząć od tych najdawniejszych, tuż powojennych. A więc „Polonia”, „Canaletto”, „Huragan”, „Stara Baśń”, „Kopciuszek”, „Bunkier” Gajewskiego.

Później „Kameralna”, w trzech swoich postaciach na Foksal i Kopernika, była przystanią tak popularną, że jej czary i uroki dotychczas wspominają z nostalgią dawni bywalcy. Na placu Trzech Krzyży zaś latami istniały kawiarnie\* gdzie rytualnie zbierali się malarze, karykaturzyści<sup>^</sup> poeci, pisarze. Niezapomniany „Lajkonik”, „Antyczna” czy kawiarnia Galińskiego, jak się mówiło, przechowując pamięć przedwojennego właściciela, choć lokal dawno został upaństwowiony.

Charakter specyficznego klubu mężczyzn długo utrzymywała nowa „Szwajcarska” przy zbiegu Chmielnej, Zgoda i Brackiej. Długi bar z widokiem na ulicę ściągał w godzinach popołudniowych handlowo-szem-rane miasto. Zachodził tu „Dziad” Szaniawski, wiekowy człek, trudniący się pośrednictwem i pożyczkami. Prywaciarze, niebieskie ptaki, utracjusze. Barwne grono wielkomięjskich typów bawił facecjami bard trunkowej Warszawy, Lolek Antoniewicz. Widząc to dostojne gremium i otaczającą starców młodzież można było mieć nadzieję, że stara Warszawa, jej obyczajowość,

specyfika nie zaniknie, zostanie przekazana w godne ręce. Działał krwiobieg i młodzi z uwagą słuchali starszych, nie było zasadniczych różnic w regułach postępowania jednych i drugich. Podobną rolę soczewki skupiającej „całe miasto” spełniała restauracja Domu Chłopa i kawiarnia na piętrze tegoż gmachu.

Chłopskość nie była w modzie, ale Dom Chłopa przyjął się w miejskim pejzażu i w otoczeniu szaracz- kowej świty perorowali tutaj ze swadą znani fortunaci i birbanci, tacy jak Stasiak Łopuczyński, Rysiek Mrozek i inni. To były ostatnie okopy św. Trójcy. Broniły miasta przed zalewem wrażej obcości, nowej, niewar- szawskiej dominacji.

Na wyższym szczeblu zamożności, upodobań i snobizmu takim portem, do którego się przybijało, był hotel Europejski z jego barami na dwóch rogach. Hotel nawiedzali malarze z pobliskiej Akademii z Tadeuszem Dominikiem na czele i atmosferę gastronomiczną uskrzydlała sztuka. Jasiu Kiwi, zasłużony pracownik ministerstwa kultury, znosił plotki z różnych kręgów towarzyskich, malarz Wojtek Koszewski bawił świetnymi gawędami, a Krzyś Wiktorczyk politykował niestrudzenie. Również restauracja, kawiarnia i bar hotelu „Bristol” były ulubionym miejscem spotkań i tam słyszałem arystokratę w wieku matuzalema, który wspominał hulanki oficerów rosyjskiego pułku lejbgwardii przed I wojną światową!

Młode kelnerki słuchały go z dużym zainteresowaniem.

Było, minęło. Nie ma już kawiarni Galińskiego, „Lajkonik” zepsiał zupełnie. Dawno zniknęła „Szwajcarska” i Dom Chłopa przestał przyciągać. „Bristol” to teraz hotel dla bogaczy i po remoncie zasadniczo zmieniła się architektura jego wnętrza.

Dawni bywalcy, obecnie starsi panowie, przechodząc tu i tam patrzą spłoszonymi oczyma — nie ma ich ulubionych lokali.

Czy młode generacje mieszkańców miasta wymoszczą sobie jakieś trwałe gniazda, do których będą podążać jak do Mekki, tak jak poprzednie do Kameralnej? Kawiarnia „Literacka” na pl. Zamkowym, pub przy Oboźnej i piwnica architektów na Koszykowej sprawiają wrażenie lokali odwiedzanych przez stałych bywalców. A może to tylko efemeryczne, przemijające mody i nigdy już żadna kawiarnia, knajpa nie stanie się wieloletnią przystanią, emanującą własną legendą, mitologią.

Nadchodzi koniec wieku i coś zapada się ostatecznie. Żyjemy w chaotycznym, gorączkowym pędzie, zachłystując się różnymi modami, nowinkami, czadami z zewnątrz. Żeby to nie był bieg donikąd.

PS. Głosa do Powidoku „Warszawiak pilnie poszukiwany”. Napisał pan A. Kozdrak: „Dzięki za pamięć o Indianach w Warszawie. Tak przedstawić «farbo- wanego» warszawiaka jak Pan to zrobił to duża frajda i święta prawda. Na pocieszenie jeszcze trochę Indian w Warszawie zostało. Z poważaniem Indianin A. Kozdrak”. Dowcipnie pan Kozdrak trzyma sztandar nielicznych warszawiaków w Warszawie.

### POWIDOKI 3

lodowe sope obrastają takielunek. Niewypowiedziana rozkosz odpoczynku w kambuzie po sztormowej wachcie kubek gorącej kawy, zdrewniałe ciało wraca do życia. Siedzą przy stole, kołysze się lampa, kołysze się wszystko, sztorm trwa nadal, stękają wręgi kadłuba, a oni gawędzą leniwie. Najważniejsza wtedy dla mnie była historia małego Kunga, chłopca okrętowego. Jego ukochanie morza, marzenia o egzotycznych wyspach, południowych oceanach. I coś smutnego, niezwykle tragicznego stało się z tym Kungiem, chłopcem z kaszubskiej wioski na bałtyckim wybrzeżu. Opowiadałem swoimi słowami o Kungu i moja siostra miała łzy w oczach. Kung stał się moją specjalnością i zawsze wyciskał łzy dziewczynom.

Zapamiętałem nazwisko autora tej przypadkiem zdobytej książeczki: Mariusz Zaruski.

Dopiero znacznie później przeczytałem inną książkę tego autora, *Z harcerzami na Zawiszy Czarnym*. Dowiedziałem się trochę o Mariuszu Zaruskim, marynarzu, oficerze rosyjskiej floty, generale Wojska Polskiego, organizatorze harcerskiego żeglarstwa i taterniku, który dokonał wielu zimowych wspinaczek w Tatrach i był twórcą ratownictwa górskiego.

A już w latach sześćdziesiątych odwiedziłem wdowę po generale Zaruskim w Warszawie na Żoliborzu. Chuda staruszka o bardzo wyrazistej bladej twarzy, z czarnymi oczyma. Przypominała kobietę z Południa, Hiszpankę, Włoszkę. Dlaczego kobieta z Południa? Tu znów działają fluidy z książeczki o morzach Północy. Mariusz Zaruski pływał wiele lat w rosyjskiej flocie handlowej i mogli po jakimś rejsie zatrzymać się w Genui, Kadyk- sie, Lizbonie... Mieszkanie pełne było starych fotografii, przedmiotów, pamiątek po mężu, który zmarł w sowieckim więzieniu w 1941 roku. Ciemnowo, cicho i tylko przeszłość zaklęta w dagerotypach na ścianach.

Była to niewielka, pożółkła ze starości książeczka. Karty nie trzymały się grzbietu i rozsypywały się w palcach. Może odkładkę zdołał żaglowy szkuner? Wynałazłem ów tomik wśród innych równie starych książek z podartymi i postrzępionymi kartkami, często bez okładek i bez początku i zakończenia, zalegających stosem na strychu kamienicy pani Wilczyńskiej. Z wnuczką właścicielki zakradaliśmy się na strych i był to nasz świat tajemnic. Zdobycz schowałem za pazuchę i już wieczorem zacząłem czytać opowieści o morzach północy; lodowate sztormy, trzeszczą reje i wanty, potężne fale przewalają się przez pokład. Czy nie zmyło wtedy kogoś? Coś dramatycznego w walce z żywiołem szczególnie przykuło moją uwagę. Majtek wdrapywał się na bocianie gniazdo najwyższego masztu i jego karkołomna wspinaczka zapierała dech w piersiach. Poślizgnął się, spadł, pochłonęło go rozszalałe morze. Nie pamiętam. Próbuje uchwycić poszarpaną mgławicę przechowywanych przez kilkadziesiąt lat wrażeń. Sylwetki miczma- nów, matów, szyprów. Załoga to międzynarodowa mieszanina. Rosjanie, Finowie, Szwedzi, nawet Chińczyk, żółtek z zagadkowym uśmiechem wiecznie przyklepionym do twarzy. Pływali wysłużoną łajbą gdzieś między Murmańskiem i Norwegią może. Zapamiętałem najwierniej atmosferę surowej Północy, przenikający ziąb,

55. OPOWIEŚCI Z PÓŁNOCNYCH MÓRZ

Wizyta u wdowy zamknęła przechowywaną w pamięci opowieść o „Kungu, który był rodem z okolic Gdyni”. To chyba dosłownie z książki Mariusza Zaruskiego. A może wszystko, co piszę o tych północnych opowieściach, jest czystym wytworem mojej imaginacji? Książeczkę Mariusza Zaruskiego posiadałem tylko przez kilka lat, potem zniknęła. Nigdy nie próbowałem przeczytać jej ponownie. Choć mogłem przecież pójść do Biblioteki Uniwersyteckiej, Narodowej. Nie poszedłem.

#### 56. ACH, CO TO BYŁ ZA ŚLUB!

Taka była jego droga od dziecka. Chował się w wielkiej spizarni i wszystkie kaski miał pod ręką. Dom rodzinny zawsze pełen gości i wystawnych przyjęć. Mieszkali na Pelcowiznie i uchodzili za najzamożniejszych w swojej dzielnicy. Fach rzeźniczy przechodził u nich z pokolenia na pokolenie i masarnia jego ojca, Szczepana, cieszyła się najlepszą renomą. W sklepie nigdy nie brakowało klientów. Przyjeżdżali nawet z drugiej strony Wisły po salceson brunszwicki i pachnącą szynkę z białym kołnierzykiem tłuszczu. Wszyscy mężczyźni tego rodu byli tędzy, rozrośnięci nie tylko w ramionach, ale i w kałdu- nach. Kobietom też nic nie brakowało.

— Swiniobójcy! — szeptano po kątach i opowiadano niestworzone bajdy, jak to zaraz po zaszlachtowaniu wieprzka czy cielaka objadają się surową wątrową, zapijając bimbrem i świeżą krwią na przemian. Oni śmieli się pobłaźliwie z tych gadek i oczy utopione w tłuszczu byszczały im jak ślepia tych zwierząt, które uśmiercali niezawodnym fachowym ciosem noża, podstawiając misy pod spływającą posokę. Lubili po każdym świniobi- ciu podjąć sobie i popić. Pierworodny rzeźnika Szczepana zapasiony został od maleńkości i żarł najwięcej z rodzeństwa.

Potrafił dwa schabowe wielkości średniej patelni wrębać, nieraz jeszcze dorzucał smażone nereczki z ce-

bulką i wkrótce znów był głodny. Jego nienasycony organizm wciąż domagał się tłustego, mięsnego pożywienia. Jeżeli chodzi o rozmiary brzucha, to jako kilkuletni chłopak już był lepszy od ojca, nie mówiąc o młodszych braciach. Istna baryła z księżycową gębą, nieustannie poruszał szczękami. To pochłonał pętko kabanosów przed śniadaniem, to półmisek nóżek w galarecie na przekąskę przed obiadem. Najbardziej kochał się w golonkach i mógł tego mięsiwa obrośniętego trzęsącym się tłuszczem na grubej knadze zjeść całą górę. Już w szkole co chudszy nauczyciel potrafił zagapić się ze zdumieniem na jego potężne kształty rozsadzające ubranie.

Jadał także słodczyce, ciasta przetykane kremem, sę- kacze oblane czekoladą i pączki, ale nade wszystko był mięsożercą. Cały ród był taki. Wystarczyło rozejrzeć się u nich po urodzinowym, imieninowym czy na inną okazję przygotowanym stole. Te schaby gotowane, pieczone, duszone, te kotlety, zrazy, boczki ze złotą, przyrumienioną skórką, żeberka w sosie, ozory, podgardle oraz półmisy pełne różnorodnych wędlin. Wszyscy oni jedli tego i z wielkim namaszczeniem. Nabożna cisza panowała przy stole, przetykana jedynie mlaskaniem i chrzęstem. Czasem im się odbiło i brzmiało to jak echo w studni. Patriarcha rodu, wysuszony dziadek, ale wysechł dopiero tuż przed osiemdziesiątką, nadal pochłaniał niemało, choć cierpiał na chroniczne rozwolnienia i po kilka razy musiał wychodzić. Cała rodzina żartowała z dziadka i tak powiadali bez złośliwości: „Aqua destilata! Tu wiata, tam wylata!” — Że co? — dopytywał się głuchy dziadek.

Mogli tak jeść i pić bez ograniczeń, bo powodziło im się nadzwyczaj dobrze. Czas był powojenny i jeszcze nie zaczęli wyduszać jak robactwa prywatnej inicjatywy. Mogli jeszcze handlować bez obawy domiarów, rewizji i odsiadek. Ojciec z matką razem prowadzili interes, w którym pracowała tylko rodzina. Wszystko trzymało się kupy i mieli ambitne plany rozwoju firmy. Zamierzali otworzyć filie na Targowej i po drugiej stronie Wisły. Na podwarszawskiej, mahoniowej trasie do Otwocka nabyli dużą parcelę z sosnowym laskiem i piętrowy, drewniany letniak z dwiema werandami i dwoma balkonami. Tam latem w wolne dni wdychali sosnowo- -piaskowe powietrze i regenerowali siły. Pierworodny dojrzewał, męźniał i nabierał tłuszczu. Nade wszystko nabierał tłuszczu i narosły mu już ze trzy podgardła, fałdy na piersiach wielkości damskich cyczków oraz brzuch, który mieścił się tylko w najobszerniejszych portkach podtrzymywanych szelkami. W rodzinie jego tusza nie budziła niepokoju, wprost przeciwnie: uważali go za chłopa na schwał i wedle tłuszczu i wagi wysunął się na pierwsze miejsce. W fachu wprawiał się od lat chłopięcych i już posiadał umiejętności nie przynoszące wstydu rodzinnej tradycji. Potrafił bez najmniejszego partactwa zaszlachtować wieprza czy jednym ciosem młota ogłuszyć cielaka. Dawał sobie lekko radę z rozbieraniem tuszy, oddzielając zręcznie polędwicę, kar- kówki, górkę i inne części mięs. Siłę miał należytą i świńskie połówki bez wysiłku wieszał na hakach. Co najważniejsze lubił to zajęcie i ojciec cieszył się z następcy. Śmierć dziadka — symbolicznej głowy rodu — nie była bolesnym wstrząsem dla bliskich. Tak bardzo był wiekowy i zgasł spokojnie we śnie, spożywszy uprzednio obfitą wieczerzę, w tym poć boczku posmarowanego musztardą, i zażądawszy stakana bimbrow, którego mu nie odmówili. Po pogrzebie odbyła się huczna stypa, gdzie życie wzięło górę nad śmiercią i rodzice uznali zgodnie, że nadszedł czas, żeby ich pierworodny pomyślał o założeniu rodziny celem rodu rozmnożenia. Dziewczynę mieli upatrzoną, pochodziła z zacnej i za

możnej familii, która prowadziła interesy budowlane. Było to zajęcie zyskowne, budowali się przecież ludzie po zniszczeniach wojennych. Pierworodny nie był prawiczkiem, obyty w damsko-męskich tajemnicach, choć nie chojrakował szczególnie w tej materii. Chodził z koleżankami na zabawy do remizy straży pożarnej czy do nocnej „Oazy” na Targowej. Często jednak tak mu się przytrafiało, że objedzony i opity jak bąk zasypiał i jego wybranka siłą rzeczy rozglądała się za innymi. Wcale to jednak nie oznacza, że pozbawiony był męskiej potencji. Miał ją w normie, tylko nie kwapił się do zbytniego szafowania tym darem.

Decyzja została podjęta na stypie po dziadku i głowy dwóch rodzin dogadały się bez trudności. Z jednej i drugiej strony była to dobra partia. Nawet fizycznie dziewczyna przedstawiała podobne walory, co pozwalało przypuszczać, że z wiekiem stanie się masywną matroną. Tusza i apetyt czyniły ją mniej ognistą niż inne dzierlatki w tym wieku. Jej oczy podczas potańcówek szybko zachodziły mgłą senności i porywiste rytmy samby, tanga i jazzu nie wytrącały jej ze słodkiego letargu. Oboje młodzi przystali na siebie z bierną zgodnością.

Narzeczeństwo przebiegło według uświęconego tradycją zwyczaju. Dali na zapowiedzi i w przewidzianym terminie stanęli na ślubnym kobiercu. Młodych pobłogosławił proboszcz i nałożyli sobie na serdelkowate palce ślubne obrączki. Były organy i piękne śpiewy chóru. Zapalono wszystkie światła i rozłożono długi dywan. Po ceremonii nowożeńcy odjechali do weselnego domu oplem, ozdobionym girlandami i balonami. Ażeby opisać stoły uginające się od jadła i napojów, trzeba by pióra przedniego znawcy kulinariów.

— Gorzko, gorzko! — towarzyszyło młodym przy pocałunkach. Był to zaiste wspaniały koncert obżarstwa i opilstwa. Wśród gości wyróżniali się rzeźnicy z Kar czewa, miasteczka słynącego z wyrobu kiełbas. Byli to wytworni weselni wodzireje. Ale nawet oni patrzyli ze zdumieniem na możliwości pana młodego, który tyle pochłaniał jedzenia i ciągle zdawał się być nienasycony.

Finał nastąpił podczas kolejnego „Gorzko, gorzko!” Pan młody akurat ogryzał kawał pieczonej kaczki, ocierał palce w serwetę i walczył z pieczyстым. Pochylił się do swej ślubnej, wyciągnął ręce pragnąc objąć jej obfite kształty i nagle wstrząsnął nim silny dreszcz, konwulsja jakaś. Poczzerwieniał, oczy wybałuszył niby głębinowa ryba i zerwał się od stołu, trzymając się oburącz za pierś. Charczał i dziwnie chyżo jak na swoją wagę wybiegł z izby. Jego rejteradę przyjęto gromkim śmiechem. Pewno wezbrało w nim i zapragnął zrzucić. Przypadłość taka zdarza się nieraz przy stołowych okazjach. Pan młody nie pobiegł jednak na podwórze, lecz pognało go na górę. Kiedy tam wbiegał, trzeszczały schody pod jego ciężarem. Ponieważ długi czas do stołu nie wracał, ruszyli na poszukiwanie družbowie.

— Co ten psi syn sobie myśli? — zezłościł się ojciec, szarpiąc dewizkę kieszonkowej omegi.

Pana młodego znaleziono na strychu między starymi wagami, dziecięcym koniem na biegunach i stoczonym przez korniki kredensem. Leżał w embrionalnej pozycji, z podkurczonymi nogami. Był już z niego nieboszczyk. Twarz mu wykrzywił wyraz bezgranicznego zdumienia. Miał prawo w tej ostatniej chwili doznać zaskoczenia, bowiem płaska kość z tłustej, szerokopiersistej kaczki stała się przyczyną dramatu. Zadławił się biedaczyna kosztnymi cząstkami ptaka, które utkwily mu w tchawicy, i w ten sposób ducha wyzionął.

Tak oto wszystko w łeb wzięło. Nie tylko to zresztą. Komuna dusić zaczęła prywatną inicjatywę i nic nie wyszło z ambitnych, rozwojowych zamierzeń. Masarnia ledwo dyszała i zamknąć ją musieli. Przeszli na pań- stwówkę. Dalsze ich losy to już inna historia.

## 57. PUGILARES

Opowiadał pewien złodziej, jak został złodziejem. Był już nicponiem, ale jeszcze nie kradł. Wcale nie przychodziło mu to do głowy. Pracować mu się nie chciało, ale jakoś dawał sobie radę. Bez troski ptak. Był dzieckiem Pragi i od dziecięcych lat zadomowił się na bazarze. Pomagał handlarzom przy transporcie towaru, razem z nimi otwierał budy, zdejmując ciężkie sztaby i rozsuwając okiennice. Cynkował trochę tym cwaniaczkom, którzy naciągali frajerów, grając w trzy karty, i ostrzegał o zbliżającym się niebezpieczeństwie lub grał i wygrywał na wabia. Zawsze jakieś pieniądze dostawał, głodny nie chodził i wypitka trafiała mu się nieraz.

Ale wtedy naprawdę był głodny. Ssało go w brzuchu i nawet papierosa nie miał. Nic mu się nie przytrafiało, żadna fucha. A ponieważ bazar to nie jest instytucja filantropijna — stał w przechodniej bramie i ponurym wzrokiem obserwował ludzi. Szczególnie tych nadziejących, co to z forszą nie potrzebują się liczyć. Zadbanych, nażartych, z papieroskami w gębach. Kłula go zawiść. Zatrzymała się taryfa i wysiada z niej powoli gruby, elegancki gość. Jesionka miękka, z flauszu, żółte renifery na łapach. Ściąga jedną taką rękawiczkę i dłoń do kieszeni spodni wsadza. Pogrzebał i wyciąga banknot. Nie chce reszty od kierowcy. Panisko. Jak tak z kieszeni grubymi paluchami (jeden ozdobiony sygnetem) papie rek wyciągnął, to coś czarnego, połyskliwe wysunęło się stamtąd i upadło na krawędź trotuaru. Taksówka odjechała. Gość dostojnie skierował się w stronę wejścia do bazaru. A jemu serce zabiło gwałtownie! To coś czarne i połyskliwe pozostało na chodniku. Poderwał się jak drapieżnik i zbliżył się powolnie na napiętych nogach. To był skórzany pugilares. Jeszcze mały krok i przydeptał butem zdobycz. Pochylił się, poprawił sznurowadło i zagarnął. Miękka, delikatna skórka. Wypchana. Zaciągnięta na suwak, z boczną kieszonką też na suwak. W zaciszu bramy otworzył pugilares i jego rozczarowanie było ogromne. Była to sakiewka wypełniona fajkowym tytoniem. W bocznej kieszonce zaś znajdował się metalowy przyrząd do oczyszczania fajki. Rozczarowanie przerodziło się we wściekłość. Popędził susami na bazar i potracając ludzi zdołał jeszcze wypatrzeć grubego eleganta. Daleko nie zaszedł. Poruszał się tak powolnie, ociężale. Przystanął przy budzie z damskimi futrami. Oglądał kołnierze, błamy. Gładził futro, przesuwał palcami pod włos. Może prezent chciał kupić dla żony, kochanicy. Z rozpiętej flanelowej jesionki sterczał mu brzuch. Zapamiętał, że kieszeń z forszą była w lewej kieszeni spodni. Tłum sunący wąską uliczką między straganami napierał na grubego eleganta. Tak samo na niego. W pewnej chwili zatoczyli się na siebie. Wtedy delikatnym, szybkim ruchem wsunął dłoń z dwoma palcami wysuniętymi jak nożyce w kieszeń spodni grubasa. Namacał i wyszarpnął. Tyle, ile się dało. Zwitek szeleszczących banknotów. Strużki potu spływały mu po plecach, poczuł raptowny ból głowy. Odszedł bardzo powoli i klucząc między budami, dotarł na przeciwległy kraniec placu. Tam dopiero rozprostował zaciśniętą dłoń. Tym razem nie był to niewypał. Niezły grosz! Tak został złodziejem kieszonkowym. Nie warto opowiadać dalej. Dalej następowały miesiące i lata mo



zolnego terminu u starych fachmanów. Były wpadki i odsiadki. Ale to już inna historia. Naprawdę zaczął od przypadku i pamięta, jakby to stało się dzisiaj, eleganckiego grubasa.

— Mój dobroczyńca — śmieje się. — Wiele nie stracił. Grubą forszę miał skitraną gdzie indziej... A ja tyle zyskałem!

#### 58. DZIEWCZYNA Z WEDLA

Wieśka była jedną z najładniejszych dziewczyn u Wedla. Po drugiej zmianie zawsze pod bramą fabryki czekali chłopcy. Jedni mieli w fabryce swoje stałe dziewczyny, inni rozglądali się za odpowiednią sztuką. Wieśka miała największe powodzenie. Nie mogła się opędzić od natrętnych zalotników. Ledwie tylko przekroczyła bramę i znalazła się na ulicy, oni już byli przy niej.

Wśród jej wielbicieli wyróżniali się piaskarze, muskularni atleci, którzy wygarniali piach z dna Wisły. Oni przechwalali się swoją siłą i chełpili się, że nie ma dla nich mocnych. Ale cwaniacy z Targowej, Ząbkowskiej i Szmulek nie ustępowali im, i nieraz jedni i drudzy brali się za łby, walcząc o choćby cień uznania w oczach Wieśki. A ci z bazaru znów przechwalali się swoim szmałem, paluchy mieli ozdobione złotymi fng- lami i wyciągali z kieszeni zwitki pomiętych banknotów, proponując wszelkie możliwe rozrywki od wesołego miasteczka, które ustawiło swoje karuzele i diabelskie młyny na Kamionku, po nocną „Oazę”. Stroszyli swoje kolorowe piórka jak koguty i licytowali się przed Wieśką. Ale ona nie była taka głupia, żeby ulegać byle jakim pokusom i czułym słówkom. Szukała stałego, solidnego chłopca, a nie jakiegoś obiboka, lekkoducha i uwodziciela. Nie chciała wiecznie tyrać u Wedla w mdlącej słodkości karmelu i czekolady, i zgarbacieć

tam przez lata za byle jaki grosz i jeszcze mieć na karku chłopca pijaka i kilkoro bachorów.

Nie uśmiechała się jej taka sobacza dola. Miała przed oczyma los kilku najbliższych koleżanek, które pośpieszyły się i uległy. W taki sposób zostały przykute do wiecznego kieratu, brzuchy im rosły co roku, mężowie początkowo potulni i słodcy, zmieniali się w rozbawionych nicponiów i nierobów, co to nachlawszy się wody po knajpach i melinach, zwalali się jak knury na baby, robili swoje i zasypiali twardym, bydlęcym snem.

— Nigdy! Nigdy nie zostanę materacem! — powtarzała zawzięcie Wieśka i taksowała chłodnym okiem adoratorów zebranych przed bramą fabryki, dawniej pana Wedla, teraz upaństwowionej i obdarzonej drugą nazwą, od ważnego dla nowej władzy miesiąca. Była odporna i zimna jak lód. Żadne zabiegi nie pozbawiały ją odporności. Tańczyła z chłopakami na dechach w parku Skaryszewskim. Bywała w nocnej „Oazie” na Targowej i mogła niemało wypić. Ale jeżeli tylko któryś z fatygantów posunął się za daleko, odstawiała go umiejętnie na właściwy dystans. Ani Stasiek Kopyto, największy przystojnak wśród piaskarzy, ani żaden z wytrawnych podrywaczy lokalowych — nikt nie mógł dać jej rady. Bezsilnie patrzyli na jej ponętą figurę, twarzyczkę Madonny, okoloną długimi, złocistymi lokami, i tylko mogli napawać się wzrokiem. Zamknięta na siedem zamków, nie zdobyta twierdza.

— Ślicznotka od Wedla! — tak ją nazywano. Matka nie mogła pojąć, o co się rozchodzi tej dziewczynie. Już poważnie zaczynała się martwić. Lata lecą i ona nie ma narzeczonego, nic nie mówi o ślubie, małżeństwie. Ojciec, murarz, budowniczy Starówki, słuchając tego, co mówiła jego stara, nie bardzo się tym przejmował.

— Robotę stałą ma — odpowiadał. Nie puszcza się... Więc o co ci idzie? — nie czekał na odpowiedź, odwracał się tyłem do żony i od razu zasypiał twardym snem człowieka utrudzonego.

Czasem przed ostatecznym chrapnięciem mruczał w półśnie: „Nie moja to brocha. Trudno zrozumieć wasze babskie sprawy”.

Ta Wieśka wiedziała swoje; słuchała wyrzutów matki nader spokojnie i jej piękne, szafirowe oczy były bez wyrazu.

Minęła jeszcze jedna bujna, zielona wiosna, kiedy dziewczyny z chłopakami kryją się po krzakach i słyszą pełno chichotów, westchnień i obietnic dozgonnej miłości. Potem nastąpiło upalne lato, kiedy na piaszczystych łąkach nad Wisłą opalają się dziewczyny z chłopakami, o zmierzchu idą na karuzelę lub popatrzeć na wyliniałe niedźwiedzie w zoo i już nocą obejmują zachłannie swoje gorące, nagrzane ciała.

Jesienią zobaczyli Wieśkę po raz pierwszy na spacerze Targową z tym grubym wdowcem, handlarzem z bazaru, który uchodził za bogacza nad bogaczami. Był to gość nieduży, brzuchaty, na krzywych nóżkach, z łysym łbem jak sagan i wylupiastymi gałami. Szli sobie jako para, trzymał ją pod ramię i ona mu się miękko naddawała.

— Cwana ździra — szeptali z zawiścią piaskarze i chłopaki z Targowej, którzy tyle razy dostawali od niej kosza.

Ślub odbył się u św. Floriana i to w całej gali, z chórem, dywanami, pełnym oświetleniem, z całym tym największym kościelnym szykiem.

Wesele dublowali. Pierwsza biesiada w willi pana młodego za Zaciszu. Drugie przyjęcie dla dalszych bliskich w „Oazie”, którą wynajęli na dzień i noc.

Panna młoda wyglądała jak księżniczka. Pan młody wiadomo, beka na kaczych nogach, paluchy obciążone sygnetami. Takiego sobie upolowała małżonka — Wieś

ka od Wedla. Wilczym wzrokiem odprowadzali od ołtarza pannę młodą odtrąceni wielbiciele.

Młodożeńcy zamieszkali w willi na Zaciszu. Niebiedny był ten bezdzietny wdowiec. Willa jak kamienica, dwupiętrowa, buda z butami na bazarze i jeszcze dużo lewizny na boku, złoto i lepsze fanty skupował od urków. - |||i

Wieśka została grand-damą, ubrana w komisowe ciuchy jeździła po zakupy kremowym oplem. Okazało się też, że śliczną główkę ma nie tylko od parady. Zajęła się budą na bazarze i rozkręciła ten interes. Ujawniły się jej talenty: pomysłowość, dar przewidywania i mocne nerwy. Potrafiła pomnażać zyski. Mąż niezauważalnie ustępował jej miejsca i znalazł się na drugim planie. Zresztą tył w chorobliwym tempie i mało się ruszał. Czasem siedział obok niej w budzie na bazarze, patrzył wylupiastymi oczyma martwo przed siebie i szybko spadała mu głowa, zasypiał.

A Wieśce jakby wszystkiego było mało i na placu przy domu szklarnie postawiła. Kwiaty świeże przez cały rok i pojawił się ogrodnik, młody, barczysty chłop i on tym interesem się zajmował.

W trzecim roku małżeństwa Wieśka urodziła mężowi męskiego potomka. Różnie o tym dzieciątku mówiono. Wskazywano złośliwie na podobieństwo z ogrodnikiem. Nie będziemy jednak zbyt natrętnie wnikać w sekrety sypialni. Niech to będzie historia z happy endem.

59. I TAK PATRZYLI...

Pani Jula miała najlepszy widok. Siadywała na balkonie pierwszego piętra domu, w którym na dole znajdowała się mydlarnia pana Justyńskiego. Pan Justyński nie interesował się światem zewnętrznym i nie wyglądał na ulicę z okna swego sklepu. Stał za ladą w ciemnym wnętrzu wypełnionym zapachem farb, past, ługu i politory. Jeżeli nie było klientów, to coś przeliczał na liczydłach lub przestawiał puszki i farby na półkach.

Natomiast pani Jula w ciepłe, pogodne dni już od rana wychodziła na balkon, mościła się wygodnie na miękkim fotelu powleczonym kwiecistą materią, pod nogi podstawiała sobie stołeczek i tak zastygała nieruchomo. Jej mąż, który był księgowym, chudy, kościsty, o szarej twarzy człowieka chorego na żołądek, z sinymi, głębokimi cieniami pod oczyma, wracając z biura, czy jeszcze przed wyjazdem EKD do Warszawy, dokonywał niezbędnych zakupów dla potrzeb gospodarstwa domowego i objuczony wypchaną siatką szedł do domu. Nigdy nie pokazywał się na balkonie. Namiętnie słuchał radia i czytał gazety. Czasem stawiał pasjanse. Pani Jula wychodziła z domu tylko w niedzielę i oboje szli na sumę do kościoła.

Idąc ulicą Kościuszki podnosiłem głowę i widziałem nieruchomą, otyłą kobietę na balkonie pierwszego piętra w domu, gdzie parter zajmowała mydlarnia pana

%

Justyńskiego. Ulicę można było nazwać pryncypalną i dużo na niej się działo. Co 20 minut przejeżdżała tędy kolejka. Po południu robotnicy wracali z roboty w fabryce „Era”. Panował tu znaczny ruch w kierunku targu i Nowych Włoch. Tędy prowadził szlak rybaków na glińki. W sąsiedztwie domu pani Juli był zakład fryzjerski pana Markowskiego i zbierali się w nim mężczyźni, czyniąc z fryzjerni swoisty klub. Nie tylko się strzygli i golili, ale siedzieli i gadali z fryzjerem, opowiadając rozmaite wydarzenia z życia naszego miasteczka. Nierzadko krążyła między nimi butelka i mistrz Markowski nie wylewał za kołnierz. Pani Julia fryzjernię miała w polu swego widzenia i nieraz obserwowwała kobiety, które wyciągały swych chłopów z zakładu pana Markowskiego, krzycząc, że to pijacka melina i nic więcej. Choć sceny bywały gwałtowne, pani Julia nigdy nie zmieniła swej pozycji, tylko lekko przechylała głowę, żeby mieć lepszy widok. Nigdy też nie wdawała się w rozmowy z kobietami zbierającymi się przy ulicznej pompie na lewo od jej balkonu.

Przemierzałem ulicę Kościuszki codziennie przez wiele lat i nie widziałem jej twarzy z bliska. Zawsze z odległości kilku metrów i na wysokości pierwszego piętra. Trochę przypominała wystawioną dla dekoracji lalkę z olbrzymimi, wyrazistymi i bardzo jasnymi oczyma. Jej oczy były bardzo uważne.

Felek Piaskarz mieszkał w niskim domku na tej samej ulicy, w pobliżu Pekinu. Drzwi trzech mieszkań tego do połowy murowanego, a do połowy drewnianego budynku zawsze były otwarte i widziało się wnętrza mieszkań: kobiety krzątające się przy kuchni, dziecko w maleńkim łóżeczku, staruszkę klęczącą przed świętym obrazem. Rodzina Piaskarza zajmowała środkowe mieszkanie i Felek, wróciwszy z roboty, po zjedzeniu obiadu wystawiał krzeselko przed drzwiami i siedział na

nim do zmroku. Był to masywny, muskularny mężczyzna o dobrodusznym usposobieniu. Pracował na rzece, wygarniając wiślany piach i żwir. Trudno było wyprowadzić go z równowagi i cierpliwie znosił złośliwe żarty i kpiny. Upijał się tylko raz w tygodniu, otrzymawszy w sobotę tygodniówkę, i w tym stanie też był spokojny, dawał się poszturchiwać swojej kłótlivej żonie; najczęściej chodziła w pomiętym szlafroku, flądra, mówiły o niej inne kobiety.

Dzień w dzień po robocie Felek Piaskarz wysiadywał przed drzwiami swego mieszkania i patrzył na życie ulicy. Pole obserwacji posiadał znaczne. W tym samym budynku od lat okupacji istniała sodowiarnia, gdzie sprzedawano bimber na miejscu i na wynos. Po trzech schodkach wchodziło się do interesu i można było, siadłszy na beczce z kwaszoną kapustą, wypić sobie głębszego. Toteż Felek nasłuchać się mógł i napatrzeć niemało. Pijani zwierzali się sobie z tajemnych sekretów, przysięgali dożgonną przyjaźń lub brali się za łby. Felek Piaskarz zawsze siedział zapatrzony przed siebie, pozornie nie objawiał żadnego zainteresowania sodowiar- nią, ale przecież musiał widzieć i słyszeć doskonale co dzieje się na prawo i na lewo od jego krzeselka.

Podczas okupacji do sodowiarni zachodzili Kozacy w futrzanych papachach i granatowych spodniach z malinowymi lampasami, wpuszczonych w pomarszczone buty z cholewami. Pili na umór i awanturowali się w dziki, wschodni sposób. Felek Piaskarz siedział statecznie na krzeselku i jego ogorzała od wiślanego słońca i wiatru twarz nie miała żadnego wyrazu. A co było najdziwniejsze: Kozacy, choć byli tak agresywni, jego nigdy nie zaczepiali. Zapadał zmrok. Felek przeciągał się, ziewał, wstawał, chciwie dopalał ostatniego papierosa i wracał do mieszkania. Po chwili gasło u nich światło.

Trzecią widetę po tej stronie torów stanowiło okno na parterze czerwonej kamienicy pani Wilczyńskiej. Pierwsze okno od strony ulicy Kościuszki. Była to krótka, boczna uliczka, która kończyła się w polach. Tutaj zasięg obserwacji był znacznie mniejszy i mało co się działo. W oknie na parterze czerwonej kamienicy wysiadywał piekarz, pan Drażek. Pracował przeważnie nocą i koło południa pojawiał się w podkoszulku przy oknie, podkładał sobie poduszkę pod łokcie i siedział, podpierając brodę rękoma. Był obserwatorem również, jak tamci dwoje, cierpliwym i spokojnym. Nie dziwił się niczemu i głośno nie wyrażał żadnych opinii. Pan Drażek nie był łowcą sensacji i wystarczała mu monotonna codzienność, w której ewenementami bywały wizyty Czarnego Olka u jego kochanki Lucyny czy awantury braci Koźła- ków. Między braćmi, często z trudno uchwytnych powodów, dochodziło do gwałtownych konfliktów i natychmiast zaczynali się bić. Obaj malarze, dźwigali kubły, drabinę, pędzle i naraz porzucali swój sprzęt, i zaczynała się wymiana ciosów. Rzadziej trafiały się powroty pana Eligiusza po kilku dniach nieobecności w domu. Skradał się, trzymając się blisko parkanu, i przed swoim domkiem naprzeciw czerwonej kamienicy zatrzymywał się na długą chwilę, wpatrując się w zasłonięte muślinowymi firankami okna. Wtedy piekarz, pan Drażek, przywoływał swoją żonę i oboje patrzyli z ciekawością na ceremonię powrotu pana Eligiusza, hulaki i pokerzysty, pełnego strachu i wyrzutów sumienia.

Wysiadywanie pana Drażka miało czasem skutki pozytywne dla innych. Wypłoszył złodzieja, który zakradał się do gołębnika Walczaka, właściciela największego stada gołębi w okolicy. Innym znów razem, w latach okupacji, ostrzegł sąsiada z drugiego piętra. Zauważył wynurzających się z podwórza za Pekinem dwóch mundurowych Niemców i cywila w skórzanym płasz

czu. Od razu wysłał starszego syna do sąsiada na górę. Przeważnie jednak na tej małej uliczce nic szczególnego się nie wydarzało i pan Drażek zaspokajał swój głód obserwacji błahostkami. To mu wystarczało. Po zawale serca, wróciwszy ze szpitala, nadal wysiadywał w oknie i spoglądał na boży świat. A ja przez tyle lat prawie codziennie widywałem tych troje, panią Julę, Felka Piaszka i pana Drażka na ich stałych miejscach.

Zawsze doznawałem uczucia podziwu i szacunku dla ich cierplivej pasji. Żywili się światem i czerpali coś niezbędnego dla siebie z tego, co działo się wokół nich. Może układali sobie jakiś porządek, dopatrywali się ukrytego sensu.

Jeszcze i teraz bardzo dokładnie widzę ich twarze.

## 60. PIĘKNY KWIAT

Dziś zobaczyliśmy Stokrotkę i był to cios w samo serce. Tyle lat przechowywaliśmy to cudowne wspomnienie z lat chłopięcych. Pomagało nam w trudnych chwilach zwątpień i załamań, zawsze wtedy można było wrócić do początku jak do źródła i zanurzyć się w tamtym czasie największych nadziei i oczekiwań. Ona, Stokrotka, w tej idylli wspomnień zajmowała tak ważne, może najważniejsze miejsce. Dostyc wcześniej intrygować nas zaczęła płec odmienna i temu zjawisku poświęciliśmy dużo czasu i uwagi, podpatrując i zastanawiając się intensywnie nad potęgą odmienności. Chodziliśmy jak tropiciele za Carycą, kobietą-symbolem zwierzęcej erotyki, chuci, wyuzdania. Sprzedajne baby, te dziwki, jak mówili starsi, pociągały najbardziej i wiele razy podkradaliśmy się pod niskie okienko zapadłego w ziemię domku Mojki. Tam bywali mężczyźni, pili wódkę i po kłótniach, przekleństwach i śpiewach nieraz zalegała cisza, a potem stękanie, charkot, zdyszane oddechy i dziwne jęki, przypominające psie skomlenie. Raz udało się nam zobaczyć nad glinianką Mojkę z węglarzem Sztajfą i jak piorun poraził nas widok jej rozwalonych ud i wciskającego się w to kobiece ciało mężczyznę w gumiakach, który rozdygotanymi palcami rozpiął rozporek i zespolony z kobietą złościł noskami gumiaków gliniastą, grząską ziemię. Mieliśmy obserwacje

■■■■■■■

z sypialni rodziców. Cały bezmiar odmienności, przyciągania i odpychania, czułości kobiety i mężczyzny i zacieklej nienawiści tych samych dwojga w innej odsłonie namiętności. Wszystko to oślepiało nam oczy, drażyło boleśnie wyobraźnię i żadnej nie można było znaleźć odpowiedzi.

Ale ona, Stokrotka, to było coś zupełnie innego. Od początku nazywaliśmy ją Stokrotką. Tak mówili do niej matka, wychowawczyni w szkole, ksiądz katecheta. Dlaczego Stokrotka? Aha! Byliśmy wtedy na wycieczce krajoznawczej w Puszczy Kampinoskiej i na wieczornym biwaku rozpaliliśmy ognisko i śpiewaliśmy: „Stokrotka rosła polna, a nad nią szumiał gaj...”, i wszyscy tak popatrzyli na nią. Już została Stokrotką, choć wyglądała jak dużo piękniejszy kwiat. Moment, kiedy ona tak olśniewająco dla nas rozkwitła, nastąpił chyba w dniu wręczania nam świadectw ukończenia szkoły podstawowej. Już zaczynało się gimnazjum. Już poczuliśmy się trochę mężczyznami. Wtedy ją zobaczyliśmy w pełnej krasie. Była piękną, złotowłosą panną. Poruszała się lekko i zwinnie. Te jej nogi smukłe, długie, zawsze opalone, jej skóra miała kolor złocisty jak miód. Włosy też były złote, oczy ogromne, bardzo niebieskie i przejrzyste pod gęstymi rzęsami, które tak trzepotały, czyniąc piękną zagadkę jej oczu jeszcze bardziej tajemniczą.

Stokrotka stała się dla nas zjawiskiem i wszędzie gdzie się pojawiała, czy to przed kościołem w czas majowych nabożeństw, na szkolnym boisku, czy na plaży między gliniankami, od razu spojrzenia wszystkich chłopaków zwracały się w jej stronę. Lecz nie były to natarczywe, wyzywające oględziny urodziwej dziewczyny. Nigdy żadnych ordynarnych żartów, dwuznacznych powiedzonek. Stokrotka budziła nabożny zachwyt i potrzebę adoracji. Doskonałość kształtów, anielska uroda,

ciężkie, złote włosy splecione w dwa grube warkocze i spojrzenie, którym obejmowała zbocze stawu, szukając ustronnego miejsca dla rozłożenia koca. Ileż to razy, spodziewając się, że spojrzy na nas, popisywaliśmy się skokami z pochyłej wierzby do wody lub nurkowaniem w najgłębszych miejscach glinianki. Lecz wynurzając się z wody widzieliśmy, że Stokrotka pochyla głowę, obejmuje ramionami kolana i czyta książkę. Nie patrzyła na nas wcale.

Wszyscy byliśmy jej cichymi wielbicielami. Głos Stokrotki, jej śmiech, szept. Stokrotka codziennie jeździła kolejką. Przeniosła się do gimnazjum w Warszawie. Ktoś ją odprowadzał ze szkoły na przystanek. Przypadkiem to odkryliśmy. Jakiś nieznaną chłopak. Kilka razy pojawił się w naszym miasteczku. Niósł jej teczkę. Coś mówił. Ona się śmiała wysokim, dźwięcznym śmiechem. Jak mu zazdrościliśmy! Był dla nas szczęściarzem i śmiałkiem niebyszałym. Potem jeszcze ten romantyczny epizod z pantofelkiem. Biegła, bardzo się śpieszyła i potknęła o płytę wystającą z trotuaru. Spadł jej ze stopy pantofelek. Stała na jednej nodze, chybocząc się i z trudem utrzymywała równowagę. Wtedy podbiegł do niej młodzieniec w studenckiej czapce, podniósł pantofelek i włożył na jej bosą stopę. Pięknie wyglądali. On wysoki, nieco zgarbiony brunet. Ona wiotka, modrooka. Przedstawił się jej. Podali sobie dłonie. Jemu też cholernie zazdrościliśmy.

Bo tak wielbiąc skrycie Stokrotkę, nigdy nie ośmieliliśmy się do niej odezwać i zaprosić ją na spacer czy do kina. Chociaż nie jest to zupełnie ściśle. Było takich kilku, którzy uczynili jej podobne propozycje. Ale te randki, spacer były tak sakralne, uroczyste. Tracili ci śmiałkowie wszelki kontenans, spięci, sztywni i Stokrotka musiała być bardzo zmęczona ciężarem niewypowiedzianych wyznań i zakłęb. Coś z niej emanowało!

Kazało adorować z odległości i skrycie. Olśniewała i onieśmielała. A choć mijały lata i już zaczęliśmy studiować, pracować, to zawsze spotkanie Stokrotki było świętem, co najmniej przyjemnością. Podczas koleżeńskich spotkań dzieliliśmy się spostrzeżeniami o doskonałości jej urody, harmonii kształtów, gracji ruchów i przejrzystej czystości oczu, których jedno przelotne spojrzenie tak podnosiło na duchu. Prawdopodobnie wcale sobie tego nie uświadamiając, pragnęliśmy iść przez życie z obrazem naszej nieskazitelnej bogini, która niezmiennie stanowi szczyt idealnej kobiecości. Mieliśmy już swoje dziewczyny, różne rzeczy z nimi czyniliśmy, wzniosłe, drańskie. Oddawaliśmy się cielesnym rozkoszom, wyrażaliśmy się plugawie o swoich zdobyczach. Zdarzały się namiętności o wysokiej temperaturze, wzloty i upadki. Spotkania i rozstania. Zawsze jednak na wyższym poziomie istniała Stokrotka. Niezdobyta, jakby sfera niebiańska, nietykalne ciało, nietykalne usta. Jej uroda tylko dla oczu, pokarm duszy, idealne upojenie. Właściwie niewiele o niej wiedzieliśmy. Czy ma narzeczonego, kochanka? Mieszkała nadal z matką, wdową po oficerze, który zginął w Katyniu.

My zaś, jak to w życiu bywa, opuszczaliśmy po kolei nasze miasteczko, ruszaliśmy w samodzielną drogę, wikłaliśmy się w rozmaite trudy i kłopoty codzienności. Tak mijał rok za rokiem, ale zawsze zdarzała się ta krótka chwila, kiedy na myśl przychodziła Stokrotka. Jej uroda, przypomniany nagle gest, wyraz oczu, dźwięk głosu. Było to jak zanurzenie się w krynicy krystalicznie czystej wody, duch się podnosił i uśmiechaliśmy się do przeszłości. Jeszcze bardziej idealizowaliśmy obraz Stokrotki.

I oto dziś przypadek: kolega koledze pokazał Stokrotkę. Była to otyła, posiwiata kobieta, prowadziła pod rękę wysuszoną maleńką staruszkę. Stokrotka z matką.

Pozostała panną i niezmiennie są razem. W tym samym miasteczku. Może w tym samym domu. Kobieta szła bardzo powolnie, dostosowując swój krok do niedołęznego marszu staruszki. Zobaczyli jej martwą twarz i zgasłe oczy. Spojrzała na nich obojętnie. Patrzyli na nią. Byli wstrząśnięci. Oni, najwierniejsi jej wielbiciele.

— Cholera jasna! — powiedział jeden do drugiego. — Lepiej by było nigdy jej nie zobaczyć!

#### 61. JULIAN ŻEBROWSKI

Jako historyk Warszawy Julek zdobył wysoką pozycję od czasu przedwojennego. Mistrz szybkiej karykatury, portretu, rodzajowej scenki. Jego bogata, wszechstronna twórczość graficzna, uprawiana przez wiele lat, w sposób naturalny stawała się kroniką naszego miasta. Już przed wojną młodzieńki rysownik zwrócił na siebie uwagę celną kreską, która chwyciła w lot istotne cechy portretowanych osób, rejestrowała śmieszne i smutne obrazki z naszego życia. Podczas okupacji, działając w konspiracji AK, Julian Żebrowski nie zaprzestał rysunku. Podziemne pisma, ulotki, częstokroć ozdobione były jego graficznymi symbolami. Należał do pokolenia warszawiaków, dla których odzyskanie niepodległości było początkiem upragnionej Polski. To stanowiło dla niego miarę i odniesienie dla wszystkiego, co działo się później. A więc w pełni był świadomy, że Polska po II wojnie światowej stała się atrapą Niepodległej, zniweczeniem czynu zbrojnego Legionów, zwycięskiej wojny 20. roku i daremnych wysiłków londyńskiego rządu, powojennego oporu.

Jednak przyszło mu żyć i tworzyć w takiej Polsce, takiej Warszawie. I tu dochodzi do głosu siła optymizmu i charakteru Julka Żebrowskiego. Nie popadł w czarny pesymizm i nie wyczerpała się jego inwencja rysownika, karykaturzysty, kronikarza naszego Miasta.



Marek Nowakowski

Przez całe lata rysował w *Expressie Wieczornym*. Karykatury ludzi sztuki, sportowców, oryginałów zdobiły strony wielu pism warszawskich. Były pełne rozmachu, humoru, ukazywały tych ludzi w ich wzniosłych i małostkowych odsłonach. Mam<sup>1</sup> pod ręką Parodie Artura Marii Swinarskiego z portrecikami Julka. Cała galeria luminarzy literatury od Norwida, Przybyszewskiego przez Gałczyńskiego, Hertza, Ważyka, Lema do Jana Brzechwy. Mistrz skrótu rysunkowego wydobywał z żywej i martwej materii to, co było jej wewnętrzną prawdą. Najbardziej uderzającą właściwością grafiki mistrza Julka była pogoda ducha. Nasze miasto wyrastało z ruin w innym już, socjalistycznym kształcie, Julek jednak szukał w nim śladów dawnej świetności, przypominał o jego przeszłości. Ale nie czynił tego patetycznie, tylko żartobliwie, z humorem, często podszytym celną przenikliwością. Swoje rysunki czasem opatrywał słownym komentarzem. Podczas „bratniej pomocy KDL-ów z ZSRR na czele dla Czechosłowacji”, Julek podarował mi rysunek czołgu ludowego Wojska Polskiego z podpisem „Czesimy się!”

W latach siedemdziesiątych kilkakrotnie wyjeżdżał do Ameryki, gorąco podejmowany przez Polonię, i tam rysował portrety naszych rodaków za oceanem, przypominał swoimi rysunkami o ich miejscach rodzimych w Starym Kraju. Powstawały zbiory portretów i pejzaży, zebrane w albumach, które cieszyły się dużym wzięciem w ośrodkach polonijnych Anglii, Ameryki. Tam zresztą Julek miał więcej swojej przedwojennej i okupacyjnej Warszawy niż w kraju. Osobnym rozdziałem jego twórczości są projekty medalionów i tablic w wielu warszawskich kościołach, poświęcone pamięci bohaterów zbrojnej walki przeciw Niemcom i Sowiecom, żołnierzom AK, WIN, NSZ. Równocześnie przy tej pracowitości Julek Żebrowski był niestrudzonym perypatety-

#### PO WIDOKI

kiem. Chodził i patrzył. Nie tylko. Jako kompan do pogaduchy przy kielichu był niezrównany. Zwolennik tradycyjnych naszych zakąsek od śledzika w oleju i śmietanie po nóżki w galaretkę pod czystą wyborową, gawędził i dowcipkował ze swadą. Tyle widział i pamiętał. Dawne miasto ciągle nakładało mu się na nowe i z łatwością mógł wymienić wszystkie kawiarnie i restauracje przy Nowym Świecie w roku 1937. Był niezwykle popularną postacią w ludzkim pejzażu Warszawy. Znany i witany serdecznie w klubach artystów i zakazanych knajpach. W ostatnich latach bolesne przeżycia osobiste spowodowały, że Julek bardzo rzadko pokazuje się w mieście. Lecz na posterunku rejestratora naszego życia trwa niezłomnie i swoje rysunkowe satyry polityczne zamieszcza w *Głosie*, czasopiśmie Antoniego Macierewicza. Przenikliwie i dowcipnie reaguje na smętną magmatyczną rzeczywistość, ciągle jeszcze pełną komunistycznego zatrucia. Mam cichą nadzieję, że spotkam się znów z Julkiem w ostatnim starym szynku i pogadamy sobie od serca przy setce wyborowej do śledzika w oleju z cebulką.

## 62. BUDKA „NA CIUCHACH”

Zaliczała się do handlowej arystokracji. Miała budę na Skaryszewskiej. Ciuchy najlepszego gatunku z zagranicznymi metkami. Dla stałych klientek, koneserek bogatej elegancji i szyku trzymała na zapleczu szlachetne futra; karakuły, lisy, norki, oposy. Sort wysokiej jakości. Kupcowe z Chmielnej i bazaru Różyckiego w niedzielę do kościoła paradowały w tych futrach. Zarabiała na tamtą miarę bardzo dobrze, było to jednak zajęcie pracochłonne, ryzykowne i wymagało różnych umiejętności. Mróz czy grypowa plucha — ona zawsze na posterunku. Krzepiła się herbatą z termosu. Baby roznosiły flaki gorące i pyzy, co w zimowe dni podtrzymywało ciepło w organizmie. Kobieta była z niej drobna, niskiej postury, ale wielkiego ducha. Wiele potrafiła przetrzymać. Bo i te trudne konszachty z milicją, urzędem skarbowym. Gliniarze zawsze się mogli do niej przyczepić, nałożyć grzywnę, a nawet spowodować zamknięcie budy. A te psy gończe z urzędu skarbowego! Podatki, domiary. Posiadła skomplikowaną sztukę należytego współżycia z władzą. Pamiętała o imieninach, urodzinach gliniarzy, skarbowych inspektorów i innych dręczycieli. W samą porę wręczała im kosztowny i gustowny prezent. Ciuchy dla żonki, córki. Trunek zagraniczny dobrej jakości. Nie mówiąc już o zwitkach banknotów, które dyskretnie wsuwała w chciwe łapy. Ze swej

budy utrzymywała liczną rodzinę, dwie córki z zięciami, syna obiboka i letkiewicza, porzuconą przez niego żonę i wnuczka. Mając tak liczną trzódkę na utrzymaniu, nie mogła jednak liczyć na stałą pomoc kogokolwiek. Syn migał się i wykręcał od wszelkich obowiązków. Owszem, córki czasem zastępowały ją w handlu na placu. Ona wtedy jeździła po kurpiowskich wiochach, zapuszczała się w Rzeszowskie i aż na Podhale do górali. Wielu ludzi stamtąd miało swych bliskich w Ameryce i oni przysyłali im paki z ciuchami. To były jej źródła zaopatrzenia. Wyjazdy, dalekie trasy, pociągi, autobusy, targi z chciwymi chłopami. Podróżowała objuczona tobołami, trzeba było uważać na złodziejską zarazę. Łatwo też mogła podpaść milicji i zostać spekulantką. Naprawdę była z niej kobieta godna podziwu.

Ciuchy na Skaryszewskiej zostały zlikwidowane, przenieśli handel na Lubelską. Następnie na plac Szembeka. Trzymała się przez cały czas na powierzchni i jej buda niezmiennie zaopatrzona w towar najlepszego gatunku, chłamu, żadnej lichoty nigdy nie miała. Sama uważała, że los jej sprzyja. Szczególnie dziękowała opatrności za spokojne przeżycie tych najcięższych lat do 1956 roku. Kilka razy w tamtych czasach jej wolność wisiała na włosku. Raz na przykład chcieli ją wrobić w jakiś nielegalny handel, podrzucili do budy lewiznę. Rzecz cała była zbyt grubo szyta i po kilku dniach pobytu w areszcie, wypuszczono ją jednak. Stała na schodkach komendy, popatrzyła na niebo i przeżegnała się. Podziękowała Bogu. Potem wszystko trochę zelżało i handlowało się już spokojniej. Ciuchy osiadły na dobre w Rembertowie i ona tam nadal posiadała budkę. Podupadł ten niegdyś atrakcyjny handel używaną odzieżą. Granice stały się bardziej otwarte i ludzie mieli różne inne możliwości zaopatrywania się w modne, zagraniczne ubrania. Ale ona już do innej handlowej

branży się nie przeniosła. Była za stara i nie miała już za dużo siły. Zresztą ani syn, ani córki nie kwapili się do przejęcia jej straganu. Córki czymś innym się zajmowały, a syn pozostał zatwardziałym próżniakiem. Chętnie tylko zwracali się do niej o pieniądze wsparcie.

Tego pamiętnego dnia w południe gwarzyła sobie z innymi handlarkami. Popijały tradycyjnie herbatę z cytryną. Wyglądała tak jak zawsze. Mała, drobna kobiecina, siwiuteńka jak gołąbek. Ruchu żadnego nie było. Siedziały przed straganami i patrzyły na nielicznych przechodniów. Jedna z nich powiedziała akurat: „Co to za handel, psiakrew!”

— Żarty, a nie handel! — druga dodała.

Popatrzyły na nią. Ona obsunęła się ze swego stołka. Wyglądało to tak, jakby stołek się załamał, czy coś podobnego. Upadła na ziemię. Jak przyjechało pogotowie, to już nic nie mogli zrobić. Serce. Później kilka razy na placu pojawił się syn. Patrzył smętnie na budę, która kiedyś była budą jego matki, i odchodził.

KONIEC